



Lynda Curnyn



*Życie po
(życiu z facetem)*

ROZDZIAŁ PIERWSZY

„Nikt nie rodzi się porzuconą dziewczyną, dziewczyną porzuconą się zostaje”

- Emma Carter, powracająca do zdrowia porzucona dziewczyna

Wyznanie: *Powinnam to przewidzieć.*

Moja przyjaciółka Jade ma następującą teorię: Jeśli umawiasz się z seryjnym mordercą, ten już na pierwszej randce poinformuje cię - aczkolwiek nie wprost - o swoich zamiarach. A ty, jako osoba szczerze nim zainteresowana, po prostu z uśmiechem kiwniesz głową i natychmiast o wszystkim zapomnisz.

Jade ma rację - Derrick już na pierwszej randce oświadczył mi, że ma zamiar przenieść się na Zachodnie Wybrzeże, kiedy tylko sprzeda swój pierwszy scenariusz. Ale ponieważ zwierzenie nastąpiło tuż po pocałunku, który w tle miał malowniczy zachód słońca, podczas romantycznej przechadzki nad brzegiem rzeki Hudson, ja - zamiast zanotować w pamięci, że zamierza mnie kiedyś porzucić, zauważyłam tylko, że: a) umie wspaniale całować, oraz b) jest pisarzem, czyli bratnią duszą. Bo ja też jestem pisarką... W pewnym sensie.

Życie w Nowym Jorku ma tę straszliwą cechę, że każdy mężczyzna, którym zaczynasz się interesować, okazuje się albo zbyt ambitny, albo zbyt twórczy, albo zbyt pożądanym przez resztę świata, żeby poświęcać dla ciebie swój cenny czas. Tymczasem mnie się udało - w ciągu dwóch lat spędziłam tyle sobotnio-niedzielnych nocy skulona u boku Derricka na materacu w moim małym mieszkaniu, że uznałam nas za Potencjalną Parę. Nic bardziej błędnego, chociaż na swoje usprawiedliwienie dodam, że byliśmy razem wbrew wszelkim przeciwnościom.

Pierwszy raz spotkaliśmy się na peronie metra przy Zachodniej Czwartej Ulicy. Zauważyłam go głównie dlatego, że oboje mieliśmy na sobie czarne dżinsy i czarne podkoszulki. Widziałam też, że nieśmiało próbuje zwrócić moją uwagę. Robił to wyjątkowo niezręcznie i był tak zmieszany, że nie mogłam mu się oprzeć.

- Cześć - powiedział, kiedy w końcu znalazł się w pobliżu mnie.

Najpierw przeleciała mi przez głowę histeryczna myśl o tych wszystkich świrach, którzy spychają na tory Bogu ducha winne kobiety, potem spojrzałam na jego zadbaną, szpiczastą bródkę i ogarnęło mnie przedziwne poczucie bezpieczeństwa. Mężczyźni z taką brodą działają na mnie uspokajająco - nawet jeśli trochę mnie irytują. Pamiętam swój zachwyt na widok jego

bardzo niebieskich oczu przesłoniętych okularami w drucianych oprawkach. Tak. Najbardziej wzięły mnie te okulary. Uwielbiam mężczyzn w okularach.

Było lato. Wokół nas wisiało gęste, upalne powietrze.

- Duszno tu i ciemno - zagaił.

- Jak w dupie u Murzyna - przytaknęłam bez zastanowienia.

No właśnie. Jade stale wytyka mi moje wulgarne odzywki.

Twierdzi, że pewnych rzeczy nie wolno mówić facetom, z którymi człowiek ma nadzieję się przespać.

Derrick spojrział na mnie dziwnym wzrokiem i zaśmiał się z przymusem, a potem przedstawił się i zapytał, jak mi na imię.

- Emma. - Na szczęście ryk nadjeżdżającego pociągu przerwał naszą niezbyt wyrafinowaną konwersację.

Od razu spodobało mi się, że Derrick nie miał w zanadrzu żadnych gładkich odzywek, z którymi startuje się do dziewczyn. Był tak nieprzygotowany na to, żeby mnie poderwać, że dałam mu się poderwać prawie natychmiast.

- Wynosisz się stąd na weekend? - zapytał, mierząc wzrokiem opasły tom, który trzymałam w ręku.

- Nie - zdobyłam się na niezbyt błyskotliwą odpowiedź.

- Aha. - Zmarszczył brwi, spoglądając na mój bagaż. - A ja tak. Do Jersey. Nad morze.

Uniósł torbę, w której na moje oko z trudem mieścił się krem do opalania i para kąpielówek. Ale co mnie to obchodziło. Rozmawiałam z atrakcyjnym facetem i szkoda mi było czasu na niepotrzebne słowa.

Kiedy pociąg hamował na Penn - jego stacji - właśnie mu wyjaśniałam, że wysiadam przy Osiedzi Piętej Ulicy, ponieważ jadę na „Nieuchronną falliczność w malarstwie surrealistów” - nową wystawę w muzeum Guggenheima. To był naprawdę świetny ruch - poznałam po jego brwiach uniesionych w niemym podziwieniu. Ale zaraz potem zrobiłam błąd taktyczny. Wbrew radom Jade, która nieustannie mi powtarza, że bym nigdy nie wykonywała pierwszego ruchu, wyskoczyłam za Derrickiem z wagonu. Cóż innego mogłam zrobić? Spanikowałam. Widząc, jak gmera w kieszeniach w poszukiwaniu długopisu, którym miał zanotować numer mojego telefonu, myślałam tylko o jednym: drzwi - w tej chwili obiecująco otwarte, zaraz zamkną się z sykiem, grzebiąc raz na zawsze moje nadzieje na szczęście.

- O! Wydawało mi się, że jedziesz do... - zaczął zdziwiony.

- Tutaj najlepiej się przesiąść - przerwałam mu, licząc, że nie zauważy kłamstwa. Derrick znalazł w końcu długopis i z wyrazem ulgi na obliczu podał mi go wraz z mikroskopijnym karteluszkiem. Kiedy skończyłam, dopisał pod spodem własny numer, nerwowo przedarł papier i wręczył mi jedną połówkę. Potem spojrzał na zegarek, wymruczał lakoniczne, ale niewątpliwie ciepłe „do zobaczenia” i zniknął, zostawiając mnie na peronie z maślanymi oczami i rozmarzoną miną.

Ten stan trwał całe trzy minuty. Widziałam w wyobraźni, jak siedzimy czule objęci, sącząc drinki w którymś z modnych lokali w dole miasta - może w barze Six albo Lansky's Lounge. Nagle poczułam cień niepokoju. Czy naprawdę, zastanawiałam się, trzymam w ręku numer telefonu tego niesamowicie przystojnego gościa? Wystarczył jeden rzut oka na zmięty paperek. Zmartwiła z przerażenia zobaczyłam na kartce swój własny numer. Co gorsza, facet nie znał mojego nazwiska, więc nie było żadnych szans na to, że odszuka mnie w książce telefonicznej.

- Stworzeni dla siebie! - prychnęła Jade, kiedy opowiedziałam jej całą historię. - Sądząc z tego, jak spartaczyliście początek, nigdy nie dojdziecie do etapu łóżkowego.

Odwróciłam się do Alyssy - mojej drugiej przyjaciółki, licząc, że ona mnie pocieszy. Alyssa w przeciwieństwie do Jade zawsze umiała dostrzec jaśniejszą stronę rzeczywistości.

- Może da ogłoszenie do gazety? Niektórzy ludzie to robią. W „Voice” jest nawet cała kolumna poświęcona takim rzeczom. Musiałaś to czytać: „Widziałem cię w metrze linii A. Brunetko z rozmarzonymi, zielonymi oczami...”

- Moje są piwne.

- ...uroczo nieśmiała...

- To niby o mnie?

- Na pierwszy rzut oka może się tak wydawać. - I Lys ciągnęła dalej tonem wyimaginowanego mężczyzny, który zdolny byłby do podobnie romantycznych gestów. - Jestem pisarzem i od dawna szukam kobiety podobnej do ciebie. A kiedy wydawało mi się, że znalazłem - zniknęłaś. Zadzwoń...

- Nie ma mowy. Faceci nie robią takich rzeczy.

- W takim razie ty to zrób! Emi, daj ogłoszenie. Co masz do stracenia?

- Poczucie własnej wartości.

- O czym ty mówisz?

- Lys! Ja czytuję takie ogłoszenia. Zawsze. Kiedyś myślałam, że to bardzo romantyczne. Ale im dłużej je czytam, tym większą mam pewność, że zamieszczają je tylko frustraci. Sama pomyśl. Kto inny uznałby przypadkowe spotkanie - tak samo znaczące jak fakt, że w tłumie ktoś nadepnął ci na stopę - za działanie Opatrzności? Daj spokój!

- O, proszę! Cała ona. Cynizm i nic więcej.

Pewnie, że byłam cyniczna w okresie przed Derrickiem. I nawet sobie tego nie wyrzucam. W wieku dwudziestu dziewięciu lat moje doświadczenia z mężczyznami przekonały mnie, że jedyna para, na jaką można w życiu liczyć, to para wygodnych butów.

Prawdopodobnie jeszcze długo rozmawiałybyśmy z Alyssą w tym tonie, gdyby nie Opatrzność, która dokładnie wtedy postanowiła pokazać mi, że istnieje. Oto dwa tygodnie po nieszczęsnym spotkaniu w metrze, dwa stoliki od nas, tu, w Peacock Cafe zauważyłam Derricka. Miał na sobie przepięknie sprane levisy, co doceniłam natychmiast, bo od dawna bezskutecznie przeczesywałam wszystkie znane mi sklepy z używanymi ciuchami w poszukiwaniu podobnych.

- To ty?! - Skoczył na równe nogi, omal nie przewracając swojego stolika. - Cześć. - Stał nade mną zaskoczony.

Ja też wstałam i z niedowierzaniem wpatrywałam się w jego urodziwą twarz. Kątem oka widziałam Alyssę - najpierw osłupiałą, a potem rozpromienioną w uśmiechu.

- Nie rozumiem, jak mogłem być takim idiotą - powiedział.

- Ja też nie - odpowiedziałam i nie zważając na ledwo dosłyszalny ostrzegawczy szept Jade, radośnie rozwinęłam opowieść o swoim upośledzeniu umysłowym tamtego dnia.

- Mówiłam, że to przeznaczenie - oznajmiła Alyssa piętnaście minut później, kiedy Derrick oddalił się z moim numerem telefonu bezpiecznie wetkniętym do kieszeni kurtki.

Skoro więc było to przeznaczenie, dlaczego Derrick rzucił mnie i pojechał do Hollywood?

Wyznanie: Wbrew potocznej opinii, bez niego nie jest mi lepiej.

Nawet Derrick miał czelność wytaczać racje, dla których powinnam być szczęśliwa, mimo że porzucił mnie na zawsze. Według niego trudno było marzyć o wspanialszym życiu niż moje. Ilu ludzi - pytał - może powiedzieć, że spędziło najlepsze lata w najwspanialszym mieście na świecie?

- Jeśli to takie wspaniałe miasto - próbowałam podważyć jego argument - to dlaczego stąd wyjeżdżasz?

Odpowiadał spokojnym, zdroworozsądkowym tonem, który serdecznie zniechęciłam podczas tych ostatnich, pełnych goryczy dni, że w jego przypadku tylko Los Angeles daje szansę zrobienia kariery. Że studio filmowe, które kupiło jego scenariusz, proponuje mu stałą pracę w charakterze lekarza cudzych tekstów. Że na Zachodnim Wybrzeżu będzie mu się lepiej powodziło.

Ale beze mnie, myślałam w panice, kiedy skończył i zapanowała nieznośna cisza. Właśnie rozważałam wariant rzucenia mu się do stóp i błagania, żeby wywiózł mnie z tego wspaniałego miasta, kiedy zmienił taktykę.

- Jesteś silnie związana z tym miejscem - tłumaczył. - Sama zobacz: mieszkanie, kariera...

Takie argumenty wymagają wyjaśnień.

Po pierwsze - mieszkanie. Jeśli kawalerka wielkości dużej szafy na ubrania wzbudza w was choćby cień zazdrości, przemyślcie wasze uczucia jeszcze raz. W mojej szafie, przepraszam, kawalerce, mieści się łóżko, komoda, biurko i półka z książkami, która swoje najlepsze dni ma dawno za sobą. No i jest jeszcze aneks kuchenny bardziej przypominający zestaw dla lalki Barbie. To tyle. Szafa, najwyżej garderoba - ale nie mieszkanie. Dla porządku muszę wspomnieć o plusach, czyli stałym komornym oraz położeniu - poniżej Czternastej Ulicy. To jedyna okolica, w jakiej warto mieszkać - przynajmniej ja tak sądzę.

Po drugie - sprawa kariery. Kiedy na przyjęciach pada nieuniknione pytanie o to, czym się zajmuję, odpowiadam, że piszę dla kobiecego magazynu o zasięgu ogólnokrajowym. Właściwie nie kłamię, chociaż prawda nie wygląda aż tak rewelacyjnie. Jestem młodszym redaktorem w piśmie „Twój Ślub”. Odpowiadam za podpisy i tytuły oraz pisuję artykuły poruszające tak poważne tematy jak: „Miodowy miesiąc w tropikach” lub „Suknia ślubna, w której można oddychać”. Popelniam je ostatnio z coraz większą regularnością.

Jedyne określenie mojej kariery w „Twoim Ślubie” powinno brzmieć: szczęśliwy przypadek, gdyż po dwutygodniowym okresie prac zleconych w biurze, Carolyn Jamison, kierująca działem reportażu, zainteresowała się moją osobą na tyle, żeby zaproponować mi stały angaż. Czy mogłam odmówić, skoro cały mój dorobek po obronie pracy dyplomowej na wydziale kreatywnego pisania Uniwersytetu Nowojorskiego ograniczał się do kilku niepublikowanych opowiadań i posady kelnerki zatrudnionej na pełny etat?

Była środa rano. Zatopiona w ponurych myślach siedziałam na kolegium redakcyjnym i liczyłam minuty, które zostały do chwili startu samolotu uwożącego Derricka w siną dal. Zaczęłam żałować, że oparłam się chęci zatelefonowania do niego o trzeciej nad ranem, żeby mu powiedzieć, jakim łajdakiem się okazał.

Przez mrok panujący w mojej duszy z trudem przedarł się obraz Patrycji Laders, naczelnej „Twojego Ślubu”, która zaczynała właśnie swoje cotygodniowe zagajenie.

- Misją naszego pisma - zaczęła Patrycja - jest odnalezienie panny młodej w każdej kobiecie - w tej, która dopiero marzy o najbardziej wyjątkowym dniu w swoim życiu, i w tej, która poczyniła już pierwsze kroki na tej drodze.

Krok numer 1: Nie dopuść, żeby twój chłopak opuścił miasto.

Westchnęłam znudzona perspektywą odsłuchania planu przygotowań do olśniewającego ślubu, który Patrycja powtarzała na każdym kolegium jak mantrę. Przyglądając się jej cienkim blond włosom, bladej twarzy i intensywnie niebieskim oczom, zastanawiałam się nad swoją przyszłością. Czy mam być kiedyś chudą, sztywną i świetnie zakonserwowaną redaktorką naczelną pisma o ogólnokrajowym zasięgu? Kobieta sukcesu, która nad mężczyzn przedkłada wysokie honoraria i zapomniała już, że życie to coś więcej niż praca?

Potem niestety przyszło mi do głowy coś jeszcze.

Otóż Patrycja miała męża. I nawet jeśli prawdziwe były pogłoski o bardzo dziwnym charakterze tego małżeństwa, i tak setki lat świetlnych dzieliły ją ode mnie - młodszego redaktora, borykającego się z losem i brakiem mężczyzny w życiu.

Spanikowana, lustrowałam wzrokiem znakomite grono, które zebrane wokół stołu zawisło wzrokiem na ustach Patrycji. Najbliżej siedziała Rebeka, jedyna osoba w całej redakcji, którą mogłam nazwać bliską koleżanką. Ja i ona z podobnym entuzjazmem wymienialiśmy opinie o kobietach, które trzęsły naszym pismem. Ale Rebeka miała chłopaka. Co gorsza, chłopaka doskonałego, który nie tylko sam był wysokopłatnym finansistą, lecz jeszcze pochodził z bogatej rodziny. Bardzo bogatej. Następna była Caroline, moja bezpośrednia szefowa, w zaawansowanej ciąży - czwartej. (Wyrazy uznania dla męża, trzymanego przez nią w ich rozległej posiadłości w Connecticut). Kolejne trzy redaktorki z działu reportażu też miały mężów. Podobno wesele Sandry, które odbyło się dwa lata wcześniej, dorównywało wystawnością imprezie Patrycji. Dobiegająca pięćdziesiątki Debbie była mężatką od niepamiętnych czasów i nikt już nie wiedział, jak wygląda jej życiowy partner. Carmen z kolei miała nie tylko męża, ale

- jak utrzymywała Marcy Keller, naczelna redakcyjna plotkarka - kochanka. Janice z działu produkcji była zameżna dwukrotnie, pomimo włochatego znamienia na policzku.

A jak przedstawiała się drużyna samotnych? Z trudem przełknęłam ślinę na widok dziwacznej trójki zajmującej drugi koniec stołu. Zawsze wścieklej Lukrecji Wenner z działu reklamy nie mógł polubić nikt, niezależnie od płci. Nancy Hamlin, sekretarka Patrycji, była, jak podejrzewali wszyscy, lesbijką. Marcy Keller nie miała własnego życia, gdyż cały swój czas poświęcała omawianiu prywatnych spraw bliźnich. Gorzki uśmiech na ich twarzach nie mógł zamaskować prawdy, którą zdradzały ich spojrzenia: żadna z nich nie miała cienia nadziei. Zamknęłam oczy. Czy mnie czekał podobny los?

Wyznanie: *Nie jestem gotowa na to, żeby być dziewczyną porzuconą.*

Zrozumiałam to z całą ostrością już podczas pierwszego, samotnego weekendu. Derrick wyjechał zaledwie trzy dni wcześniej, obiecując, że zadzwoni, kiedy tylko się urządzi. Żegnając się, ustaliliśmy, że odtąd jesteśmy tylko przyjaciółmi. Muszę przyznać, że był pierwszym przyjacielem, któremu życzyłam niepowodzenia. W moich marzeniach Derrick z podkulonym ogonem wracał niemal natychmiast do Nowego Jorku i błagał, żebym zechciała z nim być.

Jade zaprosiła mnie na piątkowy babski wieczór do klubu, do którego wybierała się ze swoimi koleżankami z magazynu „Fastyga”, gdzie pracowała jako stylistka. Ja jednak wolałam spędzić ten czas u Alyssy - unikając w ten sposób konfrontacji ze zrobionymi na supermodelki panienkami wirującymi na parkiecie oraz związanego z tym widokiem poczucia, że jestem tłuśta i niemodnie ubrana.

- Em! Masz prawo być wściekła. Nie wstydz się! - Alyssa podała mi kieliszek martini.

Już po dwóch łykach zaczęłam się nad sobą rozczulać i byłabym robiła to dłużej, gdyby nie terapia Alyssy oparta na koncepcji: „Ja jestem OK i ty jesteś OK”. Ciężko wzdychając, obserwowałam swoją przyjaciółkę, jak fachowym ruchem wrzuca grzyby do rondla - przygotowywała jakieś wytworne danie dla swojego chłopaka Richarda, który lada chwila miał wrócić do domu z firmy, gdzie był wpływowym i wysoko opłacanym prawnikiem. Alyssa też skończyła prawo, ale zajmowała się sprawami środowiska naturalnego - ochroną drzew, walką z miejskimi wodociągami o pitną wodę w kranach i temu podobnymi. Nie dość, że była w tym niezła, to jeszcze wyglądała jak laska i umiała gotować. Niestety ostatnio pitrasila głównie

zdrowe dania o nazwach, które raczej poszerzały myślowe horyzonty słuchacza, niż apelowały do jego kubków smakowych.

Dzisiaj jednak przymioty Alyssy, które podziwiałam od zawsze, wpływały na mnie depresyjnie. Patrzyłam, jak krząta się w kuchni, i pytałam siebie, czy to jest sposób na uniknięcie statusu dziewczyny porzuconej. Może i mnie by się udało, gdybym wkładała więcej serca w podobne zajęcia i wysiliła się na coś więcej niż rozpuszczalną kawę ze sztuczną śmietanką w te niedzielne poranki, które spędzałam razem z Derrickiem?

- To, że Derrick miał dobry powód, żeby wyjechać, wcale nie znaczy, że ty nie masz równie dobrego powodu, żeby być wściekła - ciągnęła Alyssa przejętym tonem.

Chociaż Alyssa zna mnie lepiej niż ktokolwiek inny, to wczuwanie się w mój stan jej nie wychodzi. I trudno się dziwić, skoro od wejścia w okres dojrzewania nie może opędzić się od męskich propozycji. Kiedyś zapytałam, jakim cudem zawsze z kimś jest. Odpowiedziała ze śmiechem, że zwykle umawia się z facetem tak długo, że w pewnej chwili oboje mają siebie serdecznie dosyć, potem zrywa z nim bez bólu - dokładnie wtedy, kiedy Ten Nowy pojawia się na horyzoncie.

Gdyby chodziło o kogoś innego, mogłabym przyjąć, że Lys cierpi na chroniczny syndrom posiadania mężczyzny. Choroba ta doprowadza większość kobiet nie tylko do stałego umawiania się z facetami, ale sprawia, że wiążą się na całe życie z kimś, kto im nie odpowiada, a wszystko po to, żeby uniknąć opcji odwrotnej, czyli całkowitego braku faceta. Stwierdzam z całą odpowiedzialnością, że nie dotyczy to mojej przyjaciółki. Powiem więcej - Alyssa jest tak cudowna, że niemal wszyscy mężczyźni, którzy ją poznali, marzą o tym, żeby mieć kogoś takiego dla siebie.

Richard, jej aktualny ukochany, jest tego najlepszym dowodem. To pierwszy facet, z którym Alyssa odważyła się zamieszkać na stałe i - według mnie - najbardziej wartościowy ze wszystkich jej dobiegaczy. Otóż Richard dzielił mieszkanie z Danem, poprzednim jej chłopakiem. Wszyscy troje studiowali prawo. Lys, uciekając przed swoją ówczesną, dość koszmarną współlokatorką, często przemieszkowała u Dana, a Richard korzystał z każdej okazji, żeby przebywać w jej towarzystwie. Nie trzeba chyba dodawać, że bardzo prędko beznadziejnie zakochał się w Lys. Mogę sobie wyobrazić jego radość, kiedy Dan spakował manatki i wrócił do Ohio, żeby podjąć pracę w kancelarii prawniczej ojca.

Zauważyłam, że Alyssa porzuciła swoje grzyby i patrzy na mnie wyczekująco. Musiałam zareagować na jej pseudopsychologiczną paplaninę.

- Nie jestem wściekła, Lys. Po prostu za nim tęsknię.
- Musisz się wściec, Em. Dopiero wtedy z tym skończysz.

Na myśl o tym, że miałabym skończyć z Derrickiem, ogarnęło mnie przerażenie. Przecież był mężczyzną mojego życia. Bratnią duszą.

- Uhm - mruknęłam wymijająco, nie przyznając się, że uważam sugestię Lys za zbyt śmiałą.

Potem nieopatrznie przyjąłam zaproszenie na kolację. Dopiero później uświadomiłam sobie swój błąd. Patrząc, jak Lys i Richard rzucają strzępki zdań o mijającym dniu i wymieniają znaczące spojrzenia, zrozumiałam z całą jasnością, że muszę zacząć nowe życie. Życie, w którym nie będzie miejsca na spotkania ze szczęśliwymi parami.

Wyznanie: Żyłam w błędnym przekonaniu, że raz na zawsze porzuciłam świat, w którym kobiety polują na mężczyzn.

Pierwszą rzeczą, którą zrobiłam w sobotę, był telefon do Jade. Błagałam ją, żeby zjadła ze mną śniadanie. I pomimo lekkiego kaca Jade, najlepsza z przyjaciółek, obiecała wyjść z domu przed zapadnięciem zmroku.

Umówiliśmy się we French Roast wyłącznie dlatego, że mieli tam ogródek, w którym Jade mogła spokojnie palić. Stawiłam się tam za pięć pierwsza (jestem chronicznie punktualna, który to zwyczaj rozwinęłam w sobie, żeby mieć jakiegoś haka na chronicznie niepunktualnego, ale doskonałego w innych dziedzinach Derricka) i czekałam niecierpliwie na pokrzepiającą rozmowę z dziewczyną samotną. Jade należała do nielicznej grupy dziewczyn, którym niestraszone były zmagania na nowojorskiej męsko-damskiej giełdzie. Wydaje się, że nie przegrała dotąd żadnej potyczki. Kiedy dawała facetowi numer telefonu, on zawsze dzwonił. Często nie podnosiła nawet słuchawki, co najlepiej dowodzi jej pewności siebie.

Jade pojawiła się kwadrans po pierwszej, bezceremonialnie wspaniała. Miała na sobie luźne spodnie i głęboko wyciętą górę, która odsłaniała jej opalone ramiona. Ta dziewczyna chyba urodziła się po to, żeby prezentować ciuchy. Idealny rozmiar S: bez bioder, ale z biustem, o który można zahaczyć oko. Długie, miedzianorude włosy układały się bez pomocy fryzjera. Dodam jeszcze, że miała zielone oczy, wystające kości policzkowe i cudowną cerę. Inne kobiety zazwyczaj nienawidzą tego typu. Przyczyna jest prosta - Jade przyciągała uwagę wszystkich mężczyzn obecnych w pobliżu. Nieraz zastanawiałam się, jakim cudem możemy się

przyjaźnić, skoro ona jest zawsze swobodna i pewna siebie, a ja marudna i często nie w humorze.

A jednak przyjaźniłyśmy się niezmiennie od podstawówki. Łączyły nas wspomnienia - pierwsze staniki, pierwsze randki, opowieści o pierwszych zmysłowych odkryciach. Jakiś fotografik zaproponował dwudziestoletniej Jade, aby złożyła portfolio w agencji modelek. Zbyła go wzruszeniem ramion, jakby taka propozycja mogła trafić się każdemu. W końcu zaczęła pracować jako stylistka w „Fastrydze” i tak wylądowała po drugiej stronie obiektywu.

- Przepraszam za spóźnienie. - Jade uściśnęła mnie z całych sił, a potem cofnęła się, żeby spojrzeć mi w oczy. Chyba chciała sprawdzić, w jakim jestem nastroju.

Zamówiłyśmy coś do jedzenia. Ona - sałatkę nicejską; po prostu lubiła zdrowe i lekkostrawne dania. Ja - zapiekanekę z wędzonego łososia z jajkiem na twardo. Była to bardziej elegancka wersja tłustych, naładowanych węglowodanami potraw, którymi się napychałam w chwilach litości nad sobą.

- Dobra! Zrzuć to z siebie - oświadczyła Jade. - Jesteś w dołku? To widać. Tylko mi nie mów, że z jego powodu. Nie jest tego wart.

No więc zaczęłam. Opowiedziałam jej, że straciłam cel w życiu po tym, jak z osoby żyjącej w szczęśliwym związku zamieniłam się w dojmująco samotną kobietę, a wszystko to przed długim weekendem z okazji Dnia Pamięci.

- Alyssa twierdzi, że nie umiem wściec się na Derricka, bo go usprawiedliwiam. To prawda, że nie mogę się na niego gniewać. Przecież zawsze marzył o Los Angeles. To znaczy o tym, żeby żyć z pisania scenariuszy.

Z zazdrością patrzyłam, jak Jade zapala papierosa. Jaka szkoda, że rzuciłam palenie!

- Zadam ci jedno pytanie - zaczęła Jade. - Skoro nie możesz bez niego żyć, dlaczego nie rzucisz wszystkiego i nie pojedziesz za nim do LA?

Uderzyła mnie w najczulszy punkt. Ja nie odważyłam się zadać sobie tego pytania.

- A moja praca? - Złapałam się na tym, że powtarzam słowa Derricka, dla którego był to wystarczająco racjonalny powód, żeby nie zaproponować mi wspólnego wyjazdu.

- Mówisz o „Twoim Ślubie”? - Jade wybałuszyła oczy.

- Przecież wiesz, że jestem następna w kolejce do awansu - broniłam się, jak umiałam, chociaż w głębi duszy zdawałam sobie sprawę, jak głupio to brzmi.

Nagle wychwalam pracę w „Twoim Ślubie"! W piśmie, z którego kpię niemiłosiernie podczas wszystkich naszych piątkowych wizyt w barze. A w dodatku wciskam to Jade, która

doskonale wie, że po pierwsze: od zawsze chciałam być pisarką, oraz po drugie: moja twórcza praca podczas minionych dwóch lat, które spędziłam z Derrickiem, ograniczała się do wymyślenia tytułów dla magazynu.

W naszym związku z Derrickiem nie było miejsca dla dwojga pisarzy. Rolę twórcy przyjął on. To chyba jasne, jeśli wziąć pod uwagę jego scenariusz oraz kilka opowiadań, które ukazały się w pismach literackich. A ja przez ostatnie półtora roku nie napisałam ani słowa. Nikt tego nie wiedział, poza Derrickiem, oczywiście. Takich rzeczy nie da się ukryć, spędzając trzy czwarte życia wspólnie na kilkunastu metrach kwadratowych.

- Poza tym mam tu mieszkanie - dodałam słabym głosem i z ulgą pochyliłam się nad talerzem, który postawiła przede mną kelnerka.

W ten sposób mogłam uniknąć badawczego spojrzenia Jade. Rzecz w tym, że Jade zna mnie nawet lepiej niż Alyssa.

Czasami myślę, że zna mnie lepiej, niż ja sama siebie, i dlatego nie mogłam ukrywać przed nią prawdy, którą ukrywałam przed sobą.

- Emmo...

- Rzecz w tym, Jade, że on nie chce, żebym była z nim, kiedy stanie się sławny i bogaty.

W jej oczach zauważyłam współczucie. Już wolałabym, żeby była na mnie zła.

- Wiem, czego ci teraz potrzeba - kilku miłych i niezobowiązujących randek. Wiem nawet z kim. - Przestała grzebać w swojej salacie i spojrzała na mnie zdecydowanym wzrokiem. - Parę dni temu robiłam sesję zdjęciową, w której on brał udział.

- Nie umawiam się z modelami. - Czytaj: oni nie umawiają się ze mną. - Nawet ty przestałaś się z nimi umawiać.

Po całych tygodniach starań Jade zrozumiała w końcu, że modele są tak bardzo skupieni na sobie, że nie sposób ich uwieść naprawdę - nie nadają się nawet na jeden wieczór ekstazy. Taką miałam nadzieję.

- Daj spokój, Emmo. Przecież wiesz, że to najlepsze lekarstwo na twój stan. Poza tym, facet może okazać się miły.

- To dlaczego sama się z nim nie umówiłaś? - Czekałam na jej reakcję. Nie podobał mi się pomysł randki z kimś, kogo nie chciała Jade. Zbyt ufałam jej ocenom męskich przymiotów, żeby uwierzyć, że w facecie, którego usiłuje mi sprzedać, nie dostrzegła poważnej wady, którą teraz przede mną ukrywa.

- Nie jest w moim typie. - To znaczy, że miałam rację.

- Dajmy sobie spokój, dobrze?

- Umówię cię z nim na następny weekend.

- Następny weekend?! - Byłam zaszokowana. Jak mogła zaproponować, żebym ja - z co najmniej dwukilogramowymi śladami poprzedniego związku na udach i trzęsącymi się przy każdym ruchu emocjami - usiadła naprzeciw jakiegoś olśniewająco przystojnego faceta i każdym nic nieznaczącym słowem utwierdzała go w przekonaniu o jego wspaniałości? - Dziękuję, ale nie.

- Więc co zamierzasz?

- Nie wiem jeszcze. Muszę przeżyć jakoś najbliższy weekend. Nie myślę o następnym. À propos, co dzisiaj robisz? Może poszłybyśmy do kina? - Kto wie, może Jade nie ma żadnych planów?

- Nie mogę. Mam randkę.

- Naprawdę? Ze Sterydowym Królem?

- Mówisz o Carlu? Nie, to już przeszłość. Wspominałam ci, że on - no wiesz - nie daje sobie rady. Nie warto rozwiązywać problemów impotencji u mężczyzny, którego nie kochasz. Pamiętasz, co przeszłam, będąc z Michaelem?

Nie będę daleka od prawdy, mówiąc, że Michael o mały włos zostałby miłością życia Jade. A jeśli nie został, to tylko dlatego, że porzucił ją brutalnie dla jakiejś głupawej blondynki ze swojego biura. Jade przez ponad rok znosiła jego próżność, niedojrzałość i - co najgorsze ze wszystkiego - impotencję, której Michael oczywiście nie nazywał impotencją. Po prostu twierdził, że uprawianie seksu z Jade go nie interesuje. Od ich zerwania minęły już dwa lata, a Jade do dziś robi, co może, żeby się z tego otrząsnąć. Szuka wrażeń, których nigdy nie zaznała z Michaelem. W sensie erotycznym, oczywiście. Ironia losu polega na tym, że piękna, inteligentna i niezależna finansowo Jade nie spotkała dotąd w Nowym Jorku żadnego mężczyzny, z którym mogłaby prowadzić satysfakcjonujące życie seksualne. Rozumiem ją doskonale, bo i ja sporo przeszłam po przyjeździe tutaj. Obie żartujemy nawet, że powinnyśmy napisać scenariusz serialu zatytułowanego *Bez seksu w wielkim mieście*. Carl to ostatni epizod w życiu erotycznym Jade: napakowany sterydami osiłek, który tak zapamiętałam pracuje nad utwardzaniem mięśni, że wymięka w innych szczegółach anatomicznych.

- Nie, ten jest prawdziwy, chociaż też poznałam go na siłowni. Cudownie giętki. Wygląda, jakby całymi dniami surfował.

- Jest modelem, prawda?

- Taaak, ale mocno stoi na ziemi - broniła się Jade znad nieruszonej sałatki.

Mimo że Jade nie chce tego słuchać, ja uważam, że wszystkie jej kłopoty związane z mężczyznami biorą się z błędnych kryteriów wyboru. Jade lubi pięknych ludzi. Prawdopodobnie dlatego uchodzi za najbardziej wymagającą stylistkę w całej branży. Ale jakimś cudem nie zauważyła jeszcze, że wszyscy piękni mężczyźni mają jedną wspólną cechę - nikogo nie kochają bardziej niż siebie.

- Wiem, co myślisz, Em - powiedziała. - Ale teraz to co innego. On jest rzeczywiście piękny, ale mam głębokie poczucie, że nie zdaje sobie z tego sprawy.

- Jasne. I całkiem nieświadomie wybrał zawód modela.

- Proszę cię, Em. Facet jeszcze niedawno mieszkał wśród pszenicznych pól Środkowego Zachodu. Tam go wypatrzyli łowcy talentów.

- Nieraz słyszałam podobne historie... - Ciekawe, dlaczego wszyscy modele twierdzą, że dostali swoją wysokopłatną i efektowną pracę zupełnie przypadkiem?

- Wydaje się taki... niewinny - ciągnęła Jade. - Zacerwienił się, kiedy dałam mu swój telefon.

- Żartujesz!

Zaśmiała się w odpowiedzi i zapaliła papierosa.

- No to co zamierzasz robić dziś wieczorem? Pójdiesz gdzieś z Alyssą?

Mimo całkiem różnych charakterów, Jade i Alyssa zaprzyjaźniły się od razu, kiedy je ze sobą poznałam.

- Ona na pewno wybiera się gdzieś z Richardem, a ja nie zniosę wieczoru z żadną Szczęśliwą Parą o Krok przed Małżeństwem.

- Nie powinnaś siedzieć sama w domu. Masz ochotę na drinka ze mną i z Tedem?

- Ma na imię Ted?

- Sama widzisz. Imię też brzmi niewinnie.

- Jak imię kolegi z sąsiedniego podwórka.

- Więc jak? Co powiesz na spotkanie w barze ze mną i Wspaniałym Tedem?

- Nie, raczej nie. Wolę zostać w domu. Wezmę się w garść. Może przemebluję mieszkanie. Od dawna myślę o tym, żeby przesunąć półki. Powieszę kilka obrazków.

- Jesteś pewna, że wolisz zostać w domu?

- Jasne. Chyba nie sądzisz, że to pierwsza sobota, którą spędzam samotnie?

Wyznanie: *Od dwóch lat nie spędziłam samotnie żadnego sobotniego wieczoru.*

To nie do końca prawda, bo zdarzały się soboty, które Derrick spędzał w swoim domu - pisząc, a ja w swoim - też pisząc. Tak przynajmniej utrzymywałam. Kiedy Derrick zaczynał przebąkiwać o zaległościach w pracy, odpowiadałam z zimną krwią: „Jasne. Sama myślałam o tym, żeby napisać opowiadanie”.

Potem się rozstawaliśmy, a ja włączałam komputer i zaczynałam przepierkę albo porządki w szufladzie. W chwilach wyjątkowej desperacji brałam starą szczoteczkę do zębów i zabierałam się do czyszczenia czarnego osadu między kafelkami w łazience. Jeśli podczas moich ucieczkowych działań przypadkiem telefonował Derrick, pytając, co robię, nieodmiennie odpowiadałam, że pracuję. I nie było to kłamstwo.

Dzisiaj nie odważyłam się włączyć komputera. Nie zrobiłam też prania w obawie, że rozsypię się pod wpływem wspomnień. Zwinęłam się na łóżku i zastanawiałam, jak przetrwam ten wieczór.

Telefonowałam wcześniej do Alyssy. Oboje z Richardem byli zaproszeni na kolację do jego siostry. Tym samym upewniłam się, że dzisiaj nie mam u kogo szukać pociechy. Była wprawdzie Rebeka, moja koleżanka z pracy, ale jak dotąd żadna z nas nie naruszyła jeszcze weekendowej przestrzeni tej drugiej. Był Sebastian - mój fryzjer i czasami (to znaczy w chwilach, kiedy nie wdawał się w ogniste romanse z jakimiś superprzystojnymi mężczyznami) przyjaciel. Nie mogłam jednak zadzwonić do niego teraz, ponieważ nie robiłam tego od bardzo dawna. Nie wypadało mi oczekiwać wsparcia od kogoś, z kim sama zerwałam kontakt.

- Zrób coś dla siebie - poradziła Alyssa. - Weź gorącą kąpiel, nałóż sobie maseczkę i przeczytaj coś ciekawego.

Właśnie tak powinnam się zachować. Każdy kobiecy magazyn i książkowy poradnik radził zrobić to samo. Wprawdzie sama ich nie czytuję, ale moja mama pochłania taką literaturę za siebie i za mnie. Zamiast tego pożarłam ponad pół litra czekoladowych lodów z chrupkami i zaczęłam przeglądać zeszłoroczne zdjęcia z East Hampton, gdzie wynajęliśmy z Derrickiem i jego znajomymi dom na całe wakacje. Wpatrywałam się w twarz, którą tak kochałam. Studiowałam fotografie, na których staliśmy objęci, opaleni i widziałam szczęście w jego oczach. Byliśmy jak najbardziej zakochani. Albo tak mi się wydawało.

Dlaczego wszystko tak źle się skończyło?

Kiedy się nad tym zastanawiałam, ponurą ciszę panującą w pokoju zakłócił dzwonek telefonu. Podniosłam słuchawkę, zanim pomyślałam, że w tę pierwszą samotną sobotę powinnam zachować ostrożność.

- Emma! Jesteś w domu? Właściwie nie miałam nadziei, że cię złapię.

- Cześć, mamó. - Tego mi brakowało! Własna matka odkrywa, że w sobotę wieczorem siedzę w domu. - Muszę dokończyć kilka rzeczy i postanowiłam, że zrobię to dzisiaj. Jak się czujesz?

- Świetnie. Clark właśnie wyszedł po zakupy, a ja pomyślałam, że sprawdzę, czy jesteś.

Clark to obecny mężczyzna mojej mamy. Pomimo że są już ze sobą od trzech lat, ja nie mogę uwierzyć, że ich związek przetrwa. Nie żebym miała coś do Clarka - to naprawdę najodpowiedniejszy facet dla mojej mamy. Chodzi o nią. Ma straszego pecha do mężczyzn. Ostatnio zaczęłam się zastanawiać, czy to nie jest dziedziczne.

- Co u ciebie i Derricka? - zapytała.

To było rutynowe pytanie, które powtarzała co najmniej raz podczas każdej naszej rozmowy, ale ja wiedziałam, że pod spodem kryje się niewypowiedziane: „Czy zamierzacie w końcu ogłosić zaręczyny?” albo: „Czy doczekam się kiedyś wnuków?” Oczywiście mama byłaby oburzona, słysząc moje podejrzenia, i zaprzeczyłaby im z całą mocą.

- Wszystko w porządku - powiedziałam radośnie, ignorując wszelkie możliwe podteksty.

Zrobiłam to, mimo że w obecnej sytuacji oczekiwania mojej mamy prawdopodobnie nigdy się nie spełnią - człowiek, który był ostatnią szansą jej trzydziestoletniej córki, spakował walizki i wyjechał do Los Angeles. Zważywszy na to, że odstęp czasowy pomiędzy kolejnymi związkami tejże córki wynosi średnio dwa lata, oraz biorąc pod uwagę fakt, że tylko jeden na trzech jej partnerów nadaje się na partnera, człowiek ten przekreślił całkowicie jakąkolwiek możliwość macierzyństwa.

Nie mam pojęcia, dlaczego skłamałam. Chyba nie chciałam o tym rozmawiać. Nie chciałam usłyszeć, jak mówię, że mi się nie udało. Nie teraz, kiedy poczucie straty było tak bolesne. Kiedyś i tak jej o tym powiem.

Ale okazało się, że mama zamierzała rozmawiać o czymś innym.

Po kilku minutach paplania o sytuacji w Bilbo - przedsiębiorstwie farmaceutycznym, w którym pracowała, od kiedy byłam dzieckiem, podała prawdziwy powód swojego telefonu.

- Wolałabym powiedzieć ci to osobiście, ale ponieważ nie wiem, kiedy cię zobaczę... - I oto wyszedł na jaw kolejny punkt sporny. Według mamy moje comiesięczne wyprawy na Long Island w celu złożenia jej hołdu były niewystarczające.

- O co chodzi? - przerwałam.

- Wiesz, Clark i ja... postanowiliśmy się pobrać.

W pierwszej chwili nie zwróciłam uwagi na jej oświadczenie. W końcu Clark miał zostać mężem numer 3 (niemal numer 4) - jeśli nie wspominać długiej listy mężczyzn, w których mama była zakochana na tyle, że rozważała możliwość ich poślubienia. Trzeba przyznać, że myśląc o małżeństwie, miała zawsze szczerą intencję. Niestety, wybierała zazwyczaj nieodpowiednich facetów.

Pierwszy był mój ojciec - nałogowy alkoholik, co zauważyła dopiero po dwudziestu latach małżeństwa. „Był taki zabawny na przyjęciach” - oświadczyła kiedyś, mówiąc o dawnych, szczęśliwszych dniach.

Potem przyszła kolej na Donalda, który o mały włos zostałby mężem numer 2. Jego błyskawiczne zaloty zakończyły się podróżą do Las Vegas, gdzie miał odbyć się ślub. Niestety, już na lotnisku Donald został przyuważony przez władze. Wręczono mu nakaz aresztowania za trzykrotne defraudacje.

Następny był Warren, którego uznałabym za największą miłość mamy, gdyby ich małżeństwo potrwało dłużej. Wzięli ślub po ośmiu latach znajomości (tym razem mama nie zamierzała ryzykować), a ja byłam ich druzną. Niestety, kilka tygodni później Warren zmarł na atak serca.

Teraz był Clark. Uroczy i cudowny. Profesor języka angielskiego, który niesymetrycznie się uśmiechał i miał skłonność do cytowania siedemnastowiecznych poetów metafizycznych, czym kompletnie zawojował mamę.

Oświadczenie mamy należało jednak traktować poważnie. Przekonałam się o tym, kiedy zasypała mnie szczegółami dotyczącymi samej ceremonii.

- ...niewielki statek wycieczkowy. I tylko rodzina: ja i Clark, babcia Zizi. Ty i Derrick. Shaun i Tiffany. - Shaun to mój młodszy brat. Młodszy, ale żonaty, powinnam dodać. - Syn i córka Clarka z dziećmi - ciągnęła mama. - Popłyniemy w krótki rejs po Morzu Karaibskim. Na Wyspie Świętego Tomasza odbędzie się ślub, a w tle szum fal rozbijających się o brzeg. Rodzinne wakacje i wesele równocześnie. Świetny pomysł, nie sądzisz?

Tak. Naprawdę świetny.

ROZDZIAŁ DRUGI

„Nie przyciskaj do muru człowieka, który czemuś zaprzecza, dopóki nie byłeś w jego skórze”

- Imię, nazwisko i wiek znane redakcji

Wyznanie: *Na skutek zerwania stałam się patologiczną kłamczuchą.*

W poniedziałek rano wślizgnęłam się do boksu Rebeki. W dawnych czasach często wyprawiałyśmy się razem do baru w godzinach serwowania drinków po promocyjnych cenach. Świętowałyśmy dobre recenzje albo narzekałyśmy na co bardziej upierdliwe koleżanki. Wyprawy te stawały się jednak coraz rzadsze, gdyż ja, traktując śmiertelnie poważnie domowe sesje wideo z Derrickiem oraz chwile wspólnego wyboru dań na wynos w najbliższej chińskiej knajpce, zaczęłam unikać wszystkich przyjaciół z wyjątkiem Jade i Alyssy.

Rebeka była z Nashem niemal tak długo jak ja z Derrickiem, ale jakimś cudem zawsze znajdowała czas dla przyjaciół. Nigdy też nie odmawiała niespodziewanym zaproszeniom - nawet jeśli stary dobry Nash zarezerwował na ten sam czas stolik w restauracji. Wydaje mi się, że Rebeka była wręcz dumna z tego, że umie równocześnie przyjaźnić się ze wszystkimi i być lojalną dziewczyną jednego. Z tego powodu zaczęłam traktować ją trochę podejrzliwie, żeby nie powiedzieć - z zazdrością.

- Moja mama znowu wychodzi za mąż - oznajmiłam rozdrażnionym tonem.

- Cudownie! - Rebeka podniosła oczy znad makiety, którą właśnie sprawdzała, i uśmiechnęła się szeroko.

Jej entuzjazm natychmiast wzmógł moją czujność. Od zawsze łączyło nas jedno - zdrowa pogarda wobec ograniczonego światka ślubnych ceremonii, poza który „Twój Ślub” nigdy nie wychodził. Dzięki kpinom mogłyśmy odizolować się od reszty biura. Od ludzi, którzy gotowi byli wymyślać poetyckie peany na każdy temat - od wyboru odpowiedniego miejsca na ślub po gramaturę papieru na zaproszenia. Gdybym nie znała Rebeki tak dobrze, mogłabym pomyśleć, że i ona zaraziła się ślubnym entuzjazmem lansowanym przez pismo. Bo dla „Twojego Ślubu” tam, gdzie zaczynał się ślub - każdy jeden, nawet trzeci ślub twojej matki - kończyły się żarty.

- Trudno mi wykrzesać z siebie entuzjazm. Dotychczasowe losy mojej mamy są przykładem tego, że wieczna miłość nie istnieje.

Rebeka przez chwilę patrzyła na mnie tak, jakbym mówiła obcym językiem.

- Powinnaś się cieszyć jej szczęściem. Mało kobiet potrafi się zakochać po tylu porażkach. Jest odważna.

- Nie wiem, czy to odwaga, czy odpowiednia dawka prozaku.

Od śmierci Warrena mama była gorącą wyznawczynią szczęścia dostarczanego w ła-
twych do przełknięcia kapsułek.

- Co cię dzisiaj ugryzło? Zwykle nie jesteś aż tak cyniczna. Musiałaś chyba pokłócić się z Derrickiem.

Wpadłam w lekki popłoch. Czyżby stan, w którym się znalazłam, aż tak rzucał się w oczy? Przez chwilę przypatrywałam się Rebecce - jej zadbanej fryzurze, idealnie wyskubanym brwiom, ołówkom, które równo poukładała na biurku, i robiłam się coraz bardziej nieufna. Nawet zdjęcie Nasha rzucało podejrzaną błyski w moim kierunku. Nie. Nie ma szansy, żebym powiedziała prawdę.

- Nie pokłóciłam się z Derrickiem. Między nami wszystko w porządku.

- To dobrze. - Rebeka wróciła do makiety. - Przynajmniej będziesz mogła w spokoju pomóc mamie. O, rany! - parsknęła śmiechem. - Tak naprawdę mogłabyś jej wszystko zorganizować, gdyby było trzeba.

O ile wcześniej nie umrę z powodu złamanego serca.

Wyznanie: Malżeństwo wydało mi się nagle czymś w rodzaju choroby społecznej.

Czekało mnie największe wyzwanie od czasu zerwania. Musiałam wykrzesać z siebie dosyć entuzjazmu, żeby napisać krótki tekścik przeznaczony dla przyszłych panien młodych, roboczo i w całkowitym sekrecie zatytułowany przeze mnie „Jak przeżyć dzień ślubu i nie zapaść się kompletnie”. Męczyłam się właśnie nad początkiem, kiedy poczułam, że ogarnia mnie wściekłość - zgodnie z zaleceniami Alyssy. A co z dziewczynami, które nie będą pannami młodymi?

Tymczasem nawet moja własna matka zagoniła mnie do roboty przy swoim weselu. W mojej bazie danych miałam sprawdzić warunki prawne zawierania ślubów za granicą i rejsy wycieczkowe po Karaibach. Co gorsza, mama oznajmiła radośnie, że w przyszłym tygodniu bierze dzień urlopu i przyjeżdża do Nowego Jorku, żeby omówić moje propozycje.

Dlaczego uprawiam zawód, który pozwala innym mnie wykorzystywać? Dlaczego tylu ludzi zawraca mi głowę, pytając o wszystko: począwszy od tego, jak zorganizować romantyczną podróż poślubną (bez konieczności opalania się, bo od tego starzeje się skóra), a skończywszy na przepisie na eleganckie przystawki (których przygotowanie nie wymaga oczywiście żadnego wysiłku)? Przebywając w małym światku skupionym wyłącznie na planowaniu ślubnych uroczystości, dowiedziałam się jednego: jeśli nie wychodzisz za mąż, nie dostajesz nic. Kiedyś na kolegium redakcyjnym zaproponowałam nawet, żeby każdej kobiecie po trzydziestce organizować panińskie przyjęcie. Z prezentami. Bez względu na to, czy po przyjęciu nastąpi ślub. Wszyscy popatrzyli na mnie jak na wariatkę.

Zadzwonił telefon, ratując mnie od konieczności ślęczenia nad cholernym artykułem.

- Cześć, Em - usłyszałam głos Jade.

- To ty! Chwała Bogu.

- A kogo się spodziewałaś?

- Miałam nadzieję, że to nie będzie ktoś, kto wybiera się za mąż.

- Możesz się nie bać. Co słyhać?

- Nic. Czyli to, co zawsze. Terminy naglą, motywacja do pracy - zerowa. Jak twoja randka z Tedem?

- Było wspaniale. Poszliśmy do baru, a potem na bilard. Czy już ci wspominałam, że Ted ma najpiękniejsze ramiona, jakie widziałam u mężczyzny? Gładkie i silne, tak jak lubię. Ma nawet kilka tatuaży. Sama wiesz, jak działają na mnie faceci z tatuażem.

- Ooo! Tracisz głowę.

- Nie wiem, co zrobię, jeśli się z nim nie prześpię.

- Chyba będziesz musiała za niego wyjść.

- Co w ciebie wstąpiło?

- To wszystko wina mojej mamy. Znowu wychodzi za mąż.

Musiałam odsunąć słuchawkę od ucha, bo Jade wydała ryk radości.

- Naprawdę? Cudownie! Oni tak do siebie pasują. Zaraz wyślę jej kartkę z gratulacjami. Kupię coś, kiedy wyjdę na lunch... - Powinnam przewidzieć, że Jade będzie w drużynie mamy.

- Jade, chyba jestem jedyną osobą na świecie, której to nie cieszy.

- A powinno - napomniała mnie surowo. - Przecież to twoja matka. Chyba chcesz, żeby była szczęśliwa.

- Pewnie, że chcę. Tylko nie jestem pewna, czy małżeństwo jest właściwą drogą do szczęścia. To będzie jej trzeci mąż. Niemal czwarty.

- Przestań. Dlaczego chcesz, żeby żyła jak inni? Ona spędza życie na poszukiwaniach. I bardzo dobrze, zwłaszcza że w końcu znalazła to, czego chce.

- Miejmy nadzieję, że masz rację - westchnęłam. - Może nie cieszę się tylko dlatego, że mama wymyśliła rejs po Karaibach dla całej rodziny. Tam odbędzie się Wielka Ceremonia. I zgadnij, kto zajmie jedyną pojedynczą kabinę na całym statku?

- O czym ty mówisz?

- Nie byłam w stanie powiedzieć jej o Derricku. Sama nie wiem dlaczego.

- Jeszcze zdążysz. Kiedy ślub?

- Mama ma nadzieję, że uda się jej zorganizować wszystko na koniec września.

Zapadła chwila ciszy. Jade najwyraźniej myślała.

- Czasu nie jest za dużo - odezwała się w końcu - ale kto wie, co może jeszcze się zdarzyć? Do września możesz się zakochać. A jak nie, na statku znajdziesz sobie przystojnego kelnera i zaprosisz go do swojej pojedynczej kajuty.

- Nie bardzo w to wierzę. Może wymyślę, kogo wziąć ze sobą...

- Chłopak z ławki rezerwowych? Niegłupia myśl.

W naszym języku chłopak z ławki rezerwowych oznaczał kumpla płci męskiej, który nadawał się do zabrania na oficjalne imprezy w rodzaju ślubów lub biurowych pikników. Był to ktoś, z kim z takich czy innych względów nie miałyśmy ochoty randkować naprawdę. Moim chłopakiem z ławki rezerwowych był Cal. Podczas studiów dorabialiśmy jako kelnerzy w tej samej restauracji. Nadawał się doskonale - dobrze tańczył i był na tyle wysoki, że idąc z nim, mogłam wkładać buty na bardzo wysokich obcasach. I jeszcze jedno, najważniejsze - Cal nie był atrakcyjny, co w moim przypadku wykluczało ewentualne poufałości po spożyciu większej dawki alkoholu i nie doprowadzało do kłopotliwych sytuacji dzień później. Pech polegał na tym, że w czasach Derricka Cal usamodzielniał się. Co więcej - ożenił! Mężczyźni to straszne świnie.

- Właśnie mi się przypomniało, że nie mam już rezerwowego. Cal ożenił się rok temu.

- Rzeczywiście. - Usłyszałam, jak Jade zaciąga się papierosem. - Zostaje Sebastian.

Oczywiście, mogłam wziąć Sebastiana. Ale bynajmniej nie wyglądał tak, jak powinien wyglądać chłopak z ławki rezerwowych. Wybór takiego partnera na ślub matki mógł przysporzyć mi kłopotów.

- Nie chcę wystąpić w roli grubej, starszej siostry z miną wiedźmy.

- Nie jesteś gruba.

- Skąd wiesz, jaka będę we wrześnieu? W sobotę pożarłam pół litra czekoladowych lodów z chrupkami. Pełnotłustych. Nawet nie spojrzałam na dietetyczną wersję jogurtową. Każda porcja ma dwadzieścia cztery gramy tłuszczu, a w pół litrze są cztery porcje, więc sama sobie policz.

- Nieźle. Ale nie martw się. Kogoś znajdziemy. Pamiętaj, że jest jeszcze ten model, o którym ci mówiłam.

- Wiesz, co myślę o facetach pracujących jako modele.

- Przecież nie musisz wychodzić za niego za mąż! Na zdjęciach ze ślubu mamy oboje wyglądalibyście świetnie.

- Pomyślę o tym - odpowiedziałam z niechęcią.

- No! Nareszcie poznaję starą Emmę. Nie martw się. Wszystko będzie dobrze.

Wyznanie: Mogłabym złapać męża, gdybym miała własne mieszkanie.

Udało mi się przetrwać jakoś resztę tygodnia bez popadania w poważniejsze emocjonalne tarapaty. A kiedy minął drugi samotny tydzień, a ja nie rozsypałam się na kawałki, poczułam się niemal dumna. Na początku trzeciego tygodnia wracałam z pracy piechotą. Na mojej ulicy, obsadzonej drzewami z obu stron, zdałam sobie nagle sprawę, że bycie samotną dziewczyną w najwspanialszym mieście świata nie jest wcale takie straszne. Mijając domy z brązowego piaskowca na Trzynastej Zachodniej, pomyślałam sobie nawet, że mieszkam w najładniejszym zakątku w całej okolicy. Ten stan nie trwał długo.

Chwilę potem dotarłam do swojego domu. Spojrzałam z niechęcią na łuszczącą się farbę na elewacji, rząd powgniatanych kontenerów na śmieci i westchnęłam ciężko. Dlaczego nie kupiliśmy z Derrickiem prawdziwego mieszkania? Nie odszedłby, gdybyśmy byli właścicielami dwupokojowego mieszkania kupionego okazji w takiej okolicy. Żaden facet o zdrowych zmysłach nie porzuciłby czegoś takiego. Kobieta też nie. I przez Derricka nie spełnią się moje marzenia! W tej chwili nienawidziłam go za to.

Budynek składał się z dwudziestu czterech klitek. Derrick z wielkim upodobaniem nazywał go domem dla nieuleczalnie chorych, gdyż - poza studentami, którzy wytrzymywali tu tylko do absolutorium - mieszkali w nim sami starzy ludzie z różnymi, psychicznymi lub fi-

zycznymi, dolegliwościami, niezdolni do przeprowadzki i tym samym przywiązani do miejsca, które gwarantowało im przestrzeń życiową wielkości wycieraczki. Na pierwszym piętrze urzędowała Beatrice. Szesnaście lat temu dostała w głowę kawałkiem rusztowania, w wyniku czego miała najwyższą grupę inwalidzką oraz metalową płytkę zamiast kawałka czaszki. Dzisiaj liczyła trochę ponad pięćdziesiąt lat, żyła z renty i malowała akwarele, które ozdabiały ściany jej mikroskopijnego studia. Obok mieszkał Abe, który mógł mieć zarówno sześćdziesiąt pięć jak osiemdziesiąt pięć lat. Każdego ranka pakował całą zawartość swojego mieszkania - poza nielicznymi meblami, oczywiście - w dwa worki na śmieci. Ładował worki na wózek z supermarketu i odchodził czort wie gdzie, na cały dzień.

Potem byłam ja. Nie studiowałam ani nie byłam psychiczna, a mimo to trzymałam się domu dla nieuleczalnie chorych z taką zapamiętałością, jakby od tego zależało moje życie. Swoją drogą, było to świetne miejsce: dwie krótkie przecznice do metra, obok Forum Filmowego, tuż przy Uniwersytecie Nowojorskim, pomiędzy najmodniejszymi barami w okolicy. Wszędzie było stąd blisko. W czasach Derricka marzyłam nieustannie, że gdzieś tutaj kupimy sobie mieszkanie. Czekałam na moment, w którym znudzi mu się wynajmowanie pokoju na tyłach szemranego baru na Lower East Side i towarzystwo wiecznie przeklinającego barmana, wyobrażałam sobie, gdzie i jak ustawimy tam nasze książki i kasety. Nadzieja pozwoliła mi zachować zdrowie psychiczne i oddzielała bezpiecznym murem od psychiatrycznych starców i irytująco młodych studentów.

Ale teraz Derrick odszedł i ja nie należałam już do gwarantującej bezpieczeństwo kategorii par. Wylądowałam w nieokreślonej kategorii. Nie pozostawało mi nic innego, jak ją określić.

- Emma - usłyszałam piskliwy głos, kiedy tylko weszłam do holu.

Beatrice stała obok skrzynek na listy z naręczem różnego rodzaju kopert i stosem katalogów wszystkich chyba firm zajmujących się sprzedażą wysyłkową.

- Cześć, Beatrice. Jak się masz? - zapytałam radosnym głosem przedszkolanki, którego używam, mówiąc do dzieci i tych dorosłych, którzy, podobnie jak Beatrice, nie mają wszystkich klepek.

- Dobrze, ale...

- To świetnie - odpowiedziałam pospiesznie i rzuciłam się w stronę schodów.

- ...zatoki wciąż nie dają mi spokoju. Każdego ranka budzę się z zatkanym nosem. I te zęby trzonowe! - Zza grubych okularów popatrzyła na mnie szeroko otwartymi, szarymi oczami.

- Bardzo mi przykro. - Postawiłam stopę na pierwszym stopniu, żeby przy najbliższej okazji uciec na górę.

Beatrice uwielbiała opowiadać o swoich dolegliwościach, a ja nie opracowałam jeszcze skutecznej metody unikania jej opowieści. Byłam pewna, że teraz nastąpi odcinek dotyczący sposobów leczenia zatok, ale Beatrice niespodziewanie zamilkła i zmierzyła mnie wzrokiem od stóp do głów. Poczułam się bardzo niepewnie. Nie od dzisiaj myślałam, że solidnie zbudowana, niemal kwadratowa Bea, ubrana prawie zawsze we flanelowe koszule i elastyczne spodnie, wygląda jak „męska” połowa lesbijskiej pary. Tylko że bez swojej drugiej połowy. Chyba dlatego jej uważna inspekcja mojej osoby wprowadziła mnie w popłoch - tym większy, że Derricka nie było już w pobliżu.

- Chyba mnie rozumiesz - powiedziała, otwierając usta i zamyślając się głęboko.

Zacząłam wchodzić po schodach, pospiesznie życząc jej powrotu do zdrowia.

- Poczekaj! - zawołała i całą swoją uwagę skupiła na trzymanej w rękach pocztce. Po chwili ze stosu katalogów wyciągnęła gruby tom z błyszczącymi ilustracjami. - Pomyślałam, że może ci się przydać - powiedziała, wręczając mi katalog.

Wzięłam go z wyraźną niechęcią i z głupią miną przyglądałam się okładce. Była na niej fotografia wysokiej, tęgawej kobiety w ciemnych dżinsach i flanelowej koszuli podobnej do ulubionego modelu Beatrice.

- Mają tu świetne rzeczy dla kobiet takich jak my - oświadczyła z zadowoloną miną.

Chciałam zaprotestować, ale po namyśle uznałam, że lepiej będzie uciec na górę.

- Dziękuję. Oddam ci go, kiedy już obejrzę.

- Nie musisz - odpowiedziała, pokazując w uśmiechu brązowe zęby.

Wyznanie: *Nie jestem przekonana, czy ryba byłaby szczęśliwa, dostając w prezencie rower.*

- Właściwie dlaczego nie jesteśmy jeszcze mężatkami? - zapytałam Jade, kiedy późnym wieczorem rozmawialiśmy przez telefon.

- Bo należymy do gatunku silnych kobiet - odpowiedziała.

- Co to dokładnie znaczy? Że mam głowę z metalu i dlatego można walić w nią do woli?
- O czym ty mówisz?
- Chyba nie wyglądamy na dość twarde.
- Ja jestem zadowolona ze swojego wyglądu.
- No, jasne. Jak ci idzie z Tedem Wspaniałym? Usłyszałam głębokie westchnienie.
- Okazał się raczej Tedem Niewidzialnym.
- Co?
- Nie zadzwonił.

Nie muszę chyba tłumaczyć, że przeżyłam szok. Więcej - byłam przerażona. Jade była jedyną ze znanych mi kobiet, której żaden facet nie zrobił nigdy podobnego afrontu. Mężczyźni zawsze do niej dzwonili. Jade stanowiła koronny dowód na to, że kobieta niekoniecznie musi być stroną, która czeka na telefon. Tymczasem to właśnie ona ma kłopoty z drugą randką. Skoro tak, lepiej nie myśleć, jaki los czeka nas, zwykle dziewczyny.

Rozumiałam dobrze, jak się czuje po takim ciosie. Zareagowałam tak, jak każda kobieta wystawiona przez mężczyznę - złością.

- Ale z niego dupek!
- Uhm.
- Albo gej. A może jest upośledzony umysłowo? Tylko debil idzie na randkę z piękną i inteligentną dziewczyną, a potem nie zadaje sobie trudu, żeby sięgnąć po telefon i powiedzieć, jak bardzo się cieszy, że spędził kilka godzin w jej towarzystwie.

- Chyba nie mógł znieść tego, że wygrałam z nim w bilard. Dwa do jednego.
- Mięczak.

Zapadła cisza. Obie zastanawialiśmy się, jakim cudem Ted Wspaniały okazał się tym, kim się okazał.

- Może byłam zbyt obcesowa - mruknęła Jade.
- Nie żartuj. Jestem pewna, że nie.
- Zaprosiłam go do siebie. Ale właśnie dostałam nową płytę Jamiriquie, a on bardzo lubi tę muzykę, więc...
- Przyszedł?

- Nie. Powiedział, że następnego dnia musi wcześniej wstać. Pocałował mnie tylko przed moim domem i poszedł sobie. Coś tu nie gra. Cały wieczór, łącznie z pocałunkiem, był wspaniały. Piliśmy drinki, graliśmy w bilard i gadaliśmy. Jakbyśmy znali się przez całe życie. Lu-

bimy podobną muzykę, nie znosimy tych samych klubów. Nie mogłam uwierzyć, ile rzeczy nas łączy! Byłam pewna, że między nami zaiskrzyło. Szkoda gadać. Teraz żałuję tylko, że nie wszedł na górę. Przynajmniej przespałabym się z nim, zanim zniknie.

Nie wiedziałam, co o tym wszystkim myśleć. A może obie się myliłyśmy?

- Może jeszcze zadzwoni - powiedziałam. - Kiedy się widzieliście?

- W sobotę. Ponad tydzień temu. Wprawdzie w czwartek wyjechałam z miasta na sesję, ale on o tym nie wiedział. Wróciłam w niedzielę i nic. Żadnych wiadomości.

To nie wyglądało dobrze. Pierwszy tydzień - w porządku. Można to znieść. Ale zaczął się już drugi, a on nie zadzwonił. Zły znak. Ted należał do przeszłości.

- A jeśli wpadł pod autobus? - spróbowałam. - Wyszedł z siłowni późno i na Drugiej Alei... buch!

Wiedziałam jednak, że nigdy nie poznamy odpowiedzi na pytanie, dlaczego nie zadzwonił. Podstawowe pytanie w życiu samotnych dziewczyn, do których i ja się teraz zaliczałam.

Wyznanie: *Małżeństwo - każde małżeństwo - zaczynało wydawać się całkiem niezłym wyjściem.*

Nie dość, że z wysiłkiem stawiałam czoło trudnościom życia w pojedynkę, to następnego dnia w pracy zostałam zmuszona do udawania osoby pozostającej w szczęśliwym związku. Do mojego boksu wpadła Rebeka i uraczyła mnie opowieścią o romantycznym wieczorze, który spędziła wczoraj z Nashem we wspaniałej francuskiej restauracyjce na Upper East Side.

- Nash jest ostatnio jakiś inny - opowiadała z błyskiem w oku. - Bardziej zaangażowany.

Potem zaproponowała, żebyśmy kiedyś wybrali się do tej knajpki we czworo.

- Pod warunkiem, że pojawicie się kiedyś z Derrickiem na górnym Manhattanie - dodała.

Nie pozostało mi nic innego, jak tylko odpowiedzieć z uśmiechem, że to świetny pomysł.

A kiedy wieczorem przywlokłam się do domu, wiedziałam już, jak należy radzić sobie w życiu. Wystarczy znaleźć faceta - obojętnie jakiego, byle tylko kręcił się obok wystarczająco długo - a potem niezauważenie zaciągnąć go do ołtarza.

Pointą tych rozważań był telefon od mojego ojca. Nie ulegało wątpliwości, że bez względu na wielkie ilości czarnego johnnie walkera, które wlewał w siebie przez całe niemal życie, mój tata w swoim czasie musiał być tak zwaną dobrą partią. W wieku trzydziestu lat stał na czele wielkiej firmy inwestycyjnej. Kiedy prosił moją mamę o rękę, był wprawdzie dwu-

dziestopięcioletnim smarkaczem, ale już wtedy świetnie zarabiał i miał opinię młodego człowieka, przed którym świat stoi otworem. Pędziliśmy miłe życie w przestronnym domu na Long Island i właściwie trudno się dziwić, że mama potrzebowała dwudziestu lat, żeby uświadomić sobie, że największą - jeśli nie jedyną - miłością jej męża jest whisky.

- Cześć, tato. Jak się miewasz?

Za każdym razem, kiedy zadaję mu to pytanie, ogarnia mnie strach. Nic na to nie poradzę - nie pomógł nawet fakt, że ponad rok temu Deirdre, druga żona taty, zaciągnęła go do centrum rehabilitacyjnego na leczenie - po raz trzeci podczas dwunastu lat ich małżeństwa. Swoją drogą, podziwiam Deirdre, która w chwili ślubu nie miała pojęcia, w co się pakuje, że dotąd go nie rzuciła - bez względu na wielki dom z ogrodem. Ale może postąpiła słusznie? Ojciec nie pije od roku, co jest jego absolutnym rekordem.

- Świetnie, świetnie. Dostałem w końcu odszkodowanie za wybuch tostera - oznajmił z satysfakcją.

Albowiem efektem ubocznym odstawienia alkoholu przez ojca stało się pieniactwo. Odkąd pierwszy raz przestał pić, zaczął pozywać do sądu wszystkich, poczynając od swojej firmy, gdzie trzy lata temu zmuszono go do wcześniejszej emerytury bez (w jego mniemaniu) należytej odprawy.

- A jak się ma moja mała córeczka? - zapytał. - Czy zarobiła już swój pierwszy milion?

- W tej sprawie możesz liczyć tylko na Shauna.

Mój młodszy brat założył jedną z tych modnych firm internetowych i w ciągu jednego roku zarabia więcej, niż mnie udało się zarobić podczas czterech lat harówki w „Twoim Ślubie”.

- No, nie wiem - zaśmiał się ojciec. - Mogłabyś jeszcze stanąć do wyścigu, razem z tym twoim artystą. Jak mu - znowu zapomniałem jego imienia - się wiedzie?

Przez całe dwa lata, które spędziłam z Derrickiem, tata robił wszystko, żeby nie zapamiętać jego imienia. Byłby zachwycony, dowiadując się, że nie jestem już z tym „leserem, który zarabia na życie wyprowadzaniem na spacer psów i nalewaniem piwa” (tato bowiem nigdy nie kupił opowieści Derricka o tym, że konkretny zawód ogranicza możliwości człowieka stworzonego do wyższych celów). Ja jednak nie umiałam zboczyć z obranej niedawno drogi kłamstw w żywe oczy i odpowiedziałam ochotczo:

- Świetnie. Czy już ci mówiłam, że sprzedał scenariusz?

Bez względu na to, co zaszło między mną a Derrickiem, musiałam wciąż go bronić - to było silniejsze ode mnie. Chciałam pokazać ojcu, że znalazłam kogoś odpowiedniego, kto zajdzie wysoko w życiu. Starannie jednak przemilczałam fakt, że perspektywy otwierają się przed nim w Los Angeles.

- Uhm - odpowiedział, wyraźnie myśląc o czymś innym. - Co u Alyssy? - gwałtownie zmienił temat. - Dalej jest z tym prawnikiem?

Od kiedy tato marnował większość własnej emerytury na honoraria dla prawników, którzy prowadzili wytoczone przez niego procesy, uznał, że przedstawiciele tej profesji są najlepszym materiałem na męża.

- Tak, wciąż są razem. Podejrzewam, że w końcu się pobiorą, chociaż teraz Richard skupia się wyłącznie na tym, żeby zostać współwłaścicielem firmy, w której pracuje.

- To dobra wiadomość.

- U Jade też wszystko w porządku. Dostała niedawno nagrodę za projekt okładki.

- Naprawdę? Och, ta Jade! - Zaśmiał się. - Zawsze miała artystyczne skłonności. Domyślałam się, że dalej nie ma nikogo, tak?

- Znasz Jade. Zawsze ma kogoś.

- Uhm - znowu wyłączył się z rozmowy. Tym razem rozmyślał prawdopodobnie, czy moje staropanieństwo nie jest przypadkiem wywołane przez męsko-damskie sukcesy Jade.

- Jak się czuje Deirdre? - zapytałam.

- Dawno nie była taka zadowolona. Dałem jej zgodę na kupno nowej kanapy do salonu. W ciągu całego życia nie obejrzałem tylu próbek tkanin! Właśnie o ciebie pytała. Chciała wiedzieć, czy wybierasz się do nas na weekend z okazji Dnia Pamięci.

- Prawdę mówiąc, jeszcze się nie zdecydowałam. Być może, że w tym roku zostaniemy z Derrickiem w mieście.

- Masz zamiar spędzić Dzień Pamięci w Nowym Jorku?!

Ojciec, który przez ostatnie trzydzieści lat dojeżdżał do pracy do tego „parszywie brudnego śmietnika” - tak ni mniej, ni więcej nazywał Manhattan, wciąż nie mógł uwierzyć, że ja mieszkam tu dobrowolnie. W dodatku w kawalerce wielkości znaczka pocztowego. On sam należał do tej grupy ludzi, których nowe domy są zawsze większe od poprzednich - mimo coraz mniej licznej rodziny. Ukoronowaniem tej filozofii była obecna siedziba ojca - rozległa, dziewiętnastowieczna rezydencja w Huntington.

- Nie wiem jeszcze, co będę robić - starałam się, żeby nie usłyszał paniki w moim głosie.

- W porządku. Nie ma pośpiechu. Deirdre chciała znać twoje plany, bo zastanawialiśmy się, czy nie wyjechać na ten weekend.

- Aha. - I pomyśleć, że sądziłam, że chcą zapewnić sobie mój udział w dorocznym rodzinnym przyjęciu! - Jeźdźcie. Przecież z mojego powodu nie będziecie rezygnować z wyjazdu.

Poczułam ulgę, że zostawią w spokoju mnie i mojego chłopaka-widmo. Szukając innych tematów rozmowy, opowiedziałam mu o planowanym małżeństwie mamy, na co zareagował głośnym śmiechem.

Kiedy się pożegnaliśmy, znowu uległam pokusie i sięgnęłam po album ze zdjęciami. Otworzyłam go na chybił trafił i jak zwykle zaczęłam wpatrywać się w kolejny wizerunek Dericka, w jego zagadkowe oczy i uśmiechniętą twarz. Nagle zdałam sobie sprawę, że pomimo wielu miłych chwil spędzonych razem, nasz związek nie zostawił we mnie jakichś szczególnych śladów. Przypomniałam sobie, z jakim podziwem ojciec wspominał o Richardzie.

Coś w tym było. Może powinnam poszukać mężczyzny, który ma przed sobą przyszłość i solidną karierę? Zdecydowanie powinnam związać się z takim właśnie człowiekiem - kimś w rodzaju Richarda. Wtedy jedynym zmartwieniem dziewczyny nie jest to „czy się oświadczy?“, ale to „jak i kiedy się oświadczy“.

Natychmiast zadzwoniłam do Alyssy. Kto jak kto, ale ona powinna znać jakiegoś obiecującego prawnika. W najgorszym razie będę miała z kim się umówić na świąteczny weekend z okazji Dnia Pamięci.

- Ale dlaczego prawnik? - zapytała Alyssa, kiedy wyłuszczyłam, o co mi chodzi.

- Dlaczego mówisz to z takim obrzydzeniem, Lys? Ostatnim razem, kiedy się widziałyśmy, nie tylko sama byłaś prawniczką, ale jeszcze byłaś z prawnikiem.

- Mówimy teraz o tobie, Em. Do tej pory nie umówiłaś się z żadnym facetem, którego dla ciebie znajdowałam.

- Do tej pory nie zdawałam sobie sprawy z korzyści wynikających z faktu umawiania się z prawnikiem.

- Ciekawe. Możesz i mnie oświecić w tym względzie?

- Proszę bardzo. Z moich wieloletnich obserwacji osobników płci męskiej wynika następujący wniosek: faceci zaczynają zastanawiać się nad małżeństwem dopiero po osiągnięciu określonego poziomu dochodów. Zakładając, że większość prawników w naszym wieku lada

chwila osiągnie ten poziom lub wręcz już go osiągnęła, uznałam, że w tym środowisku mam większe szanse na małżeństwo.

- Czekaj, czekaj! Powtórz to! Od kiedy jesteś taka napalona na małżeństwo?

- Mam trzydzieści jeden lat. Nie uważasz, że najwyższy czas zacząć o tym myśleć?

- Ja też mam tyle lat i, jak widzisz, nie gnam do sklepu po białą suknię.

- Lys, nie chcę być złośliwa, ale powiem ci, że łatwo jest znieść status samotnej kobiety, mieszkając pod jednym dachem z przyszłym mężem.

- Między mną a Richardem nic nie jest jeszcze postanowione.

- Być może, ale nie ma wątpliwości, że... - Nagle zdałam sobie sprawę z głębszego sensu usłyszanych przed chwilą słów. Działo się coś niepokojącego. - Lys! Co się dzieje?

- Nic się nie dzieje.

- Tylko mi nie mów, że ty i Richard zamierzacie się rozstać. Nie niszczyć moich ostatnich złudzeń co do tego, że istnieje porozumienie dusz.

- Między nami wszystko w porządku... Tak mi się przynajmniej zdaje.

- Lys!

- No, już dobrze. Spotkałam kogoś.

- Co?!

- To stało się przypadkiem. Niczego nie planowałam.

Ja myślę! Alyssa nie planuje takich rzeczy, mężczyźni zakochują się w niej bez ostrzeżenia.

- Kto to jest?

- Tylko się nie śmieję. Doktor Jason Carruthers. Cała Alyssa. Jak nie prawnik, to doktor.

- Czy to twój ginekolog?

- Nie bądź głupia.

- Twój okulista? Dentysta?

- Mój weterynarz.

- Kto? - Wyobraziłam sobie faceta o łagodnym głosie i z włosami w łaty. W końcu wiadomo, że każdy weterynarz upodabnia się do swoich pacjentów.

- Lulu miała ostatnio kłopoty jelitowe. Poszłam z nią do przychodni i tam okazało się, że nasz stary weterynarz przeszedł na emeryturę. Jego praktykę przejął Jason.

- Jason? Chcesz powiedzieć, że jesteście już na ty?

- Wiem, co myślisz. Ale nigdy w życiu nie spotkałam jeszcze kogoś takiego! I nie chodzi wcale o to, że jest przystojny. On jest taki... taki czuły.

- O rany! Tylko nie to. Czy wy ze sobą...

- Nie! Nic z tych rzeczy. Mówię o tym, jak zajmuje się Lulu. Byłam coraz bardziej podejrzliwa. Lulu to spanielka Alyssy.

Pozostałość po mamie, która zmarła dwa lata temu. Kiedy Alyssa miała kilkanaście lat, jej tato zmarł niespodziewanie na zawał. Mama kupiła jej szczeniaka, żeby Alyssie łatwiej było przetrwać ten trudny czas. Lulu jest jak członek rodziny.

- Jak się czuje Lulu?

- Niedobrze. Jason mówi, że to mogą być nerki.

- Lys! Nie podejmuj pochopnych decyzji. Najpierw zajmij się Lulu. A kiedy obie opanujecie chorobę, przyjrzyj się jeszcze raz całej sprawie. Ty i Richard przeżyliście razem kilka lat. Tego nie da się przekreślić, ot tak.

- Wiem, wiem. Ale coś się między nami zmieniło. Czasami... mi się zdaje, że jest jakiś obcy. Może to on się zmienił. A może ja...

- Lys, mówię tylko, żebyś nie podejmowała żadnych pochopnych decyzji.

- Cholera! Musimy kończyć. Richard właśnie wszedł. Słuchaj, Em. Niech to wszystko zostanie między nami, dobrze? Jade o niczym nie wie. Nie chcę, żeby się ze mnie śmiała. Pomyślę o jakimś prawniku do wzięcia. Może Richard kogoś zna. Zadzwoń do ciebie.

- Alyssa...

- Albo nie. Umówmy się na kolację w sobotę wieczorem, dobrze? Richard wyjeżdża służbowo. Dawno nie spotykałyśmy się na babskim wieczorku. Zapytaj Jade, czy jest wolna.

- Dobry pomysł, ale nie myśl, że ci pójdzie ze mną tak łatwo. Nie pozwolę ci...

- W porządku. Obiecuję, że będę się dobrze zachowywać. Przynajmniej do soboty.

ROZDZIAŁ TRZECI

„Zamążpójście to ta łatwiejsza część”

- Virginia McGovern, matka Emmy Carter

Wyznanie: *Mądrość mojej matki zaczyna mieć dla mnie sens (i niech Bóg ma mnie w swojej opiece).*

Następnego dnia w porze lunchu miałam randkę z moją mamą, która wciąż trwała w uroczym-choć-absolutnie-nieprawdziwym przekonaniu, że jej jedyna córka jest na pewnej drodze do „żyli długo i szczęśliwie” z ukochanym mężczyzną. Choć jeszcze nie postanowiłam, jak potraktuję temat Derricka, poszłam do wybranej przez nią restauracji w pobliżu mojej redakcji, uzbrojona w katalogi i broszury biur podróży.

Siedziała przy stoliku w głębi sali. Nagle uświadomiłam sobie, po kim, być może, odziedziczyłam technikę przychodzenia pięć minut przed czasem. Zaczęłam się z przerażeniem zastanawiać, czy przypominam matkę bardziej, niż mi się wydaje.

- Emma! - krzyknęła na mój widok.

Wstała i wzięła mnie w ciepłe, pachnące morelowo objęcia. Gdy się od siebie oderwałyśmy, dotarło do mnie, że podobieństwo do mamy nie byłoby wcale takie złe, w każdym razie w kwestii wyglądu. Mimo że miała pięćdziesiąt dziewięć lat, wciąż była piękną kobietą z falującymi, kasztanowymi włosami okalającymi twarz o wystających kościach policzkowych. Poza takimi samymi piwnymi oczami - choć jej miały zdecydowanie wyraźniejszą nutkę zieleni - nikt by nie zgadł, że jesteśmy matką i córką. Jak do tego doszło, że skończyłam z mysio brązowymi włosami i bez kości policzkowych, o których warto by było wspominać?

- Jak się masz, skarbie? - powiedziała, przyglądając mi się uważnie, kiedy już usiadłyśmy naprzeciwko siebie.

- Dobrze, dobrze - odparłam i natychmiast schowałam twarz za menu, żeby ukryć zdradliwe błyski rozpaczy. - Jestem zmęczona. W pracy kociokwik. Jak zawsze.

- Czasem miło jest zrobić sobie przerwę w środku dnia. Właśnie czytam tę nową książkę „Twoja własna przestrzeń umysłowa”. Piszą tam o tym, jak można odnowić kreatywną energię, medytując codziennie przez zaledwie piętnaście minut.

- Niestety, w redakcji nie wolno nam palić kadzidełek.

- Och, Emmo, nie musisz... - przerwała, prawdopodobnie uświadamiając sobie, że, jak zwykle, do niczego ze mną nie dojdzie. - Dlaczego zawsze musisz być taka trudna?

- Przepraszam, ja... - I wtedy zobaczyłam pierścionek, duży, granatowy kamień połyskujący wspaniale na jej lewej dłoni. - Och, masz go? Czy to pierścionek, który dostałaś od Clarka?

Rozpromieniła się i wyciągnęła rękę.

- Czyż nie jest wspaniały? Postanowiliśmy trzymać się z dala od brylantów po... No, wiesz... Zaczynam myśleć, że przynoszą pecha. Zresztą, dając mi ten szafir, Clark powiedział, że starożytni wierzyli, iż jest to najprawdziwszy błękit na świecie, odbicie niebios. - Zarumieniła się. - Wiesz, jaki jest Clark. Zawsze myśli jak poeta.

Szczęście biło jej z twarzy. Zaczęłam podejrzewać, że może tym razem to rzeczywiście coś prawdziwego. Aż usłyszałam jej następne słowa.

- Clark i ja uroczyście przysięgliśmy sobie zachowanie celibatu.

- Co? - Życie seksualne mojej matki, a więc również jego brak, to był temat, którego zdecydowanie unikałam. Ale nie mogłam się powstrzymać od zadania pytania: - Na zawsze?

- Och, nie. Oczywiście, że nie! - Rozejrzała się dookoła, przysunęła bliżej i wyznała: - Minął zaledwie tydzień, a Clark ledwie sobie daje radę. Nie dalej niż przedwczoraj w nocy...

- Dobrze, dobrze - przerwałam jej, bo nie chciałam, żeby wdawała się w krepujące mnie szczegóły.

Przez lata status mojej matki jako osoby niesystematycznie i okresowo samotnej często stawiał mnie w roli powierniczki. Przez długie okresy byłam jedyną bliską istotą płci żeńskiej w jej życiu. Lecz mimo to są jakieś granice, których matce i córce nie wolno przekraczać.

- Niech zgadnę. Do nocy poślubnej?

- Tak! Och, czyli słyszałaś o ludziach, którzy tak robią?

- Tak. Chyba raz o tym pisaliśmy w „Twoim Ślubie”. Coś o przywoływaniu romantycznej aury staroświeckiej nocy poślubnej.

- Byłam pewna, że musisz coś o tym wiedzieć. Clark na początku uznał, że oszalałam, ale wiesz, jaki jest zgodny...

- Czy na początek mogę przynieść paniom coś do picia? - zapytał kelner, który w końcu zjawił się przy naszym stoliku.

Mama spojrzała na niego i rozpromieniła się tak, że prawie zalał się rumieńcem.

- Myślę, że możemy już zamówić jedzenie - powiedziała, a potem spojrzała na mnie i zapytała: - Zdecydowałaś się, Emmo?

Nie, ale to nie mogło powstrzymać mojej matki, która miała słabość na punkcie wydajnego wykorzystywania czasu, odkąd przeczytała „Dwanaście strategii oszczędzania czasu, które mogą wydłużyć twoje życie”.

- Zamów pierwsza. Będę gotowa za chwilę - powiedziałam, gorączkowo przelatując wzrokiem menu.

- Poproszę sałatkę z kurczakiem z grilla, sos oddzielnie i wodę gazowaną - powiedziała, a potem spojrzała na mnie i dodała: - Mają tu naprawdę dobre sałatki.

Tego rodzaju stwierdzenie w ustach mojej matki natychmiast wpędza mnie w paranoiczne spekulacje. Najwyraźniej przytyłam i mama próbuje delikatnie uratować mnie przed pękającym brzuchem i straszliwymi porankami przed szafą w poszukiwaniu czegoś, co ukryłoby nagłą zmianę rozmiaru. Jeśli w jakimś względzie mogłam liczyć na moją matkę, to na pewno w kwestii monitorowania wahań wagi.

- Wezmę sałatkę nicejską i mrożoną herbatę - powiedziałam, oddając menu kelnerowi, który skinął głową i rzucił się do ucieczki.

- No więc, czy powiedziałaś już Derrickowi o ślubie?

- Och, tak, oczywiście - odparłam i szybko pociągnęłam temat dalej. - Powiedziałam też Jade. Jest bardzo podekscytowana.

- A ty nie jesteś, jak rozumiem?

Oto zbliża się czas wyznań.

- Nie chodzi o to, że nie jestem szczęśliwa z tego powodu - zaczęłam.

- Nie wierzysz w to - powiedziała. - Bałam się, że tak właśnie będzie.

Uff. Ocali mnie psychologiczny bełkot. Przeczuwałam, że teraz mama zagłębi się w wyłuszczenie przyczyn, dla których po raz trzeci pobiegnie do ołtarza.

- Wiem, że przez kawał życia mogło się wydawać, iż chowam głowę w piasek. I, szczerze mówiąc, chyba tak właśnie było - przyznała.

- To nie było dla ciebie takie złe... - powiedziałam. Czułam jednak, że odrzucam od siebie myśl o niepokojach, jakie mogły nękać ją z powodu dość skomplikowanych - jak dotąd - dróg, którymi szła przez życie.

- Czasami było źle. Chyba po prostu dlatego, że nie chciałam dostrzec tego, co miałam przed nosem. Lecz gdy patrzę na Clarka, widzę wszystko. Jego ciepło. Umiejętność współodczuwania. Jego życzliwe, dobre serce. - Jej oczy się zamglily.

- Ale widzę też jego słabe punkty. Na przykład wiem, że czasami tak wciąga go praca albo jego studenci, że zapomina o moich potrzebach. Bywa, że trudno mu się oswoić ze zmianami - a wiesz, że moje życie to niemal ciągle zmiany - uśmiechnęła się. - No i chrapie. Głośno.

- Ty też chrapiesz, mamó.

- Och, Em, w porównaniu z nim jestem cichutka jak myszka. - Parsknęła śmiechem, a potem znowu spoważniała. - Jedno wiem na pewno. Kocham go tak, jak nie kochałam nikogo innego. Zrobiłabym dla niego wszystko. Pojechałabym za nim na koniec świata. Pielęgnowałabym go, gdyby, odpukać, się rozchorował. I wiem, że on zrobiłby dla mnie to samo.

Jej słowa dźwięczały mi w głowie w sposób, na który nie byłam przygotowana. I od razu pojawiło się pytanie, czy Derrick i ja naprawdę byliśmy bratnimi duszami, jak mi się marzyło, skoro nie chcieliśmy się dzielić nawet najmniejszą odrobiną swojego życia. Lecz szybko przeknęłam wątpliwości. I, szczęśliwie, ten właśnie moment wybrał sobie kelner, by pojawić się z naszymi sałatkami. Kiedy odszedł, mama zapytała:

- Czy coś z tego ma twoim zdaniem sens?

Po jej minie widziałam, jak bardzo potrzebna jej jest moja akceptacja.

- Ma. Cieszę się, mamó. A nawet mam kilka pomysłów na to, jak moglibyśmy urządzić twoje wesele numer trzy. - Roześmiałam się i dodałam z leciutką ironią, od której niestety nie mogłam się powstrzymać: - Bo wiesz równie dobrze jak ja, że tak naprawdę ważne jest nie to, za kogo wychodzisz, ale jak.

Po tych słowach rzuciłyśmy się na nasz lunch oraz na stos marzeń weselnych, który wypakowałam ze swojej torby. Wszystko wróciło mniej więcej do równowagi.

Nagle, nie wiadomo dlaczego, poczułam, że coś mi w środku puszczą. Zanim się zorientowałam, co robię, opowiedziałam matce o wszystkim. O katastrofalnym odejściu Derricka i mojej rozpacz. A kiedy uroniłyśmy kilka łez i powzdychałyśmy razem nad różnymi „dlaczego?” (moja mama jest wyjątkowo dobra w analizie związków, bo za każdym razem, kiedy sama znalazła się w podobnej sytuacji, zaczynała przekopywać się przez całe tony podręczników), pochłonęłyśmy na deser po ogromnym kawałku tortu kawowego, który nie bez powodu nazywa się tutaj „kawowym szaleństwem”. Dorzuciłyśmy do tego po sporej porcji lodów waniliowych.

- Wiesz, co jest ci teraz potrzebne? - powiedziała mama, kiedy w końcu podniosłyśmy głowy znad talerzyków z deserem.

Wpiłam się w nią wzrokiem. Przeczynałam, że zaraz obdarzy mnie jakimś znaczącym okruczem mądrości.

- Pasemka.

Wyznanie: *Są dolegliwości, na które pomaga tylko nowa fryzura.*

Choć zgadzanie się z mamą nie należy do moich mocnych stron, to muszę przyznać, że miała rację - stan moich włosów jest idealnie zsynchronizowany ze stanem moich związków. Długie, ciemne loki przypominały mi o sobotnich wieczorach w domu, kiedy odziana w bluzę Derricka i bokserki oglądałam razem z nim filmy na wideo i opychałam się różnymi smakołykami, które udało nam się znaleźć w sklepiku na rogu. Żeby zaradzić sytuacji, zrobiłam to, co w okresie przed-Derrickowym: jeszcze tego samego wieczoru zadzwoniłam do Sebastiana, mojego fryzjera z tamtych czasów.

- Emma, co za niespodzianka! - powiedział z lekkim wyrzutem.

Oto problem, jaki się pojawia, gdy najpierw zaprzyjaźniasz się z kimś, na kogo potem spada odpowiedzialność za twoje włosy. Ten ktoś oczekuje, że będziesz się stosować do zasad przyjaźni nawet wtedy, kiedy potrzebujesz zaledwie kilku pasemek. Nie rozmawiałam z Sebastianem od pół roku, więc postanowiłam zaprosić go na drinka, żeby wszystko załagodzić.

- Och, ja już nie piję, Emmo. Może na herbatę w... - tu wymienił nazwę jakiejś wegetariańskiej knajpki na Zachodniej Trzeciej Ulicy i zaproponował, żebyśmy spotkali się tam następnego dnia wieczorem.

Jego stosunek do alkoholu powinien mnie zastanowić, ale byłam tak skupiona na swojej transformacji, że przegapiłam znaki. Poznaliśmy się, bo Sebastian umawiał się z moim kolegą ze studiów, Keithem. Mimo że związek Keitha i Sebastiana nie przetrwał dłużej niż semestr, starczyło czasu, by zawiązała się więź między Sebastianem a mną. Trzymałam go za rękę po zerwaniu, wychyliłam z nim kilka strategicznych drinków i wieszałam psy na wszystkich przedstawicielach płci męskiej z wyłączeniem, oczywiście, samego Sebastiana. A kiedy wszystko zostało już powiedziane i wypite, Sebastian zaczął farbować mi włosy.

Była to niełatwa znajomość od samego początku, choć moje włosy nigdy na tym nie ucierpiały. Sebastian przeprowadził mnie przez wszystkie odcienie blond, kilka tonów rudości,

a nawet głęboki, czekoladowy brąz - co było szczególnie ekscytujące, bo mimo jego daru do czynienia cudów, mogło się źle skończyć.

- Emma! - zawołał i pomachał do mnie leniwie, gdy wyplątałam się z atlasowej draperii rozdzielającej bar z sokami od części restauracyjnej, w której w pozie królowej władającej swoimi włościami czekał na mnie Sebastian.

Udało mu się jakimś sposobem znaleźć miejsce, które pasowało do jego wyjątkowego wyglądu. Pomiedzy oprawionymi w złoto obrazami przedstawiającymi rośliny oraz draperiami z mięsistych tkanin, Sebastian, ze swoimi bujnymi, złocistymi lokami i dalekowschodnimi oczami w twarzy cherubinka.

Kiedy dotarłam do stolika, uściskał mnie - co było odejściem od praktyki cmokania w oba policzki, jaką wprowadził w życie podczas naszych ostatnich kilku spotkań.

- Siadaj! Czyż to nie wspaniałe miejsce? - zagaił, przyglądając mi się z mieszaniną czci i zatroskania.

Przy nim zawsze opanowywała mnie taka sama niepewność, jak w obecności pięknej kobiety. Zaczynałam denerwować się, że moje brwi na pewno domagają się uregulowania albo że powinnam natychmiast nałożyć świeżą warstwę szminki.

- Co u ciebie? - zapytał, gdy już usiedliśmy naprzeciwko siebie, nad ogromnymi, szkarłatnymi kartami dań oprawionymi w materiał o ciekawej fakturze, wysoce niepraktyczny w pobliżu jedzenia.

- Wszystko świetnie. A u ciebie? - powiedziałam, przyglądając mu się. - Wyglądasz na... rozluźnionego.

- Naprawdę? Och! Mam ci tyle do opowiedzenia.

- Co państwo zamawiają?

Podniosłam głowę znad menu. Koło stolika stała wyczekująco kelnerka, chuda jak patyk dziewczyna, której znudzona mina mówiła o jej całkowitej obojętności na nasze potrzeby.

- Dla mnie darjeeling - powiedział Sebastian. Zauważyłam, że w menu nie było żadnych napojów z kofeiną, więc zamówiłam rumianek.

- No, mów, mów. Jak leci? Co u Derricka? - zapytał Sebastian, sadowiąc się na poduszkach.

- Wszystko w porządku. Derrick... wyjechał. Dostał pracę na Zachodnim Wybrzeżu.

- Ojej. - Śliczny nosk Sebastiana zmarszczył się ze współczuciem.

- No, tak - mruknęłam smutno. - Nie można powiedzieć, że mnie nie ostrzegął.

- Na tym właśnie polega problem z ambitnymi mężczyznami. Zawsze znajdują coś lepszego.

Wzięłam swoją szklanę wody i stuknęłam się z Sebastianem.

- Za próżniaków.

- Majętnych próżniaków - odparł Sebastian, pijąc wodę. - Z mężczyznami bez pieniędzy nie ma zabawy. Och, Emmo. Odkryłem, że kolor włosów, nawet dobry kolor, nie rozwiązuje wszystkich problemów.

I wtedy właśnie zaczęłam sobie uświadamiać, że w Sebastianie zaszła zmiana na jakimś elementarnym poziomie i poczułam dziwny strach.

- Mów - powiedziałam, siląc się na lekki ton.

- Pamiętasz Johna? Niemożliwego Johna?

- Znowu jesteście razem? - zapytałam z niedowierzaniem.

Był to człowiek, który nękał Sebastiana przez prawie trzy lata. John, początkujący aktor, raz po raz deklarował wieczną miłość do Sebastiana i natychmiast potem uciekał z asystentem producenta czy garderobianym z planu.

- Nie, nie. Nigdy w życiu - powiedział, wykrzywiając wargi. - Johna ktoś zastąpił. Na zawsze.

Wyciągnął portfel, otworzył go na przegródce ze zdjęciami i podał mi.

Zaszokowana patrzyłam na zdjęcie Hinduski w tradycyjnym stroju, z bindi na czole. Na jej wargach gościł łagodny uśmiech.

- Poznaj kobietę, która uratowała mi życie.

- Nie rozumiem. - Byłam zakłopotana.

- Emmo, przeszedłem najbardziej zadziwiającą transformację.

- Chyba nie zostałeś hetero, co?

- Nic z tych rzeczy. To mój guru! - Uśmiechnął się uprzejmie, jak do dziecka, które trzeba oświecić. - Pozwól, że zacznę od początku. Kilka miesięcy temu wpadłem na Johna. Nie uwierzyłybyś, jak wyglądał. Był, na przykład, zupełnie łysy.

- John? - zapytałam, przypominając sobie jego pielęgnowane z oddaniem długie, ciemne loki.

- Wiem... - Sebastian nagle posmutniał, jakby utrata pięknej czupryny Johna nadal go bolała. - Miał w sobie jakiś spokój. Był jeszcze wspanialszy, jeśli możesz to sobie wyobrazić! - Oczy rozszerzyły mu się na tę myśl. - Zapytałem, co porabia, a on zaczął mi opowiadać, że

wszedł na nową drogę. Pytałem dalej, a on wyznał, że praktykuje jakąś odmianę hinduizmu. Szkoli się na uzdrowiciela.

- Rany! Kto by pomyślał - powiedziałam, popijając rumianek i nagle żałując, że nie jest to coś innego... na przykład martini.

Miałam coraz gorsze przeczucia co do swoich włosów. Przeczucia pogłębiły się, kiedy zauważyłam, że Sebastian przestał regulować brwi. Niedobry znak u człowieka, którego kiedyś wielbiłam za ściśle trzymanie się reżimów pielęgnacji urody.

- Nie wiadomo, jak i kiedy zaprosił mnie na spotkanie - ciągnął Sebastian. - Wyznam ci, idąc tam wtedy, myślałem tylko o seksie. Wiesz - bez względu na to, co się działo między mną a Johnem, w tej kwestii nigdy nie mieliśmy problemów. Ale wystarczyło, że postawiłem stopę w Holistycznym Centrum Uzdrawiania, i stałem się nowym człowiekiem. A teraz sam jestem już blisko uzyskania dyplomu uzdrowiciela. Zaplanowałem nawet na jesień wyjazd do Indii, żeby się spotkać z guru. Już się nie mogę doczekać.

Czułam skruchę. Kto mi dał prawo do zakłócania jego szczęścia moimi samolubnymi pragnieniami?

- To wspaniale, Sebastianie.

- Wiedziałem, że to zrozumiesz, Emmo. Zamierzałem do ciebie zadzwonić i zaprosić cię na spotkanie. Myślę, że ty, zwłaszcza ty, umiałabyś to docenić.

Ponad stolikiem ujął moje dłonie.

Przyznam, że poczułam w jego palcach jakąś łagodzącą siłę. Oczywiście nie od razu to sobie uświadomiłam i podjęłam ostatnią błagalną próbę.

- Domyślam się więc, że kilka pasemek popielatego blondu nie wchodzi w grę, co?

- Och, Emmo - uśmiechnął się do mnie rozanielony i puścił moje dłonie. - Te rzeczy są dla mnie teraz takie odległe. - A potem puścił do mnie oko. - Zresztą zawsze wołałem cię jako złocistą blondynkę.

Wyznanie: Nawiązałam kontakt ze swoją wewnętrzną kobietą pracującą. Okazało się, że wyszła na lunch!

Następnego dnia, kiedy siedziałam nad starymi notatkami, próbując napisać kawałek o aktualnych trendach w aranżacjach kwiatowych, do mojego boksu wślizgnęła się Marcy Keller, sekretarka w dziale produkcji i etatowa redakcyjna plotkarka.

- Co słyhać? - zapytała.

Natychmiast zapaliła mi się w głowie czerwona lampka. Marcy Keller mogła pojawić się u mnie tylko z dwóch powodów: a) bo dysponowała jakąś soczystą plotką, którą sprzedała już wszystkim w redakcji i zostałam jej tylko ja; albo b) dysponowała jakąś soczystą plotką na temat mojej osoby i próbowała ją podstępnie zweryfikować.

Przeszył mnie dreszcz. Wiedzieli. Wiedzieli o moim niedawnym, brutalnym rozstaniu. Ale skąd?

- Co cię sprowadza w ten zakątek świata, Marcy? - zapytałam strwożona.

Spojrzała na mnie i przysunęła się bliżej.

- Sandra rzuciła pracę - syknęła.

A potem, wygładzając swoje krótkie, ciemne włosy, odchyliła się do tyłu i przyglądała mi się, sprawdzając efekt swoich słów.

Najpierw poczułam ulgę, a potem przyszło olśnienie. Sandra była jedną z trzech starszych redaktorek, kierujących działem reportażu. Właśnie zwolniła jedną z posad, do których ja, jako młodszy redaktor, mogłam aspirować. Teraz zrozumiałam, dlaczego zostałam wybrana na słuchaczkę tej konkretnej plotki. Pracowałam na stanowisku młodszego redaktora od czterech lat i miałam najdłuższy staż pracy, a więc byłam najbardziej prawdopodobną kandydatką na to stanowisko. Z czego wynikało, że Marcy rzeczywiście przybyła z misją weryfikacyjną.

- Sandra odeszła z pracy? - zaczęłam, rozpierając się na swoim krześle. - To niesamowite. A ja myślałam, że będzie tu aż do emerytury. Ile czasu pracowała w „Twoim Ślubie”? Pięć, sześć lat?

- Siedem i pół - odparła Marcy, a w jej głosie brzmiała radość. - Słyszałam, że ona i Patrycja wszystko sobie wygarnęły.

Teraz byłam pewna, że upiększa. Nasza naczelna była łagodną i opanowaną osobą. Nie do pomyślenia, żeby to właśnie ona wywołała kłótnię.

- Trudno uwierzyć.

- No, tak, ale znasz Sandrę. Potrafi zachowywać się wrednie, gdy coś idzie nie po jej myśli. A nie idzie, odkąd mąż od niej odszedł.

- Co? - wbrew sobie okazałam zbyt wielkie zainteresowanie.

- Pół roku temu. Nie wiedziałaś? Zamknęłam rozdziawione ze zdziwienia usta.

- Cóż, zwykle jestem zbyt zajęta, żeby zwracać uwagę na plotki - odparłam, ponieważ uznałam, że to najlepsza chwila na pokazanie Marcy, gdzie jej miejsce.

Marcy przelknęła to i zaczęła się wycofywać.

- Tak, rzeczywiście dużo pracujesz. Widziałam cię nawet kilka razy po godzinach - powiedziała, zmieniając taktykę.

- No, tak. Czasami mi się to zdarza.

Byłam zakłopotana, że ktoś może uważać mnie za jedną z pracoholiczek, które na potrzeby magazynu „Twój Ślub”, który radzi, jak ułożyć sobie szczęśliwe życie, rezygnowały z własnego życia, marzeń oraz, co widać wyraźnie na przykładzie Sandry, z mężów.

- Nie, ty naprawdę ciężko pracujesz - protestowała, bacznie mi się przyglądając. - Czytałam w ostatnim numerze twój artykuł „Syndrom Kopciuszka, czyli idealne pantofelki na dzień ślubu”. Naprawdę dobry.

- Och, dziękuję. To się nawet miło pisało.

- Uwielbiam fragment, w którym wspominasz o obsesji szukania butów, które muszą być wygodne i ładne równocześnie. A to baśniowe podejście... Bardzo inteligentny manewr. Jakie było pierwsze zdanie?

Rozsiadłam się wygodnie i niemal z dumą zacytowałam sama siebie:

- „Teraz, kiedy znalazłaś już swojego idealnego księcia z bajki, najwyższy czas zająć się poważnie sprawą pantofelków, w których wkroczysz na długą - i potencjalnie bolesną - drogę kościelną nawą”.

- Tak, tak! - powiedziała Marcy, prostując się na krześle.

- To jest coś.

- Dzięki. Nie miałam pojęcia, że czytujesz to pismo.

- Żartujesz chyba? - Marcy znowu odchyliła się do tyłu.

- Jesteś dobra. Naprawdę dobra. Jak długo już tu pracujesz? Trzy i pół roku?

- W przyszłym tygodniu będzie cztery lata i dwa miesiące.

- Nieźle. - Rozpromieniła się. - Wiesz, byłabyś pewniakiem na posadę starszego redaktora.

- Miło z twojej strony, że tak to widzisz, ale...

- Przecież masz najdłuższy staż pracy ze wszystkich młodszych redaktorów. I każdy wie, że masz najlepsze pióro w całej redakcji - z błyskiem satysfakcji w oczach wytoczyła najcięższe armaty.

- Naprawdę?

- Och, Emmo. Akurat przy mnie nie musisz być taka skromna. I tak założyłam, że będziesz się starać o ten awans. W końcu jesteś najsilniejszą kandydatką.

Pochyliłam się do przodu.

- Skoro o tym wspomniałaś, to przyznam, że zastanawiałam się nad rozmową z Caroline.
- Rzeczywiście ostatnio chodziło mi po głowie, żeby porozmawiać z szefową o mojej przyszłości.

- Na twoim miejscu za bardzo bym tego nie odkładała - ostrzegła mnie Marcy. Potem wstała i pochyliła się nade mną, aby zadać ostateczny cios. - Chyba nie chcesz, żeby cię ktoś ubiegł, co?

- Pewnie, że nie. - Podniosłam na nią wzrok, szukając w jej twarzy przyjacielskiego błysku. Dostrzegłam jednak coś, co bardziej przypominało współczucie niż dobrą wolę.

- Zrobię to. W poniedziałek z samego rana. Może ona mi poradzi, jak rozmawiać z Patrycją.

Na samą myśl o rozmowie z redaktorem naczelną na temat awansu poczułam ucisk w żołądku. Ogarnęły mnie wątpliwości, czy Patrycja w ogóle wie o moim istnieniu.

Natychmiast odszukałam Rebekę. Miałam nadzieję, że będzie miała coś do powiedzenia na temat ostatnich wydarzeń.

- Cześć - powiedziałam, opadając na krzesło w jej boksie.

- Witaj. - Powoli oderwała się od klawiatury komputera, w którą energicznie waliła.

- Nie przeszkadzam ci?

- Nie, nie. Chciałam tylko skończyć ten artykuł przed lunchem.

A odkąd to Rebeka zrobiła się taka pilna? Nie miałam teraz czasu, żeby się nad tym zastanawiać, więc zapytałam od razu:

- Słyszałaś o Sandrze?

- Och, tak. Marcy już wszystkich obeszła - powiedziała Rebeka, wznosząc oczy do góry.

- Chyba spróbuję powalczyć o tę posadę.

Zawahała się chwilę, ale to wystarczyło, żebym dostrzegła zaskoczenie malujące się na jej twarzy.

- Uważasz, że nie powinnam? - zapytałam defensywnie.

- Nie w tym rzecz. - Uśmiechnęła się. - Powinnaś. Jeśli tego właśnie chcesz.

- A co innego mam robić? Tkwić tu przez następne cztery lata, zarabiając byle jakie pieniądze? W końcu taka okazja nie zdarza się co dzień.

- To prawda. - Westchnęła. - Wszystko się zmieniło, kiedy zostawił ją mąż.

- Czy ciebie ta wieść nie zbiła z nóg?

- Tak - odparła Rebeka. - Zawsze ich miałam za idealne małżeństwo.

- Poznałaś go?

- Tak. Jakiś rok temu Sandra zaprosiła Nasha i mnie na kolację. Chodziłyśmy do tej samej szkoły. Była kilka lat wyżej. Chyba uważała, że wiele nas łączy. To był miły wieczór. Po bliższym poznaniu Sandra jest naprawdę w porządku.

Ta wiadomość naprawdę mnie zaszokowała. Jakoś nigdy nie pomyślałam, że Sandra i Rebeka mogą się przyjaźnić. Znowu wzrosła moja podejrzliwość w stosunku do Rebeki.

- Myślę, że powinnaś starać się o awans na starszego redaktora, Emmo - zaczęła. - Jeśli uważasz, że chcesz iść w tym kierunku. - Potem popatrzyła przelotnie na swoje dłonie splecione na kolanach, po czym spojrzała mi prosto w oczy. - Ale będę szczerą. Powinnaś wiedzieć, że ja też się o to staram.

Wyznanie: *Moja wewnętrzna kobieta pracująca opuściła budynek.*

- Co ona sobie wyobraża? Kim niby jest? - zapytała z oburzeniem Alyssa, marszcząc brwi.

Siedziała naprzeciwko mnie przy stoliku w słabo oświetlonej restauracji. Umówiliśmy się na kolację w barze Six, jednym z naszych ulubionych miejsc spotkań w West Village. Jade też miała do nas dołączyć. Wprowadzałam Alyssę w krwawe detale mojej świeżo ustanowionej rywalizacji z Rebeką.

- Ona się nawet specjalnie nie przykładała - poskarżyłam się. - Oczywiście przykładała się do znajomości ze swoją szkolną koleżanką, Sandrą. Sandra prawdopodobnie poinstruowała ją szczegółowo, co zrobić, żeby awansować bez wysiłku. Dlaczego mnie się zawsze zdarzają takie rzeczy?

- A jaka rzecz ci się teraz zdarzyła? - zapytała Jade, która zdążyła załapać się na końcówkę mojego biadolenia.

Pochyliła się i szybko uściśnęła każdą z nas, a potem opadła na trzecie krzesło.

- Rebeka konkuruje z Emmą o stanowisko starszego redaktora w dziale reportażu „Twojego Ślubu” - wyjaśniła Alyssa.

- Ty chcesz zostać starszym redaktorem działu reportażu? - Jade popatrzyła na mnie.

- Owszem - syknęłam. - A czemuż to tak trudno w to uwierzyć? Od czterech lat piszę i redaguję teksty. I to całkiem nieźle, mogłabym dodać.

Podszedł do nas kelner, żeby przyjąć zamówienie. Był młody i miał lekko śródziemnomorską urodę. Jade zmierzyła go wzrokiem, a ja powróciłam do swoich dąsów.

Wiedziałam dobrze, co chodzi po głowie Jade. Zastanawiała się, dlaczego nagle oddałam całą duszę i ciało pracy, którą jeszcze kilka tygodni temu traktowałam z dużym pobłażaniem. Nie wiedziała, że już podczas ery Derricka zaczęłam zmieniać stosunek do roli, jaką „Twój Ślub” odgrywa w moim życiu. Nikt o tym nie wiedział - oczywiście poza samym Derrickiem. On zawsze powtarzał, że należę do grupy szczęśliwych wybrańców, którzy mogą żyć z pisania, podczas gdy on musi robić wszystko, od kelnerowania po wyprowadzanie psów, żeby zarobić na życie i uprawiać „sztukę”.

Kiedy znowu skupiłam się na rozmowie, usłyszałam Alyssę spokojnie wyjaśniającą, dlaczego jestem zdecydowanie lepszą kandydatką niż Rebeka. Mogłam na nią liczyć w każdej sytuacji. Z Jade nie było tak łatwo.

- No, dobrze - mówiła teraz. - Rozumiem, co masz na myśli.

Przerwała, bo właśnie wrócił kelner i ostrożnie postawił przed nią kieliszek.

- Za następne wcielenie Emmy. Skoro tego chce, niech zostanie prymuską w wydawnictwie Stepford Editors.

Zamarłyśmy, z kieliszkami w pół drogi. Alyssa posłała jej rozpaczliwy uśmiech.

- Dobra. Zapomnijcie o tym. Wznieśmy toast za coś, co jest realne - powiedziała, posyłając mi ostatnie kąśliwe spojrzenie.

- Za ponętnego kelnera, który rozbudził moje nadzieje, że będę jeszcze kiedyś uprawiać seks.

Brzęknęło szkło. Alyssa roześmiała się, a ja odczułam ulgę, że zmieniłyśmy temat i zajęłyśmy się czymś, co nie miało związku z rozwojem mojej kariery.

- Co tam u ciebie? - zapytała ją Alyssa. - Emma mówiła, że poznałaś jakiegoś wspaniałego faceta.

- Teda - westchnęła Jade.

Napiła się i wzruszyła ramionami.

- Zdaje się, że Emma nie opowiedziała ci odcinka, w którym Ted zniknął z powierzchni ziemi.

- Co się stało? - zapytała Alyssa.

- A niby co miało się stać? Nie zadzwonił.

Jeszcze raz wzruszyła ramionami.

Chociaż próbowała starannie to zamaskować, w jej oczach było coś, co kazało myśleć, że tę konkretną porażkę odczuła dotkliwiej niż zwykle. Najwyższy czas uświadomić jej, że Wspaniały Ted wcale nie był taki znowu wspaniały.

- Gdzieś czytałam, że wielkość mięśni jest odwrotnie proporcjonalna do rozmiaru mózgu

- zaczęłam. - Czy nie wspominałaś, że Ted był niezłe umięśniony?

Jade uśmiechnęła się półgębkiem.

- Wiem, co próbujesz zrobić. A odpowiedź brzmi „nie”. Mówiłam, że jest szczupły. Ma typową sylwetkę człowieka, który pływa na desce. Ale nie w tym rzecz.

- A w czym? - zapytała Alyssa.

Najwyraźniej ona również zdawała sobie sprawę z nękającego Jade niepokoju.

- W tym, że wydawało mi się, że naprawdę coś nas łączy. Słuchamy tej samej muzyki. Chodzimy do tych samych klubów. On lubi Simply Red. A same wiecie, jaki jest mój stosunek do Simply Red.

- Cóż, to była tylko jedna randka...

- Jedna wspaniała randka - nie dawała za wygraną Jade.

- A to się tak często nie zdarza.

Miała rację. Jedno wiedziałam na pewno: w wielkim mieście, w którym związki z ludźmi płci przeciwnej niszczy pośpiech, korki oraz strach przed rytuałami małżeńskimi, jeden sensowny wieczór stanowi ważny początek. Dlatego właśnie utrata Derricka po dwóch latach dzielenia się z nim wszystkim: od ważnych rozmów po szczoteczkę do zębów, była czymś na granicy katastrofy.

- Oni wszyscy są bydlakami - wtrąciłam się.

- Może za bardzo skupiasz się na ostatecznym rezultacie, Jade - powiedziała Alyssa. - Może potraktować randki bardziej w stylu zen.

- Łatwo ci mówić, gdy masz na stanie męską zabawkę - stwierdziła Jade, chociaż Richard, w ciemnych garniturach i eleganckich półbutach, wcale nie przypominał zabawki.

- Pod latarnią najciemniej - odparła Alyssa.

- Naprawdę? - Jade z pasją podjęła temat. - Co ty powiesz? Nie uprawiałam seksu od sześciu tygodni i czterech dni. Carla nie liczę, bo mam na myśli prawdziwy seks. Kiedy ty i Richard ostatni raz to robiliście?

Nadal wpatrując się w swój kieliszek, Alyssa odpowiedziała:

- Trzy miesiące temu.

- Co? - powiedziałam unisono z Jade.

- No, to nie do końca prawda. Kochaliśmy się jakieś trzy tygodnie temu, ale lepiej o tym nie wspominać. Sama mechanika, żadnych emocji.

- Co z wami jest? - zapytała Jade.

- Nie wiem. Wszystko się między nami zmieniło... przez ostatnie kilka miesięcy.

- Może po prostu wpadliście w rutynę - powiedziałam, desperacko starając się znaleźć przyczynę, dla której nagle wszystko się popsuło między dwojgiem ludzi, co do których miałam absolutną pewność, że są sobie przeznaczeni. - Richard chce zostać współnikiem, prawda? Jest pod ogromną presją.

- Być może - westchnęła Alyssa. - Ale mam wrażenie, że my tak naprawdę już się nie dostrzegamy. Czuję się, jakbym z kimś na spółkę wynajmowała jedno mieszkanie. Dzielili koszt na brudną bieliznę.

- Musisz nim wstrząsnąć - powiedziała Jade. - Zrób coś, co mu przypomni, że mieszka z piękną, inteligentną kobietą, o jakiej marzy każdy facet. - Nagle uniosła brwi, jakby właśnie doznała olśnienia. - Potrzebny ci inny adorator, żeby Richard musiał się trochę postarać.

Alyssa natychmiast spojrzała na mnie i uśmiechnęła się z poczuciem winy. Nie mogłam się powstrzymać i parsknęłam śmiechem.

- O co chodzi? - zapytała podejrzliwie Jade. Spojrzałam na Alyssę.

- No, cóż... rzecz w tym... że poznałam kogoś.

- Żartujesz - powiedziała Jade, a ja odniosłam wrażenie, że się zastanawia, podobnie jak ja, jak to możliwe, że do Alyssy, bez względu na okoliczności, mężczyźni ciągną jak muchy do miodu.

- Musisz obiecać, że nie będziesz się śmiać. - Alyssa spojrzała na Jade surowo.

- Nie odważyłabym się! Jeśli wypracowałam jakąś metodę i zamierzasz mi ją teraz sprzedać, ja mam się z niej śmiać?!

- No, dobrze. Chociaż nie wiem, czy to metoda dla ciebie, bo musiałabyś kupić sobie jakiegoś zwierzaka. - Alyssa przerwała, po czym spojrzała na mnie, szukając wsparcia. - Wiesz, Lulu nie czuła się ostatnio dobrze, więc poszłam z nią do weterynarza. Jej stary lekarz odszedł na emeryturę, a na jego miejsce przyszedł nowy, młody... cudowny...

- Sypiasz z lekarzem Lulu?

- Nie! - krzyknęłam razem z Alyssą zgodnym chórem.

Moje niecierpliwe zaprzeczenie uświadomiło mi, jakie to dla mnie ważne, żeby Alyssa nie zrobiła niczego, co mogłoby narazić na szwank jej związek z Richardem.

- W takim razie co? Dzielicie się poradami domowymi? Rozmawiacie o usuwaniu pcheł?

- Do niczego tak naprawdę nie doszło. Tylko...

- Zadurzyła się w nim - wtrąciłam się. - Wiesz, szczenięca miłość. - Spojrzałam na Alyssę. - Przepraszam. Gra słów nie była zamierzona.

- Nie wiem, czy to tylko zadurzenie - zaprotestowała Alyssa. - To tak jak z twoim Tedem. Czuję, że łączy nas coś prawdziwego...

- No tak - stwierdziła Jade. - Nie daj się nabrać.

- Przepraszam, nie chciałam cię...

- Nie ma o czym mówić, Lys. - Jade wzruszyła ramionami.

- Musisz postawić sobie jedno pytanie. Zastanów się, czy ten śliczny doktorek jest dla ciebie aż tak ważny, żeby ryzykować utratę Richarda?

Alyssa nic na to nie powiedziała.

- Hej! - Jade zapaliła papierosa. - Jeśli on aż tyle dla ciebie znaczy, to się nie oglądaj.

- Jade, nie zachęcaj jej... - zaczęłam, ale nie zwracała na mnie uwagi.

- Lecz bez względu na to, co zrobisz, rób to poza jego gabinetem. Nie wydaje mi się, żeby kuwety z piaskiem i środki antyseptyczne tworzyły odpowiednią atmosferę.

- Ha, ha - powiedziała Alyssa, unosząc kieliszek, żeby ukryć uśmiech. Uśmiech, który zdradzał, że zamierzała zachować się tak, jak przewidziała Jade.

Musiałam stawić czoło faktom. Związek Alyssy i Richarda naprawdę był w rozsypce.

Wyznanie: Sytuacja może ulec zdecydowanemu pogorszeniu.

W poniedziałek wystroiłam się w jedyną rzecz, która mogła uchodzić za kostium - parę czarnych spodni, nie bardzo wyblakłych, w zestawieniu z jedynym czarnym blezerem, jaki posiadałam, oraz białą koszulę, ponieważ najmniej przypominała noszone przeze mnie zawsze podkoszulki. Ruszyłam do znakomitej redakcji. Tam czekał na mnie mój nowy los.

Zamierzałam przedyskutować swoją decyzję z Caroline, zdobyć jej aprobatę i dopiero wtedy zrobić następny krok, czyli przekonać władze „Twojego Ślubu”, że nie tylko jestem naj-

lepszą kandydatką na starszego redaktora w dziale reportażu, ale w dodatku moja redakcyjna mantra brzmi od dzisiaj: „małżeństwo albo śmierć”.

Pewnym krokiem wmaszerowałam do swojego boksu. Nie rozglądałam się dookoła, żeby nie widzieć uniesionych brwi komentujących podwyższony nagle standard mojego stroju roboczego.

Jednak kiedy usiadłam przy biurku, żeby przeciwżyć swoją przemowę i nadać jej swobodny i niewymuszony ton, byłam w stanie myśleć jedynie o Sandrze i Rebecce. Jak mogę się mierzyć z koneksjami Rebeki? Każdy wie, że tą branżą rządzą kazirodcze układy.

Trzeba przyznać, że Rebeka, ze swoim idealnym narzeczonym, idealną fryzurą oraz modnymi jedwabnymi bluzeczkami i spódnicami do kolan, ani trochę nie przypominała Sandry, która miała raczej skłonność do stylu wielowarstwowego i pełnego nieładu. Ale byłam pewna, że nic porozumienia nawiązała się między nimi już w chwili, kiedy Rebeka przyszła do pracy.

Jak mam się z tym zmierzyć? Ja, w zniszczonych czółenkach wyciągniętych z dna szafy, ja, ze swoim widmowym narzeczonym?

- Wyglądasz świetnie - usłyszałam głos Marcy Keller, która zajrzała do mnie.

Poczułam niesłychaną wdzięczność za ten komplement, bez względu na to, że pochodził od kobiety, która słynęła bardziej z wyrachowania niż serdeczności. Uśmiechnęłam się do niej, co potraktowała jako zaproszenie i natychmiast osunęła się na krzesło.

- Więc zamierzasz to zrobić, co? - zapytała ostrym szeptem, który mógłby sugerować, że zamierzam zastrzelić koleżanki z karabinu maszynowego.

- Nie ma na co czekać - odparłam z udawaną brawurą.

- Zgadzam się - powiedziała i pokiwała energicznie głową, a jej brwi uniosły się aż ponad wielkie, czarne oprawki okularów. - Zwłaszcza że Rebeka już złożyła swoje dokumenty.

Spojrzałam na otwartą teczkę, w której trzymałam wszystkie rzeczy o znaczeniu osobistym, od chaotycznie poskładanych wycinków i starych, urlopowych notatek po reklamowe ulotki okolicznych knajpek.

- Myślisz, że powinnam coś takiego przygotować przed rozmową z Caroline?

Jej wzrok powędrował za moim i spoczął na stercie papierów.

- Nie. Szkoda czasu. Idź i powiedz, że jesteś zainteresowana. Tak będzie najlepiej.

Nagle dostrzegłam plusy przyjaźni z Marcy, która - jak się okazało - była skarbnicą informacji na temat negocjowania awansu. Nawet nie pomyślałam o przygotowaniu własnego

dossier z wycinkami artykułów. Założyłam, że Patrycja musiała czytać moje teksty. W końcu jest naczelną tego wspaniałego magazynu.

- Na twoim miejscu dołączyłabym wycinki artykułów publikowanych poza „Twoim Ślubem” - ciągnęła Marcy, rozszyfrowując nekające mnie pytanie. - Rebeka tak zrobiła. Dała kilka kawałków z tego handlowego pisma, w którym pracowała.

Powoli zaczęła ogarniać mnie panika. Rebeka miała inne wycinki. A cóż miałam ja, poza niedokończonymi opowiadaniem i kompromitującymi wierszami, które popełniłam z żalu nad sobą?

- Inne artykuły? - mruknęłam.

- No, wiesz... rzeczy, które napisałaś jako wolny strzelec albo w poprzedniej pracy - kontynuowała Marcy. - Ale przecież ty nigdzie wcześniej nie pracowałaś.

Miała rację. Nie pracowałam - poza normalnym w czasach studiów kelnerowaniem oraz zleconymi pracami biurowymi, z czego nie wynikało nic poza obolałymi nogami oraz kiepską prozą. Nawet moja znakomita kariera w „Twoim Ślubie” była tak naprawdę dziełem przypadku i nieuzasadnionej wiary we mnie żywionej jedynie przez Caroline.

- Nie pisałaś nigdzie z doskoku? - pytała Marcy.

Naprawdę wydawała się szczerze mną zatroskana. Chyba niesprawiedliwie ją oceniałam.

- Właściwie nie - odparłam, a moja pewność siebie zmalała do normalnego poziomu.

Przyglądała mi się przez chwilę, jakby próbowała ocenić moje szanse.

- Ja bym się tym nie martwiła - powiedziała, wstając. - W końcu Rebeka pracowała tylko w gazecie handlowej. - Zmarszczyła nos z lekceważeniem.

- Chyba masz rację - odparłam bez przekonania.

- Cóż, obowiązki wzywają. Rzuć ich na kolana, Emmo. - Opuściła mój boks, ale po chwili wsunęła jeszcze głowę. - Powodzenia.

Wyznanie: Moje życie zmieniło się w żart - a ja jestem jedyną osobą, która go nie łapie.

- Wejdz, wejdz - zaprosiła mnie Caroline, kiedy w końcu zebrałam się na odwagę i poszłam złożyć ofertę na stanowisko starszego redaktora działu reportażu.

Dzięki Bogu, że mogę to przećwiczyć na Caroline, zanim stanę przed Patrycją. Od początku pracy w „Twoim Ślubie” Caroline była moją rzeczniką, chwaliła moje wczesne dziennikarskie próby i zachęcała, abym starała się o stanowisko młodszego redaktora, kiedy tylko

pojawiła się taka szansa. Obrzuciłam wzrokiem jej zalany słońcem, pełen zieleni gabinet, z zagraczonymi półkami, na których trzymała wszystko, poczynając od kolekcji lalek z całego świata po zdjęcia jej i jej męża, Milesa, oraz trójki idealnych dzieci. Promienna ciąża z Idealnym Dzieckiem Numer Cztery, ukrytym teraz pod kwiecistą sukienką, była kolejnym dowodem domowego szczęścia. W redakcji wszyscy byli zdumieni, że Caroline wracała do pracy po każdym dziecku, zawsze gotowa do poświęceń dla dobra „Twojego Ślubu”.

- Cieszę się, że wpadłaś - usłyszałam, kiedy już zasiadłam wygodnie w fotelu obok szerokiego biurka. - Dawno nie rozmawialiśmy i jestem ciekawa, jak ci leci. Wiesz, żyjąc pod presją terminów i w kieracie codziennych obowiązków, traci się czasami właściwą ocenę rzeczy. Opowiedz, co u ciebie słychać?

- Wszystko dobrze. - Staralam się przyjąć ton kobiety, która panuje nad swoim życiem i jest gotowa podjąć każde zawodowe wyzwanie.

- To cudownie. - Uśmiechnęła się. Położyła dłoń na lekko zaokrąglonym brzuszku i pogładziła go.

- A co u ciebie? Dobrze się czujesz? - zapytałam.

- Och, tak. - Zaśmiała się. - Jestem już ekspertem. Miles drwi ze mnie, że tym razem na oddziale położniczym podarują mi papierową koszulę nocną z moim monogramem.

- Założę się, że ty i Miles cieszyć się na to dziecko tak samo, jak na... pierwsze - powiedziałam.

Nagle zdałam sobie sprawę, że zapomniałam imienia ich pierwszego dziecka. Chciałam tylko nawiązać przyjacielską pogawędkę, zanim przejdę do rzeczy, a tymczasem ujawniłam swój rażąco obojętny stosunek do dzieci, które ona kochała nad życie. A przecież nie było ze mną aż tak źle - jej dzieciaki robiły urocze wrażenie, przynajmniej na zdjęciach. Tylko że nie nadażalam za ich produkcją.

Na szczęście Caroline uratowała mnie przed hańbą.

- Jasne, że jesteśmy podekscytowani. Ale Sarah nie pozwala nikomu zapomnieć o tym, kto jest najstarszy. Sądząc po tym, jak rozstawia po kątach rodzeństwo, nie zdziwię się, jeśli w przyszłości zrobi karierę w zarządzaniu.

- To zabawne - podjęłam wątek, zbierając siły i przygotowując się do skoku na głęboką wodę. Muszę przekonać ją, że jestem najinteligentniejszą, najbardziej energiczną i twórczą kandydatką na stanowisko starszego redaktora. Uff! - Jak wiesz - zaczęłam, zaciskając ręce na poręczach fotela, żeby ukryć ich drżenie - dwa lata temu zostałam młodszym redaktorem.

- Tak, i doskonale sobie radzisz - odparła.

- Dziękuję - ciągnęłam, czując się odrobinę pewniej. - Przez ten czas solidnie pracowałam, często podsuwałam pomysły i angażowałam się w prace nad układem graficznym. Napisałam nawet większość tekstów do ostatniego konkursu dla prenumeratorów.

- Były świetne, Emmo. Jak zawsze.

- Dziękuję - powtórzyłam spokojnie. Zaczynałam przechodzić do rzeczy. - Uważam, że w ciągu tych lat zrobiłam postępy w pisaniu. Rozumiem strategię naszego magazynu. Dlatego myślę, że jestem idealną kandydatką na stanowisko starszego redaktora w dziale reportażu.

Caroline zrzęda mina. Na jej twarzy malowało się wyraźne zdziwienie.

- Och!

„Och?” Poczułam gwałtowny skurcz żołądka.

- To ciekawe - mruknęła, przyglądając mi się uważnie spod ściągniętych brwi.

O co jej chodzi?

- Zastanawiam się... - wyjąkałam. - To znaczy, chcę... wiedzieć, co zrobić, żeby... eee... ubiegać się o tę posadę...

W końcu Caroline się uśmiechnęła. Powróciła typowa dla niej życzliwość, co znowu dało mi odwagi.

- Cóż, najpierw, oczywiście, powinnaś porozmawiać z Pat - powiedziała.

Nigdy jeszcze nie słyszałam, żeby ktoś mówił w ten sposób o Patrycji.

- Czy uważasz, że powinnam pójść do niej ze swoim dossier?

- Dobry pomysł - odparła. - Uaktualnij wszystkie dane, żeby Pat poznała przebieg twojej kariery.

Caroline znowu ściągnęła brwi i uważnie mi się przyjrzała. Minęło kilka bolesnych dla mnie chwil, zanim powiedziała:

- Emmo, kiedy będziesz przeglądała wycinki ze swoimi tekstami i uaktualniała życiorys, spróbuj spojrzeć na sytuację z dystansu. Masz świetną okazję, żeby ocenić własną pracę, znaleźć swoje mocne strony i zastanowić się nad przyszłością. - Poprawiła się na krześle i mówiła dalej: - W końcu niecodziennie zastanawiamy się nad tym, co chcemy robić przez następne parę lat.

Jasne! Gdybym bowiem zastanowiła się nad własną przyszłością, prawdopodobnie uświadomiłabym sobie kilka rzeczy.

Na przykład to, że nie mogę się mierzyć z Rebeką. Mogłabym również domyślić się wcześniej, że w wieku trzydziestu jeden lat będę samotną kobietą, a nie żoną Derricka - wystarczyło wyciągnąć wnioski z faktu, że już od pierwszego dnia Derrick planował swoje odejście.

Jednak nie powiedziałam tego Caroline. Wymamrotałam tylko kilka słów podziękowania i wyszłam. Byłam pewna, że zmierzam ku następnej, nieuchronnej porażce.

ROZDZIAŁ CZWARTY

„Zreć czy nie zreć, oto jest pytanie”

- uciekinier ze Stowarzyszenia Strażnicy Wagi

Wyznanie: *Nie jestem tak szczupła, jak mi się wydaje.*

W drodze z pracy do domu udało mi się przekonać samą siebie, że mam absolutne prawo do chwili obżarstwa. Wstąpiłam więc do sklepiku na rogu.

Skierowałam się prosto na tyły sklepu, do półki ze słodyczami. Wybrałam niewielkie ciasto, zawierające jednak największą ilość czekolady na centymetr kwadratowy, potem zamierzałam przejść do następnego sklepu, a nawet do kilku pobliskich sklepów. W ten sposób chciałam zgromadzić odpowiednią ilość pełnotłustych i wysokokalorycznych słodczy, które miały tłumić poczucie nieszczęścia odczuwane w związku z marnymi perspektywami w „Twoim Ślubie” i w życiu w ogóle.

Lecz wtedy złapał mnie stary, dobrze znany atak złości. Do diabła! Z wściekłością dorzuciłam do zakupów ciastko kawowe, po czym przeszłam do kolejnej półki po paczkę chipsów o smaku śmietanowo-cebulowym. Muszę zapomnieć o Caroline i jej zagadkowej minie.

Maszerowałam do domu i desperacko próbowałam nie dopuścić do siebie myśli o tym, jak chodziliśmy tędy z Derrickiem, trzymając się za ręce i oglądając piękne domy z fasadami obłożonymi piaskowcem.

Kiedy już schroniłam się bezpiecznie w mieszkaniu, w głowie zaczęły kłębić mi się myśli o wszystkich spódniczkach, które w ciągu ostatnich miesięcy wepchnęłam na dno szafy, bo zamek ledwo się dopinał. O kardiganach i tunikach bez wcięcia w tali, które zajęły ich miejsce w związku z wysiłkami zatuszowania coraz większego brzucha. Potem przypomniałam sobie o spodniach kupionych dwa miesiące temu. Położyłam torbę z zakazanymi smakołykami na bla-

cie, rzuciłam się do szafy i zaczęłam ją gorączkowo przekopywać. Wyciągnęłam wieszak ze spodniami. Szybko spojrzałam na metkę wszytą w pasek. Rozmiar 40.

Jestem skończona.

Odwiesiłam spodnie z powrotem. Zdjęłam sweter i stanęłam bokiem do lustra. Po raz pierwszy dostrzegłam, że wystaje mi brzuch. Nie wyglądam specjalnie ponętnie.

Opadłam na krzesło. Wydawało mi się, że słodczyce zerkają na mnie z diabelską złośliwością. Jak mogłam do czegoś takiego dopuścić?

Na domiar złego zrobiłam w myślach szybki przegląd sytuacji, w których narzekałam, że przytyłam. Z nagłym przerażeniem zdałam sobie sprawę, że podczas ostatnich kilku miesięcy nikt nie zaprzeczył tym deklaracjom. Ani moja mama. Ani Alyssa czy Jade. Ani nawet Rebeka, która mimo świeżo ujawnionych wad, zawsze, bez względu na mój stan, rzucała mi przekonujące: „wyglądasz świetnie”. Ani - i to było najgorsze - Derrick.

W początkach naszego związku, kiedy jeszcze wygrzewaliśmy się w ciepłe pierwszych wspólnych nocy i pierwszych wyznań miłosnych, pozwalałam sobie na żarty z dodatkowych fałdek tłuszczu, które były efektem szczęśliwej miłości. Jak można się spodziewać, u Derricka nasze uczyty miłosne i gastronomiczne nie wywoływały żadnych skutków ubocznych. Widząc mój brak pewności siebie, brał mnie w ramiona i mówił, że będzie mnie kochać bez względu na wygląd.

Następnie stanęła mi przed oczami chwila sprzed półtora miesiąca. Wybieraliśmy się na przegląd filmowy, żeby zobaczyć krótkometrażówkę zrobioną przez przyjaciela Derricka, a ja próbowałam wcisnąć się w minispódniczkę. Zadałam wtedy fatalne pytanie:

- Czy nie wyglądam za grubo?

Derrick podniósł głowę znad gazety i powiedział:

- Lepiej włóż coś innego.

Takich sygnałów nie wolno bagatelizować. Zastanawiałam się, czy to była jedna z rzeczy, które skazały mój związek z Derrickiem na niepowodzenie.

Mój wzrok powędrował w kierunku telefonu. Poczułam nieprzewartą chęć natychmiastowej rozmowy z Derrickiem. Potrzebne mi było potwierdzenie... Czego? Nie jestem pewna. Może tego, że zostawił mnie, bo już mnie nie pragnął? Może chciałam się przekonać, że nie dzwoni, choć na pewno już się urządził, bo umawia się z jakąś smukłą blondynką, której złociste włosy są jednakowo złociste, niezależnie od kaprysów jej fryzjera? Nienawidziłam jej. A jego jeszcze bardziej.

Zadzwoiłam więc do Alyssy.

- Dlaczego mi nie powiedziałaś, że przytyłam?

- Co?

- Czy twoim zdaniem Derrick rzucił mnie z obawy, że jeśli ze mną zostanie, to skończy jako mąż gospodyni domowej z podwójnym podbródkiem, która nosi luźne sukienki i ma skłonność do nieustannego ruszania szczęką?

- Emma! Derrick zostawił cię, bo dostał pracę na Zachodnim Wybrzeżu.

- Mógł mnie zabrać ze sobą.

- Nie chciałaś przeprowadzić się do Los Angeles.

- Nawet mi tego nie zaproponował! Usłyszałam westchnienie.

- Posłuchaj, jeśli chcesz, możesz chodzić ze mną do klubu na gimnastykę. Mam mnóstwo wejściówek dla gości. Nigdy ich nie wykorzystałam.

- O, rany. Właśnie to potwierdziłaś. Ty też uważasz, że jestem gruba, prawda?

- Emmo...

- Możesz mi powiedzieć. Zniosę to...

- Emmo! Czy mogłabyś mnie przez chwilę posłuchać w milczeniu? Uważam, że wyglądasz świetnie. Problem w tym, że ty tak nie uważasz, a to źle. Zaproponowałam gimnastykę tylko dlatego, że ja po dobrym treningu zawsze czuję się lepiej we własnej skórze. Poza tym, to dobre lekarstwo na stres. A ty masz najwyraźniej dużo stresów.

- Czy to moja wina? Poszłam dziś do Caroline i powiedziałam, że chcę się ubiegać o stanowisko starszego redaktora w dziale reportażu. I wiesz, co wymamrotała, kiedy tam u niej siedziałam?

- Co?

- Że to „ciekawe”. Dwa lata temu praktycznie zmusiła mnie do objęcia stanowiska młodszego redaktora. Teraz chcę zrobić następny krok, a ona mówi, że to ciekawe. Co to ma, do cholery, znaczyć?

- To rzeczywiście dziwne.

- Więc rozumiesz, o czym mówię?

- Nadal zamierzasz iść do naczelnej?

- Chyba muszę. Już wprawiłam tę całą maszynę w ruch. Mam uaktualnić życiorys, żeby Patrycja mogła się przyjrzeć moim wcześniejszym dziennikarskim dokonaniom. Chodzi o doświadczenie, którego nie mam.

- Pomogę ci z tym życiorysem. Trzeba po prostu przekonać ich, że jesteś odpowiednią kandydatką, nawet jeśli nie masz za sobą wielu doświadczeń. Ale wszystko po kolei. Chodź ze mną jutro na gimnastykę. Lepiej się poczujesz, jak trochę poćwiczysz.

- Dobrze - powiedziałam, trochę uspokojona.

Alyssa zawsze tak na mnie działała. Zanim się pożegnałyśmy, dowiedziałam się jeszcze, że Lulu kiepsko znosi nowe leki i że Alyssa musi ją znowu zabrać do czarującego doktora Jasona Carruthersa. Jutro spróbuję ją od tego odwieść. A ponieważ odzyskałam nieco pewności siebie, pozwoliłam sobie na kawałek ciasta. Zaraz i tak wszystko wypoczę, a muszę jakoś złagodzić trudy tego wyjątkowo ciężkiego dnia, prawda? Potem położyłam się do łóżka, z telefonem pod ręką, w razie gdyby Derrick, po wieczorze spędzonym z blond pięknnością, chciał porozmawiać z kobietą, którą kiedyś kochał.

Wyznanie: Męczy mnie głęboko zakorzeniony strach przed klubami fitness.

Następnego dnia wieczorem musiałam wyciągać się siłą za uszy, żeby pójść na ćwiczenia. A dzień w redakcji wcale nie był lepszy od wczorajszego. Szukałam argumentów nie do odparcia w kwestii własnego awansu. Przeglądałam kolekcję wycinków, żeby wybrać najlepsze, a przynajmniej takie, które dowodziły, że jestem tak zwanym ekspertem od ślubów. Wtedy to do mojego boksiku zajrzała Marcy Keller i poinformowała mnie z radością, że Rebeka dostała zlecenie na główny materiał do następnego numeru. Roboczy tytuł artykułu brzmiał: „Najwspanialsze miejsca na świecie, w których można brać ślub”.

Co gorsza, Derrick nadal nie dzwonił, a wczoraj zdołałam zasnąć dopiero wtedy, kiedy wmówiłam sobie, że na pewno zadzwoni do redakcji. Uznałam, że na pewno nie chce rozmawiać z automatyczną sekretarką, za którą mogłabym się ukrywać. Lecz mentalna telepatia nie zadziałała. Odezwała się tylko moja mama. Chciała mi przypomnieć, że Dzień Pamięci przypada nie w ten, ale w następny weekend. Ja, samotna córka, bez szansy na randkę, jestem naturalnie oczekiwana na rodzinnym bankiecie.

- A w poniedziałek mogłybyśmy poszukać sukienki dla mnie - powiedziała rozanielonym tonem.

Jaka dziewczyna nie wpadłaby w depresję, mając przed sobą tak wspaniałe perspektywy?

Czekając przed wejściem do kompleksu sal gimnastycznych, konstruowałam zawile wymówki, które pozwolą mi natychmiast wrócić do domu, do mojego ciemnego mieszkania i zjedzonego do połowy ciasta.

- Cześć! - Przede mną stanęła Alyssa, ubrana w ciemnoszary garnitur, z jaskrawoniebieską torbą sportową przewieszoną przez ramię.

- Cześć, elegantko - odparłam, siląc się na lekki ton. - Miałaś dzisiaj rozprawę w sądzie? Zwykle Alyssa ubierała się do pracy swobodniej, chyba że musiała stawić się na sali sądowej.

- Miałam. - Uścisnęła mnie na powitanie, a potem spojrzała mi prosto w oczy. - Jak się miewasz?

- Żałośnie. I nawet nie waż się myśleć, że ocalał mnie twoje maszyny tortur.

- Co się dzieje?

- Czy zdajesz sobie sprawę, że Derrick wyjechał prawie trzy tygodnie temu i nie zadzwonił ani razu?

Przyglądała mi się uważnie przez chwilę.

- A miał zadzwonić?

- A ty byś nie zadzwoniła do kobiety, której kiedyś przysięgałaś wieczną miłość, gdybyś właśnie przeniosła się na drugi koniec kraju?

- To duża zmiana, Emmo. Może jeszcze się urządza - odparła Alyssa, choć jej mina zdradzała, że nie wierzy we własne słowa.

- Urządza się? Do tej pory mógł się już ożenić.

- Jakoś w to wątpię.

- Nie byłabym taka pewna. W końcu ma całkiem blisko do Vegas. A wiesz, jacy są mężczyźni. Bywa, że kiedy zrywają długotrwały związek, czują się tak osamotnieni, że wiążą się z pierwszą chętną kobietą.

Ta przerażająca wizja dotarła do mnie z całą jasnością.

- Muszę iść do domu.

- Co? - Alyssa zastygła z wyrazem niedowierzania na twarzy, przytrzymując przede mną drzwi do sali gimnastycznej.

- Po prostu mam dziwne wrażenie, że on dzisiaj zadzwoni i że moja nieobecność może mieć poważne konsekwencje. Poza tym i tak nie potrzebuję gimnastyki. Derrick lubi, kiedy jestem trochę zaokrąglona.

- Zapomnij o tym, Emmo. Nie puszcę cię - powiedziała Alyssa, złapała mnie za rękę i wciągnęła za sobą do środka. - Chodź.

Poszłam niechętnie za nią, choć wciąż dręczyła mnie myśl o Derricku stojącym przed urzędnikiem stanu cywilnego i patrzącym w oczy jakiejś obcej kobiecie.

W szatni znalazłam się wśród kobiet w gimnastycznych kostiumach różnego autoramentu. Ich stadium rozebrania było wprost proporcjonalne do stopnia opalenizny oraz odwrotnie proporcjonalne do wagi ciała. Zdarzyło mi się być w klubie fitness dokładnie dwa razy w życiu. Pierwszy raz namówiła mnie do tego pewna fanatyczka ze studiów - jedna z tych dziewczyn, które od urodzenia są tak giętkie, że bez trudu i z uśmiechem na ustach robią szpagat. Drugi raz dostaliśmy wejściówki do klubu Y od znajomego Derricka.

Udało mi się ujawnić światu nie więcej niż jedną czy dwie fałdki tłuszczu, bo szybko wskoczyłam w swoje stare - i jedyne - szorty oraz jeden z niewielu podkoszulków, który nie nadawał się do noszenia do pracy.

Alyssa, przebrana w sportowy stanik i dobrane pod kolor szorty, czekała już na mnie.

- Gotowa? - zapytała ze zdecydowanym na wszystko uśmiechem, po czym stanowczo odrzuciła moją sugestię, żeby pojechać windą.

Poszłam potulnie za nią. Na trzecim piętrze, oznaczonym złowrogim napisem „Trening sercowo-naczyniowy”, przywitały mnie liczne rzędy lśniących maszyn obsadzonych licznymi rzędami spoconych i Bóg wie czym powodowanych mężczyzn i kobiet.

- Najpierw musimy się trochę porozciągać i zrobić małą rozgrzewkę. Dopiero potem pójdziemy do siłowni - oznajmiła Alyssa, kierując się w stronę materaców w odległym krańcu pomieszczenia.

- Czy to nie za dużo jak na pierwszy raz? Nie chciałabym przedobrzyć. Bo jak będę za bardzo obolała, to przez jakiś czas nie będę mogła ćwiczyć, a przecież nie o to chodzi, prawda?

Alyssa wzniosła tylko oczy do góry i usiadła na materacu.

- Nie marudź. Ta część na pewno ci się spodoba.

I miała rację. Siedziałam obok niej z szeroko rozsuniętymi nogami i przeciągałam tułów to w jedną, to w drugą stronę. Zasnęłabym podczas rozciągania mięśni grzbietowych, gdyby Alyssa nie kazała mi ruszać do akcji. Wstałam i poszłam za nią do jednego z tych koszmarnie wyglądających przyrządów.

- Jade mi mówiła, że umawia się z tym kelnerem - zaczęłam, licząc na to, że odwróce jej uwagę.

- Naprawdę? - zapytała Alyssa. - On wydaje mi się trochę za młody.

- Chyba tak. Ale skoro pracuje w barze i ma do czynienia z alkoholem, musi mieć skończone osiemnaście lat. Jade nie ma nic przeciwko młodszym facetom pod warunkiem, że nie są nieletni.

Alyssa parsknęła śmiechem.

- Kiedy Jade przypuściła na niego pierwszy atak, jękał się tak, że myślałam, że on wcale nie zna angielskiego.

- Bo zna słabiutko - powiedziałam. - Ma na imię Enrico i chyba jest w Stanach od niedawna.

Mimo moich wysiłków, Alyssa nie dała się zagadać. Stała przed naprawdą strasznym przyrządem, który wyglądał jak prawdziwe narzędzie tortur. To był stairmaster. Słyszałam przerażające historie od kilku osób w redakcji, które próbowały na nim ćwiczyć.

- Wiesz, myślę, że ten element ćwiczeń jest chyba zbyt ciężki w moim przypadku - stwierdziłam. - Przecież mieszkam na czwartym piętrze bez windy. Może powinnam poćwiczyć mięśnie, których rzadko używam. - Powiodłam dookoła rozgorączkowanym wzrokiem i z ulgą dostrzegłam dziewczynę na rowerze. - O! Na przykład na tym.

- Spróbuj, Emmo - powiedziała Alyssa. - Stairmaster daje najlepsze efekty. Pośladki uniosły mi się przynajmniej o dwa centymetry, odkąd na nim ćwiczę.

Spojrzałam na pośladki Alyssy. Zawsze miałam je za idealne. Co więcej, uważałam, że są jednym z podstawowych elementów całości, która tak bardzo pociągała wszystkich mężczyzn kręcących się wokół mojej przyjaciółki. Weszłam na przyrząd i czekałam, aż Alyssa naciśnie kilka przycisków. A potem się zaczęło. Moje nogi poruszały się w górę i w dół w tempie, którego unikałam zawsze, kiedy po powrocie do domu musiałam zmierzyć się z czterema piętrami schodów.

Nie minęło pięć minut, a byłam tak wykończona, że nadzieję na zgrabną pupę zastąpił strach przed atakiem serca. Byłam przekonana, że zejść z tego świata przedwcześnie, w wieku lat trzydziestu jeden.

- Nie dam... rady - wychrypiałam do Alyssy.

Spojrzała z troską na moją czerwoną twarz.

- Na początku trudno się przyzwyczaić do takiego tempa. Może wypróbujesz teraz coś innego? Bieżnia jest też niezła - powiedziała, wskazując za siebie na grupkę ludzi biegających

w miejscu po czymś, co wyglądało jak przenośnik taśmowy. Stał mi przed oczami chomik, którego hodowałam w dzieciństwie.

- Czy jest tu basen? - zapytałam.

- Nie. Nie ma - odparła Alyssa. - Wypróbuj bieżnię. Spodoba ci się.

Tak, na pewno, pomyślałam, idąc w stronę bieżni. Ku mojej radości okazało się, że wszystkie stanowiska są zajęte. Ruszyłam do Alyssy, która dalej pokonywała kolejne piętra. Nie przerwała ćwiczenia.

- Idę wziąć prysznic - oznajmiłam. - Nie wiedziałam, że to będzie tak długo trwało. Mam robotę w domu.

Na przykład usiąść w kącie i płakać.

Alyssa natychmiast przestała ćwiczyć i stanęła obok mnie.

- Ciężarki zabiorą ci tylko pół godziny. - Przyglądała mi się uważnie. - Lepiej się pocujesz - dodała. - Daję ci słowo.

Wyjąkałam kilka kolejnych kiepskich wymówek. Jednak już po chwili szłam za Alyssą do siłowni, gdzie, słuchając jej instrukcji, wyładowałam swoje cierpienie, złość, niepokój i skrajną rozpacz na wielkich, betonowych ciężarach, które jakimś sposobem miały uczynić ze mnie lepszą, silniejszą i szczuplejszą osobę. Pchałam. Naciskałam. Pociłam się i przeklinałam. A kiedy wróciłyśmy na materace, żeby się na koniec porozciągać, okazało się, że Lys miała rację. Czułam się lepiej. Dużo lepiej.

- Będę tu w sobotę rano. Może też przyjdiesz? - zaproponowała, kiedy wykonywałyśmy ostatnie ćwiczenie. - Potem muszę iść z Lulu do weterynarza. Mówiłam ci, że lekarstwo nie pomogło?

- Idę z tobą.

- Do weterynarza?

- Tak. Uważam, że Lulu przyda się wsparcie. A tobie przyzwoitka.

Alyssa z politowaniem wzniosła oczy do góry, ale uśmiechnęła się. W jej oczach dostrzegłam coś w rodzaju ulgi. Może tak samo jak ja bała się, że zrobi głupstwo, które mogłoby zniszczyć szczęście, jakie los przeznaczał jej i Richardowi.

- Dobrze. Zobaczysz Jasona. Może wtedy zrozumiesz, dlaczego zafundowałam sobie takie rozterki.

- Tak, tak. Ty i twoje rozterki. W domu masz wspaniałego faceta. W odwodzie drugiego. Naprawdę, szczerze ci współczuję.

- Och, byłabym zapomniała. Mam dla ciebie faceta - powiedziała, wycierając sobie ręką twarz.

- Co?

- Skoro uznałaś, że twój następny narzeczony powinien być prawnikiem, mam kogoś dla ciebie. A raczej Richard ma. To facet z jego firmy. Nazywa się Henry Burke.

Jedyny Henry, jakiego znałam, był sąsiadem mojej mamy na Long Island - niskim, łysiejącym mężczyzną z brzuszkami, który uśmiechał się do mnie lubieżnie za każdym razem, kiedy stał bez koszuli w swoim ogródku i gorączkowo podlewał trawnik.

- Bardzo miły gość. Poznałam go na przyjęciu bożonarodzeniowym w zeszłym roku.

- Czy nie mógłby używać zdrobnienia Hank? - mruknęłam, wstając.

Muszę oswoić się z myślą, że pójdę na randkę z facetem, który ma na imię Henry. „Co robiliście wczoraj wieczorem? Poszliśmy z Henrym na bilard”. Takiego imienia nie da się namiętnie wykrzyczeć w łóżku.

- A co to za różnica? - zapytała Alyssa, ruszając w stronę schodów wiodących do szatni.

- Jest uroczy. I... - odwróciła się i spojrzała na mnie - ...chyba gotowy do małżeństwa.

- Ale ja nie jestem gotowa - stwierdziłam, spoglądając na swoje spocone ciało. Niestety, jedna wyprawa do siłowni nie uczyni nikogo królową piękności.

- O czym ty mówisz? Sama mnie o to prosiłaś.

- To było wcześniej. Zanim sobie uświadomiłam, że mogę pozować do zdjęć zachęcających do kuracji odchudzających.

- Nie jesteś gruba - zaprotestowała Alyssa.

Dotarliśmy tymczasem do szatni, gdzie otoczyło mnie kolejne pokolenie szczupłych, długonogich supermodelek.

Powiedz to Henry'emu Burke'owi! Przecież poczuje się jak palant, widząc, że dał się namówić na randkę z grubą dziewczyną. Ciekawe, jak długo jeszcze będę fundować sobie takie tortury, żeby naprawdę dołączyć do świata samotnych?

Wyznanie: Sprzedać się jest łatwiej, niż się spodziewałam.

Rano obudziłam się z niejasnym poczuciem, że czeka mnie coś ważnego. Dopiero po kawie przypomniałam sobie, że to dzisiaj mam stawić czoło Patrycji. Poprzedniego wieczoru z pomocą Alyssy stworzyłam życiorys, z którego jasno wynikało, że jestem nie tylko gotowa, ale

i doskonale przygotowana do objęcia stanowiska starszego redaktora. Dowodem na to była długa lista starannie opisanych umiejętności, jakie rozwinęłam w sobie podczas pracy w charakterze młodszego redaktora.

Byłam zaskoczona, że pod kierunkiem Alyssy udało mi się przedstawić wiecznie te same przemyślane rady dotyczące planowania ślubów, mękę pracy nad układem graficznym, który w ogóle mnie nie obchodził, oraz wymyślanie tytułów, które miały przykuć uwagę wyrywających się do ołtarza panienek jako urozmaicone i ekscytujące doświadczenie, kształtujące każdego dobrego redaktora.

Tego ranka odkryłam dawno zapomnianą szarą spódnicę, która pasowała idealnie do sprawdzonego już, czarnego blezera. Byłam przerażona, kiedy się okazało, że jest na mnie dobra, bo kupiłam ją podczas poprzedniego ataku otyłości. Pocieszało mnie jedno - tak długo czekała w wehikule czasu z tyłu szafy, że doskonale wpisywała się w wymaganą w tym sezonie długość do kolan i linię „A”. Tak przynajmniej twierdziła Jade, z którą skonsultowałam się telefonicznie.

Pozostało mi już tylko spotkać się z Patrycją. A ponieważ w redakcji obowiązywały dość nieformalne układy, wystarczyło odbyć krótki spacer korytarzem do narożnego pokoju i sprawdzić, czy jest wolna. Wiedziałam, że jest w redakcji, bo nauczyłam się na pamięć jej rozkładu zajęć, kiedy obsesyjnie zastanawiałam się nad najlepszym momentem na atak. Uznałam, że najlepiej zrobić to przed lunchem. Podwyższony poziom węglowodanów po lunchu powoduje senność i Patrycja mogłaby nie zauważyć, że idealnie nadaję się na wolne stanowisko.

- Jest w pokoju? - zapytałam Nancy, sekretarkę Patrycji.

Gdyby nie kolczyk w brwiach, stwarzający wokół niej coś w rodzaju zakazanej aury, Nancy wyglądałaby jak każda spokojna i rozsądna sekretarka, zdolna zapanować nad gorączkowym i nieuporządkowanym życiem Patrycji.

- Pewnie, że jest - odpowiedziała z cieniem wyższości w głosie.

Zapukałam delikatnie i weszłam do pokoju Patrycji. Oderwała się od jakiegoś dokumentu, który studiowała uważnie przy biurku, i uniosła pytająco brwi.

- Czy zechciałabyś... eee... poświęcić mi parę chwil? - zapytałam tak cicho, że sama ledwie siebie słyszałam.

- Oczywiście. Wejdz. Siadaj. Daj mi tylko minutkę. Zaraz skończę.

Wślizgnęłam się do środka i ostrożnie usiadłam przed jej biurkiem. Ona pochyliła głowę nad papierami leżącymi przed nią, a ja gapiłam się na przedziałek jej miodowoblond włosów,

ściągniętych, jak zwykle, w luźny węzeł. Przesunęłam wzrok na zdjęcie stojące na półce za jej plecami. Ślubne zdjęcie. Ślub Patrycji należał do redakcyjnych legend. Odbył się w romantycznej willi na południu Francji, panna młoda miała sukienkę od Very Wang za siedemnaście tysięcy dolarów i trzymała wielki bukiet egzotycznych orchidei przywiezionych z Ameryki Południowej. Jedyna dziwaczna rzecz związana z zamążpójściem Patrycji polegała na tym, że po ślubie jej mąż, odnoszący sukcesy na giełdzie handlowiec, praktycznie zniknął. Ani razu nie pojawił się na redakcyjnym przyjęciu bożonarodzeniowym ani na żadnej imprezie charytatywnej, na które Patrycja, wywodząca się ze starej nowojorskiej rodziny z dużymi pieniędzmi, regularnie chodziła.

Kiedyś widziałam jego zdjęcie w rubryce towarzyskiej „New York Timesa”. Miał na sobie niesamowite ciuchy od znanego projektanta, ale w gruncie rzeczy wydawał się samotny. Można by przypuszczać, że Patrycja wynajęła pana młodego tylko na ślub, tak jak wynajęła pięciogwiazdkowych francuskich kucharzy, którzy przygotowali przyjęcie. A kiedy zniknął ostatni crème brulée, natychmiast go odprawiła wraz z resztą wynajętych pracowników. Dla lojalnej części personelu potwierdzeniem faktu, że jest nadal mężatką, był pierścionek z dwupółkaratowym brylantem lśniący na jej lewej dłoni. Jednak część pracowników pod przewodem Marcy Keller utrzymywała, że Patrycja jest lesbijką, która wyszła za mąż dla zachowania pozorów. W końcu, jako redaktor naczelna „Twojego Ślubu”, nie mogła nie wydać na swój ślub sumy równej jej dwuletnim zarobkom oraz planować go krócej niż osiemnaście miesięcy. Do licha, poświęciliśmy temu wydarzeniu cały numer!

Teraz, gdy podniosła głowę znad dokumentów, na jej gładkiej, niemal plastikowej twarzy widziałam spokojny uśmiech, a w jej ciemnoniebieskich oczach - wyczekiwanie.

- Co mogę dla ciebie zrobić, Emmo? Zaskoczyła mnie tym, że pamiętała moje imię.

- Nie wiem, czy Caroline coś ci o tym wspominała - zaczęłam asekuracyjnie. Nie, nie tak miałam się zachowywać. Nie wspominaj o Caroline, zbeształam się w myślach. Nie wiesz, co „ciekawego” o tobie naopowiadała Patrycja. - Chciałabym ubiegać się o stanowisko starszego redaktora w dziale reportażu, które wkrótce się zwolni. - Przełknęłam ślinę, włączyłam autopilota i rozpoczęłam wyćwiczoną wcześniej przemowę. - Przez ostatnie cztery lata stale pisałam artykuły zarówno do działu mody, jak urody. Pisałam nawet do rubryki „Podróże i miesiąc miodowy”, kiedy pół roku temu mieli tam niedobory personalne - ciągnęłam. Zgodnie z radą Alyssy miałam pokazać, że pośpieszyłam na pomoc „Twojemu Ślubowi” w trudnej sytuacji. - Poza tym pracowałam nad układem graficznym do numeru rocznicowego w zeszłym roku, czę-

sto odgrywam znaczącą rolę w układaniu nagłówków, jak również udzielam się przy numerach promocyjnych.

Rozgrzałam się. Zaczęłam poetycznie ubarwiać moją wiedzę o rynku, umiejętności przywódcze, zdolność inspirowania innych oraz niezastąpiony talent do wychwytywania nowych trendów. Gdy skończyłam, nie tylko siebie przekonałam do tego, że należy mnie awansować, ale, sądząc po minie Patrycji, ją też.

- Cóż, Emmo, zaprezentowałaś swoje dobre strony - powiedziała z uśmiechem. - Szczerze mówiąc, zwróciłam uwagę na twoją pracę. Ten artykuł o bieliźnie był świetny. Caroline często wspomina, jak pomocna bywasz przy wymyślaniu nagłówków.

Zachęcona podałam jej pękata teczkę z wycinkami, nad którymi spędziłam ostatni tydzień.

- Mam nadzieję, że to pomoże ocenić moje kwalifikacje.

- Cudownie. - Wzięła ode mnie teczkę, po czym wstała, dając tym samym sygnał, że spotkanie dobiegło końca. - Poważnie się nad tym zastanowię. Dziękuję ci, Emmo, za wizytę. Cenię twój entuzjazm i bardzo się cieszę, że chcesz u nas rozwijać swoją karierę.

Wstałam i wyszłam. Po drodze uśmiechnęłam się z wyższością do Nancy. Potem przemaszerowałam w swoim eleganckim stroju obok boksu Rebeki, żeby jej pokazać, że rywalizacja nagle nabrała rumieńców. W jednej chwili wszystko stało się możliwe. Mogłam dostać awans. Któregoś dnia mogłam się zakochać, choć to nie miało większego znaczenia, przynajmniej w kwestiach dotyczących Patrycji. Może błysk, jaki dostrzegłam w jej oczach, kiedy oznajmiłam, że jestem zainteresowana posadą, oznaczał przychylność? Skoro tak, jestem skazana na sukces. Może we mnie, Emmie Carter, jest więcej, niż Caroline, Rebeka - a nawet Derrick - byli w stanie dostrzec?

Ha. Odniosę druzgocący sukces. Będzie żałował dnia, w którym opuścił tak wspaniałą osobę.

Wyznanie: *Jestem gotowa na miniaturowego sznaucera.*

Zgodnie z obietnicą w sobotę rano spotkałam się w siłowni z Alyssą. Po półtorej godziny spędzonej na ćwiczeniach nóg, unoszeniu ramion i poceniu się w sposób przekraczający wszelkie wyobrażenia poszłyśmy do Alyssy po Lulu i ruszyłyśmy na spotkanie z doktorem Jasonem Carruthersem, któremu podobno nie można się oprzeć. Nie podejmowałam tego tematu w szat-

ni ani pod prysznicem, ani nawet wtedy, kiedy Alyssa starannie robiła sobie pełen makijaż, ale byłam wyraźnie skrepowana całą sprawą. Sytuacja jeszcze się pogorszyła, kiedy weszliśmy do mieszkania Alyssy i zastałyśmy Richarda na kanapie w salonie. W bokserkach i starej koszulce Wydziału Prawa Uniwersytetu Nowojorskiego wyglądał dziwnie delikatnie.

- Cześć - powitał mnie radośnie, nieświadomy oszustwa, w jakie się wplątałam.

- Witaj, Rich, co u ciebie? - zapytałam niemal pogodnie, ale kątem oka obserwowałam Alyssę zaganiającą Lulu do przedpokoju.

- Wspaniale. A u ciebie? - odparł, przyglądając mi się uważnie. Chyba sprawdzał, czy nadal jestem takim wrakiem, jak podczas naszego ostatniego spotkania, zaledwie kilka dni po odejściu Derricka.

- W porządku. Dużo pracuję, i takie tam...

- Alyssa mi powiedziała, że starasz się o awans.

- Ach, to. Tak. No cóż, właśnie rozmawiałam o tym z naczelną. Była przychylnie nastawiona, więc...

- To wspaniale.

Uśmiechnął się tak ciepło i niewinnie, że miałam ochotę wziąć go na bok i ostrzec przed niebezpieczeństwami, na jakie naraża się, wypuszczając Alyssę w świat bez opieki.

Lecz nagle u mojego boku stanęła Alyssa. Lulu miała już założoną obrozę i smycz. Nawet Lulu była nieświadoma faktu, że czeka ją przerażająca wyprawa do doktora Jasona Carruthersa - człowieka, który potraktuje ją zimnymi, metalowymi narzędziami, podczas gdy będzie z tęsknotą wpatrywał się w Alyssę.

- Gotowe? - zapytał Richard, zrywając się z kanapy i podchodząc do Lulu, żeby ją podrapać za uszami.

Richard odprowadził nas do drzwi i pocałował Alyssę w czoło w sposób, w jaki całował mnie ojciec, gdy miałam sześć lat.

- Trzymaj się, Em - powiedział, odwracając się do mnie. - I nie chowaj się po kątach. Właściwie, gdybyście przypadli sobie z Henrym do gustu, moglibyśmy umawiać się na podwójne randki. Powiedziałaś jej o Henrym, Lys?

Rany. Właśnie teraz szłam na coś w rodzaju podwójnej randki. Ciekawa jestem, czy Henry chciałby ze mną rozmawiać, gdyby wiedział, że przyglądałam się spokojnie, jak uganiający się za spódniczkami weterynarz odbija dziewczynę jego najlepszego kumpla.

- Tak, powiedziałam - odparła Alyssa, prowadząc Lulu do drzwi. - Przypomnij mi, Em, żebyś mi dała numer Henry'ego.

- To świetny facet - powiedział zachęcająco Richard.

Ty też, pomyślałam ze smutkiem, idąc za Alyssą i Lulu na spotkanie losu.

Na ulicy musiałam prawie biec, żeby nie zostać w tyle. Alyssa spieszyła się trochę za bardzo, jak na mój gust.

- Mam wątpliwości, czy to dobry pomysł - powiedziałam, doganiając ją w końcu.

- Muszę mieć pewność, czy to tylko podrażnione jelita czy coś poważniejszego - odparła Alyssa, patrząc z troską na Lulu.

- Nie, nie. - Byłam zirytowana jej tępotą. - Chodzi mi o tego doktora. Ty i Richard od dawna jesteście razem. Macie wspólnego psa, na litość boską.

- Lulu jest moim psem, Em. Dostałam ją, kiedy miałam szesnaście lat.

- A dlaczego matka ci ją dała, co? Alyssa szła dalej z nieprzeniknioną twarzą.

- Bo byłam dobrym dzieckiem?

- Nie, bo miesiąc wcześniej zmarł twój ojciec. Chciała, żebyś żyła normalnie, cieszyła się życiem. Sama mi to powiedziałaś.

Zatrzymała się i wbiła we mnie wzrok, a Lulu usiadła wyczekująco u jej stóp.

- A co to ma do rzeczy? Ruszyła znowu, a ja za nią.

- Może boisz się stracić Lulu. I Richarda. Przecież zaledwie dwa lata temu straciłaś matkę. Może ta cała sprawa z doktorem Carruthersem to po prostu twój sposób na zachowanie kontroli nad sytuacją. Jeśli to ty będziesz ją kontrolować, nikt nie może cię zranić.

- To absurdalne - powiedziała, po czym znowu się zatrzymała, tym razem przed dużymi drewnianymi drzwiami pięknej kamienicy z piaskowca.

Lśniący brązowy tabliczka przytwierdzona nad domofonem informowała: „Jason Carruthers, doktor weterynarii”. Nacisnęła guzik domofonu. Na dźwięk brzęczyka pchnęła ciężkie drzwi z determinacją i przytrzymała je dla mnie, chociaż patrzyła w przeciwną stronę. Przeszliśmy przez niewielki hol. Znalazłyśmy się w przytulnej poczekalni ozdobionej obrazami przedstawiającymi psy i koty w różnych pozach. Były tu też poduszki z wyhaftowanymi powiedzeniami z gatunku „Zaszczekaj, jeśli lubisz psy”. W rejestracji siedziała kobieta z obłokiem siwych włosów i najłagodniejszym głosem, jaki kiedykolwiek słyszałam. Przywitała Lulu, a potem podniosła wzrok na Alysę.

Rozsiadłam się wygodnie na poduszce, na której było napisane: „Kocia miłość jest do-
sKOTnała”, i kontemplowałam pustą klatkę dla zwierząt, która stała na środku pomieszczenia.
Kto mógł być właścicielem takiej jaskrawej klatki? Pewnie jakaś zwariowana na punkcie kotów
damula w luźnej i równie jaskrawej sukience.

W pewnym momencie otworzyły się drzwi gabinetu i ze środka wyszła wysoka blondynka w spódnicy wielkości znaczka pocztowego, niosąca na rękach najmniejszego psa, jakiego kiedykolwiek oglądały moje oczy. Natychmiast zlustrowałam podejrzliwie długie nogi blondynki. Kto wkłada w sobotę pończochy, i to idąc do weterynarza? Zaczęłam się zastanawiać, jakiego rodzaju usługi świadczy ten doktor.

- Czeka na nas - powiedziała Alyssa, która właśnie skończyła wypełniać potrzebne formularze i gestem kazała mi wstać.

- A pewnie - mruknęłam pod nosem, idąc za nią i Lulu do gabinetu.

Gdy weszłam do oślepiająco białego pokoju, w którym pachniało mieszanką środka antyseptycznego i kociego żwirku, wpadłam w milczący stupor.

Tam, ubrany w biały fartuch i niebieską koszulę, która podkreślała oszałamiający kolor jego oczu, stał doktor Jason Carruthers. Przed oczami miałam wysokiego na metr dziewięćdziesiąt, szerokiego w ramionach, wąskiego w biodrach i ważącego osiemdziesiąt kilo najwspanialszego mężczyznę pod słońcem.

Przełknęłam ślinę, przyglądając się uważnie jego pięknym rysom. Stał za stołem do badań z dłońmi splecionymi wygodnie za plecami, a na jego - ośmielę się powiedzieć: zmysłowych wargach gościł promienny uśmiech.

- Jason - powiedziała bez tchu Alyssa, stając obok mnie, a ja nagle przypomniałam sobie, po co się tu znalazłam.

- Jak się masz, Alysso? - zapytał, a potem uklęknął koło Lulu.

O dziwo, nawet pies Alyssy wydawał się szaleć z radości na widok człowieka, który miał go wkrótce torturować. Swoimi dużymi, opalonymi dłońmi podrapał Lulu za uszami, a potem bez wysiłku wziął na rękę i wyprostował się.

- Widzę, że tym razem przyszedłś ze znajomą - powiedział, kiwając do mnie głową na przywitanie.

- Och, tak - odparła Alyssa, jakby nagle przypomniała sobie, że jestem tu z nią. - Jason, poznaj moją przyjaciółkę, Emmę Carter.

Ręce miał zajęte Lulu, więc tylko się do niego uśmiechnęłam. Zresztą i tak nie byłabym w stanie się odezwać, sądząc po tym, jaki miałam ślinotok.

- Emma się martwiła - ciągnęła Alyssa, spoglądając na mnie. - O Lulu.

Kiwnął głową, jakby doskonale rozumiał taką odpowiedź.

- Wspomniałaś przez telefon, że Lulu nie reaguje na leki - powiedział, stawiając delikatnie psa na stole, nie przestając pieścić go opalonymi palcami.

Byłam jak zahipnotyzowana. I, szczerze mówiąc, zaszokowana. Bo nagle bardzo wyraźnie zdałam sobie sprawę, że ten mężczyzna może być Tym Jedynym Alyssy. Był miły dla zwierząt, wyglądał wspaniale - no, i te ręce, pomyślałam, patrząc, jak zdjął z szyi stetoskop i przyłożył go ostrożnie do piersi Lulu. Pies wywiesił język, jakby właśnie ktoś robił mu masaż całego ciała.

Wcale nie wyglądał na weterynarza, uświadomiłam sobie nagle. No, może na weterynarza z telewizji.

- Będziemy musieli zrobić badania - powiedział, a jego piękne oczy utkwione były w twarzy Alyssy. - Niektóre są dość szczegółowe i będą być może wymagały zostawienia jej tu na noc. - Przerwał. Może chciał zasugerować, że Alyssa też mogłaby zostać? A potem, jakby coś sobie przypomniał, oderwał wzrok od Alyssy i zaczął kręcić się po gabinecie, zbierać przyrządy, po czym zatrzymał się przed kartami pacjentów i przejrzał je. - Dzisiaj pobiorę tylko krew. Umówimy się na wizytę w ciągu dwóch tygodni, wtedy zrobimy pozostałe badania. Będę już miał wyniki badania krwi, więc jeśli będzie trzeba... - Przerwał, bo znowu dostrzegł spojrzenie Alyssy. - Jeśli będzie trzeba podjąć jakieś dalsze kroki, będziemy na to przygotowani.

- Dalsze kroki? - powtórzyła jego słowa Alyssa.

Przyglądał się jej przez chwilę. Miał taką minę, jakby chciał wziąć ją w ramiona, uspokoić, popieścić.

- Cóż, po pierwsze zabieg chirurgiczny. Ale chcę najpierw wyeliminować inne możliwości. Lulu jest dość wiekowa i zabieg to ostateczność, jeśli w ogóle będzie potrzebny i wykonalny. - A potem uśmiechnął się łagodnie. - Tymczasem otocz ją czułą opieką, a wszystko będzie dobrze. Zaufaj mi.

Patrząc w ten dziecięcy błękit, mogłabym z zaufaniem oddać w jego ręce własne życie.

Alyssa wzięła Lulu na smycz i łagodnie zdjęła ją ze stołu, a ja uświadomiłam sobie, że już trzeba iść. Byłam wściekła i rozczarowana.

Jason uściskał mi dłoń.

- Miło mi było cię poznać - powiedział.

Siła, która emanowała z jego dłoni, przeszła mnie na wskroś. Nagle zaczęłam się zastanawiać, czy od razu w drodze do domu nie kupić miniaturowego sznaucera, na którego codziennie od wyjazdu Derricka patrzyłam w sklepie ze zwierzętami. Chryste! Wzięłabym do domu pytona, gdybym dzięki temu mogła pojawić się w życiu tego mężczyzny.

A potem przypominałam sobie o Alyssie i wzięłam się w garść.

- Prawdopodobnie przyjdziemy po Dniu Pamięci - powiedziała. - Wyjeżdżam na weekend z miasta.

- Jakie plany na święta? - zapytał z nutką szczerego zainteresowania.

- Och, to nic takiego - odparła Alyssa. - Spotkanie rodzinne.

Tak, z rodziną Richarda, pomyślałam, przypominając sobie, komu byłam winna lojalność.

Wreszcie ruszyliśmy do drzwi. Nie mogłam się jednak powstrzymać i odwróciłam się równocześnie z Alyssą, kiedy Wymarzony Doktor zawołał:

- Och, byłbym zapomniał...!

- Tak? - Oczy Alyssy rozszerzyły się w oczekiwaniu.

- Następnym razem nie zapomnij przynieść próbki stolca. - Uśmiechnął się, wziął do ręki kartę Lulu i odprowadził nas do drzwi.

Ależ to romantyczne, pomyślałam, ledwie powściągnąjąc rozbawienie. Prawie straciłam głowę na widok dobrego pana doktora, lecz teraz, kiedy bezpiecznie opuściliśmy jego gabinet, byłam zadowolona, że udało nam się przebrnąć przez wszystko bez flirtowania. Nieważne, jak wspaniały jest Jason, nie wolno mi uznać go za część życia Alyssy.

Wracałyśmy do domu Alyssy w milczeniu, każda zatopiona we własnych myślach.

- Co ja mam począć? - Lys zatrzymała się nagle.

Drgnęłam, widząc jej oczy błyszczące od tłumionych łez.

- Lys, nie denerwuj się. Cokolwiek się zdarzy, podejmiesz słuszną decyzję. Jak zawsze. - Westchnęłam. - Nie wiem, czy to poprawi ci humor, ale też uważam, że on jest wspaniały. Rozumiem, dlaczego rozważasz...

- Mówię o Lulu. Ona nie przeżyje operacji.

Patrzyła na psa i łzy popłynęły jej po policzkach, a Lulu, która wcisnęła się między jej nogi, zaskomlała, wyczuwając smutek ukochanej pani.

- Och, Lys - powiedziałam i wzięłam ją w objęcia.

Tylko tyle mogłam zrobić. Nie znałam odpowiedzi na jej pytanie ani nie umiałam powstrzymać przykrości, które ją czekały.

ROZDZIAŁ PIĄTY

„Dobry prawnik to wszystko, czego człowiek naprawdę potrzebuje w życiu

- Burt Carter, ojciec Emmy

Wyznanie: *Prędzej zgodzę się na tortury fizyczne, niż włożę jedwabną suknię w kolorze morskiej wody.*

Być może uciekałam od problemów emocjonalnych. Być może zachęta Patrycji podziała na mnie inspirująco. W końcu powód nie był ważny, ważne było to, że przez cały następny tydzień rzetelnie starałam się być kobietą sukcesu. Zrobiłam porządek w segregatorach. Odpowiedziałam na wszystkie e-maile, których dotąd starałam się nie zauważać. Skończyłam przed terminem pracę nad nowym numerem. W pewnej chwili poczułam w sobie zadatki na szefa. Byłam nawet gotowa polecić jakiemuś młodszemu redaktorowi, żeby wysłał moje faksy.

Tak było do środy. W środę po południu w moim boksie zjawiała się Rebeka. Na widok jej granatowego kostiumu oraz promiennego jak stuwatowa żarówka uśmiechu człowiek miał ochotę schować się w mysią dziurę.

- Myślę, że to się teraz stanie - oznajmiła, siadając na przeznaczonym dla gościa krześle.

Jej niebieskie oczy błyszczały z podniecenia. Zaalarmowana, dyskretnie wsunęłam pod papiery swojego asa atutowego, czyli przygotowaną dla Patrycji notatkę z projektem nowego konkursu dla stałych czytelniczek.

- Co się stanie? - wyjąkałam spanikowana.

- Nash mi się oświadczy. Podczas długiego weekendu z okazji Dnia Pamięci. Jestem tego pewna. - Rebeka uważnie obserwowała moją reakcję.

- To wspaniale! - Miałam nadzieję, że mój uśmiech nie jest zbyt sztuczny. - Ale... skąd to wiesz?

- Od jakiegoś czasu planujemy wyjazd na weekend. Byłam pewna, że jedziemy w okolicy Berkshires, gdzie jego rodzina ma letni domek. Ale wczoraj wieczorem Nash oznajmił, że ma dla mnie niespodziankę. Zarezerwował nam miejsca w pensjonacie w East Hampton.

Kiwnęłam głową, chociaż nie miałam pojęcia, dlaczego akurat East Hampton ma być tłem wielkiej sceny oświadczyń. Według Jade, do East Hampton przyjeżdżają ludzie bogaci i pozbawieni złudzeń po to tylko, żeby wziąć udział w krótkich scenkach zatytułowanych „przelecieć kogo się da”. Rebeka musiała zauważyć wyraz mojej twarzy.

- To nie jest zwykły pensjonat - wyjaśniła szybko. - Byliśmy tam podczas naszej pierwszej wspólnej podróży.

Co za romantyk z tego Nasha! Przypomniałam sobie jego całkiem miłą twarz i okulary w złotej, drucianej oprawie - mimo że czasami bywał trochę sztywny, dokładnie odpowiadał moim ostatnim pragnieniom o „miłym chłopcu, z którym można ułożyć sobie życie”.

Pomyślałam o własnych planach na ten weekend, który bez wątpienia spędzę, grzejąc się w blasku miłości mamy i Clarka, do wtóru głosu mojej bratowej Tiffany, opowiadającej o tym, jak być pięknym, zdrowym i bogatym i mieć duży dom.

- Nie przestawałam się uśmiechać, kiedy wybierałam wczoraj ciuchy na wyjazd - w moje ponure rozmyślenia wdarł się głos Rebeki. - Zapakowałam nawet bieliznę, którą miałam na sobie, kiedy kochaliśmy się pierwszy raz. - Tu zaczerwieniła się lekko.

- Pamiętasz, jaką nosiłaś wtedy bieliznę?!

- Oczywiście, że pamiętam. To dopiero była nowina!

- O rany! - powiedziałam, niezdolna do wyartykułowania czegoś dłuższego.

- No wiesz... - Zakłopotana Rebeka wpatrywała się w swoje dłonie złożone na kolanach. Po chwili uniosła wzrok. - Chciałam ci o tym powiedzieć, bo jesteś jedną z moich najbliższych przyjaciółek.

- Ja? To miło z twojej strony - wyjąkałam.

- I od razu chciałam ci powiedzieć, że na naszym ślubie będziesz bardzo ważną osobą.

Nie! Tylko nie to!

- Wiesz, ale... To chyba za wcześnie. Jeszcze nie pora na planowanie ślubu, prawda? - Zaśmiałam się niepewnie. - To może przynieść pecha.

- Żartujesz? - uśmiechnęła się Rebeka. - Zdecydowałam się już nawet na kolory. Nie sądzisz, że będzie ci ładnie w sukni koloru morskiej wody?

O rany!

Rebeka wydała z siebie głębokie westchnienie i paplała dalej, jakby wcale jej nie obchodziło, co sędzę o morskim kolorze.

- Nie mogę uwierzyć, że to się w końcu stanie. Zaczęłam planować ten ślub, kiedy byłam dzieckiem.

- Myślałam, że poznałaś Nasha dopiero na studiach...

- Oczywiście. - Spojrzała na mnie zdumiona. - A co ma jedno wspólne z drugim?

- Przecież powiedziałaś, że planujesz ten ślub, od kiedy byłaś dzieckiem.

- Przecież każda dziewczynka marzy o wyjściu za mąż. Kiedy spotkałam Nasha, wiedziałam, że to właśnie on musi stać się częścią mojego marzenia.

Chyba powinnam zaraz zacząć marzyć. Okazało się, że nie zastosowałam żadnej porządnej strategii w sprawach, o których marzy każda dziewczynka.

- Tylko nie mów nikomu - poprosiła Rebeka, wstając. - Nawet Derrickowi. Masz rację, nie powinnam się odzywać, dopóki Nash nie włoży mi na palec pierścionka. Nie wiem, jak uda mi się przeżyć te kilka dni.

- Spoko - mruknęłam pod nosem, kiedy się wyniosła. Nawet gdybym jakimś cudem mogła porozmawiać z Derrickiem, na pewno nie mówiłabym mu o nieoczekiwanym szczęściu, które spadło na Rebece.

Jedno było pewne: nie ma szansy, że kiedykolwiek opowiem jej, że Derrick nieodwracalnie zniknął z mojego życia. Nie da się tego ukryć w sytuacji, w której od drużyny oczekuje się, że będzie poświęcać cały swój czas i uwagę pannie młodej. Muszę się jakoś wyłgać z tego ślubu.

Wyznanie: Randki mogą okazać się moją jedyną szansą.

Nakręcałam się przez całe popołudnie. Wieczorem, na schodach do swojego mieszkania dosłownie kipiałam ze złości. Jakim prawem Rebeka uznała, że zechcę wziąć udział w tym całym przedślubnym piekle?! To jej prywatne piekło. Rozważałam nawet rozmrożenie ciasta, które dla bezpieczeństwa zakamuflowałam w zamrażarce. Przed pójściem w jedzeniowe tango - do czego miałam w tej sytuacji niezaprzeczone prawo - uratowały mnie mięśnie brzucha. Bolały, przypominając o ostatnim upiornym treningu.

Jak ona śmiała zaprosić mnie do ślubnego orszaku! Znamy się tylko z pracy! Ubiegamy się o to samo stanowisko! Jest naprawdę wielkoduszną osobą, skoro w imię łączącej nas wielkiej przyjaźni umie zapomnieć biurowe urazy.

Potrzebny mi był ktoś, kto spojrzy na wydarzenia z właściwej perspektywy. Zadzwo-
łam więc do Jade.

- Rebeka poprosiła, żebym została druhną na jej ślubie.

- Żartujesz. Nie wiedziałam, że jest zaręczona.

- Nie jest, przynajmniej na razie. Ale jest pewna, że za chwilę Nash wydusi z siebie stare
jak świat pytanie.

- No, no. Jak do tego doszła?

- Skąd mogę wiedzieć. Wszyscy z „Twojego Ślubu” mają chyba radary, które sygnalizują
zbliżające się oświadczenia.

Po drugiej stronie słuchawki panowała cisza. Potem usłyszałam, jak Jade zaciąga się pa-
pierosem.

- Nawet nie wiedziałam, że jesteście tak blisko.

- Bo nie jesteśmy. Przynajmniej mnie nic o tym nie wiadomo. Przez całe popołudnie my-
ślałam i chyba wiem, co jest grane. Rebeka jest jedynaczką. Nash ma dwóch braci i do dziś
przyjaźni się z wieloma facetami ze swojego roku. Rebeka ma małą rodzinę i niewiele bliskich
koleżanek. Wychodzi na to, że brakuje jej dziewczyn.

- Co za instrumentalne myślenie - zaśmiała się Jade.

- Podejrzewam, że w kręgach zbliżonych do „Twojego Ślubu” takie manewry nie są ni-
czym nagannym. Czasami wydaje mi się, że Patrycja - nasza naczelna - wybrała pana młodego
z katalogu i pokazała go światu jeden raz, podczas ceremonii zaślubin.

Jade zarechotała radośnie.

- Teraz - ciągnęłam - mam ochotę rzucić się na ciasto, które mam w lodówce. Gdybym
nie bała się utyc, poprawiłabym sobie w ten sposób humor. Zresztą może zrobię Rebecę brzyd-
ki numer i zacznę napychać się słodyczami. Będę wyglądać jak baleron, kiedy wciągnę na sie-
bie wybrane przez nią taftowe brzydactwo, w którym odprowadzę ją do ołtarza.

- Czy to znaczy, że zamierzasz wziąć udział w tej szopie?

- Nie mogę jej odmówić. Domyśliłaby się, że nią pogardzam. Nie chcę ranić jej uczuć.

- To najgłupsza rzecz, jaką słyszałam w życiu.

- Masz rację - zgodziłam się. - Nie mogę utyc ani grama, bo czeka mnie najokrutniejsza
próba, na jaką może narazić się kobieta - randka w Nowym Jorku.

- Wracasz do świata żywych!

- Alyssa zaaranżowała już coś dla mnie. Znalazła prawnika w kancelarii Richarda.

- Bujasz!

- Ani myślę. Dała mi jego numer, kiedy byliśmy u weterynarza. Jeszcze nie zadzwoniłam, ale nie mogę się wycofać - facet czeka, żebym się odezwała, chociaż nie jestem pewna, czy wie, do czego ma być użyty. Alyssa jest bardzo dyskretna. Przekonałam się na własnej skórze. Nie byłam przygotowana na widok, do jakiego ona i Lulu już przywykły.

- Naprawdę?

- George Clooney w klinice dla czworonogów. Z tą różnicą, że ma błękitne oczy. Błyszczące błękitne oczy i gęste, ciemne rzęsy.

- Może powinnam jednak kupić sobie tę szynszylę - mruknęła Jade. - Bardzo mi się podobała. To gdzie przyjmuje ten weterynarz?

- Jade! - omal nie zaczęłam jej strofować.

- Nie mów mi, że po poznaniu pięknego doktora nie miałaś ochoty kupić, powiedzmy, świnki morskiej?

Dobrze, że Jade nie widziała mojej twarzy. Zaczerwieniłam się po korzonki włosów, przypominając sobie miniaturowego sznaucera, na którego niemal się zdecydowałam po spotkaniu z doktorem Jasonem Carruthersem. Uznałam, że bezpieczniej będzie zmienić temat.

- A co z twoim włoskim towarem importowym? Enrico, prawda?

- Prawda.

- W twoim głosie słyszę interesujący ton.

- Emmo, on jest fantastyczny.

- Spaliście ze sobą? Dlaczego nic o tym nie wiem. Szczegóły poproszę.

- Nie. Wczoraj poszliśmy potańczyć. Jest strasznie napalony. Nie mogliśmy oderwać od siebie rąk. I to na parkiecie.

- A potem?

- Potem nic. Nie mam zamiaru zapraszać go od razu do domu. Nie chcę stracić niczego z poprzedzających seks zabiegów. Po za tym - trochę się boję.

- Wystarczy użyć prezerwatywy.

- Chodzi o to, że on jest... bardzo młody.

- Jak bardzo? - zapytałam zaniepokojona, czy Jade nie ma przypadkiem zamiaru wdać się w skandal związany z uwodzeniem nieletnich.

- Dwadzieścia dwa.

Uff! To na szczęście nie grozi więzieniem.

- Więc o co chodzi? Nigdy przedtem nie miałaś takich skrupułów. Na przykład z tym studentem ze szkoły teatralnej. Przecież on ledwo był pełnoletni.

- To było co innego. Tamten miał już pancerną skórę, bez której w Nowym Jorku nie zrobi się kariery. A Enrico wydaje się niemal... niewinny.

- Jade! Ja też go widziałam. Zareczam ci, że w jego wzroku nie było nic niewinnego. Wlepiał w ciebie gały, zamiast słuchać, co zamawiamy.

- Nie chodzi mi o... aspekt seksualny. Po tym, w jaki sposób porusza się na parkiecie, widać, że doskonale wie, co robić z ciałem kobiety.

- No więc?

- Wydaje mi się, że łatwo go zranić. Wiesz, kiedy odprowadzał mnie do domu, zaczął nagle opowiadać, że tęskni za swoją włoską rodziną. Potem spojrzał na mnie maślanym wzrokiem i zażartował, że weźmie mnie ze sobą do Włoch.

- Dałaś się nabrać na klasyczne emocje przed wytryskiem.

To niezbyt subtelne określenie, które wymyśliłyśmy z Jade, obejmowało całe bogactwo uczuć, które odnajdywali w sobie mężczyźni, zanim kobieta pozwoliła im przespać się ze sobą.

- On chyba szuka dziewczyny na stałe. Sama wiesz, jaki mam stosunek do stałych związków.

Oczywiście, że wiedziałam. Ale nie byłam pewna, czy to świadomy wybór, czy obrona własna.

- W takim razie - poradziłam - działaj powoli i zobacz, co z tego wyniknie.

- Tak zrobię. Tym razem nie wypuszczę go z rąk. Czy już ci mówiłam, że był bardzo obiecujący, kiedy tak przyciskał się do mnie w tańcu?

- A więc masz zamiar go wykorzystać, nawet ryzykując, że złamiesz jego niewinne serduszko?

- Trudno. Życie w wielkim mieście jest brutalne. - Potem Jade westchnęła i dodała: - Chyba nie powinnam tak się przejmować jego sercem. Nawet nie wiem, czy je ma.

Gdy skończyłyśmy rozmowę, przeszukałam notes, po czym schowałam do portfela kartkę z telefonem Henry'ego Burke'a. Zadzwonię do niego jutro. Nie będę czekać, aż miłość mojego życia odezwie się, żeby sprawdzić, czy jeszcze oddycham po jego stracie. Trzeba iść do przodu.

Wyznanie: Odkrywam, że nie mogę wrócić do domu (bez perspektyw na małżeństwo).

Następnego dnia zadzwoniłam do Henry'ego. Sekretarka zawiadomiła, że pan Burke ma teraz ważne spotkanie, i zapisała mój numer telefonu, żeby mógł oddzwonić. Nie ukrywam, że byłam podniecona. Sekretarka! Umawiam się z facetem, który ma sekretarkę. Zaczynam dorosłe życie. Odbierając telefony, rzucałam do słuchawki „halo” głosem erotycznym i pełnym wystudiowanej obojętności jednocześnie. Odezwał się po dwóch godzinach. Bezbłędne wycucie czasu! Nie torturował mnie czekaniem i nie spieszył się zanadto, żeby nie wydać się napalonym szczawiem.

Pierwsze minuty nieskładnej rozmowy wypełniły jego uwagi o tym, jak różni Żyjący w Szczęśliwych Związkach znajomi starają się zorganizować mu życie. Oczywiście, wykazałam zrozumienie. Co miałam powiedzieć? Przyznać się, że sama bezwstydnie zmusiłam Alysę do znalezienia mi zastępstwa za człowieka, który złamał mi serce?

Wymieniliśmy jeszcze kilka dowcipnych uwag o życiu w pojedynkę, po czym dowiedziałam się, że ma zamiar spędzić świąteczny weekend nad morzem. Ponieważ ja w tym czasie wybierałam się na przyjęcie ogrodowe (tak na jego użytek nazwałam czekające mnie rodzinne koło tortur) na Long Island, umówiliśmy się na następny czwartek. Odkładając słuchawkę, wpadłam w entuzjazm. Wiadomość oficjalna: mam randkę. Z wziętym prawnikiem. To nie byle co. Z dziewczyny porzuconej stałam się kobietą, która ma powodzenie u mężczyzn.

Zapakowałam kilka sztuk frywolnej bielizny - każda beztroska i swobodna jak ptak dziewczyna zabiera takie rzeczy na weekend, i porzuciłam myśl o miniaturowych sznaucerach i samotnych wieczorach przed telewizorem. Tak, wciąż byłam kobietą sukcesu, która wkrótce stanie się protegowaną Patrycji, ale byłam także kobietą wolną, która wkrótce udaje się na ważną randkę. Przedziwna sprawa. Wystarczyła perspektywa jednego drinka z facetem, żeby zmienił się mój stosunek do świata.

Kiedy wysiadłam z pociągu w Garden City, dalej byłam w dobrym humorze.

- Oto przybyła piękna Emma na swoim dzielnym rumaku - powitał mnie Clark, który czekał na mnie na peronie. - Wyglądasz cudownie, moja droga. - Pochylił się i ucałował mnie w czoło.

Wziął moją torbę i rzucił na tylne siedzenie małego, sportowego samochodu. Potem otworzył przede mną drzwi. Zazwyczaj peszy mnie jego wrodzona rycerskość, dzisiaj jednak przyjmowałam ją jak coś, co mi się należy. Czyżby to była zasługa cieniutkiej różowej sukienki, którą zdecydowałam się włożyć na dzisiejszą rodzinną balangę? Był to zresztą jedyny ciuch, który maskował nieszczęsne wypukłości i niepotrzebne wybrzuszenia na moim ciele.

- Jak leci? - zapytałam, kiedy już udało mu się włączyć do ruchu.

- Świetnie. Mama kończy jakiś żelatynowy deser, więc postanowiłem, że sam zagnam do domu jej stadko - uśmiechnął się z błyskiem sympatii w ciemnych oczach.

Uznałam, że jest naprawdę przystojny. Miał szpakowate włosy, tak gęste, że nieraz zastanawiałam się, czy brak śladów łysienia w sześćdziesiątym trzecim roku życia nie jest aby dowodem na stosowanie jakichś supernowych technologii.

- Czy Shaun i Tiffany już są?

- Oczywiście. Tiffany zdążyła przedstawić nam swój plan na następne pięć lat, a Shaun wlał w siebie kilka koktajli. Myślę, że teraz pracuje nad pina coladą dla wszystkich.

Clark puścił do mnie oko, jakby dzielił się ze mną jakimś sekretem.

Kto wie? Może dzisiejszy dzień nie będzie taki straszny? Dobrze jest mieć pod bokiem kogoś takiego jak Clark. Nagle przypomniałam sobie o nadchodzącym ślubie i złożyłam mu gratulacje. Rozpromienił się w odpowiedzi i zacytował Johna Donne'a:

- „Miast wymieniać - złączmy serca, by się stały Jednym, w miłości wzajemnej i całej”.*

* John Donne, „Nieskończoność kochanków”, przeł. Stanisław Barańczak.

Moje niedawne przemyślenia na temat „miłości wzajemnej i całej” nie nadawały się do powtórzenia w tej sytuacji, więc resztę krótkiej podróży spędziliśmy, przyjaźnie milcząc. Mama powitała nas ekstatycznym machaniem, kiedy tylko wjechaliśmy na podjazd.

Clark podszedł do niej z uśmiechem i uścisnął ją, jakby nie widzieli się od miesiący.

Mama pocałowała go w usta, a gdy odchodził, poklepała po pupie. Potem wyciągnęła ramiona w moją stronę, bacznie mi się przyglądając. Czując na sobie jej wzrok, natychmiast przyjąłem pozycję obronną.

- Wiem, że jestem gruba. Nie próbuj nawet mi o tym mówić.

- Och, Emmo! - Objęła mnie i przyciągnęła do siebie. - Kochanego ciała nigdy za dużo. - Uszczypnęła mnie żartobliwie w fałdkę tłuszczu w talii. - Wyglądasz prześlicznie.

Spojrzałam w jej roześmiane oczy i omal uwierzyłam w to, co usłyszałam. Bezpieczniej jednak było nie ciągnąć tego tematu. Złapałam więc torbę i pobiegłam do pokoju gościnnego. Wiedziałam, że mój pośpiech może okazać się przedwczesny - jeśli Shaun i Tiffany zdecydują się zostać na noc i tak będę zesłana na kanapę w salonie, gdzie sypiali wszyscy samotni.

Kiedy zeszałam na dół, mama stała przy kuchence z pokrywką w ręku. Jeszcze raz rzuciła mi uśmiech zarezerwowany na ceremonie powitań.

- Gdzie reszta? - zapytałam.

Moja mama ma zwyczaj drażenia emocjonalnych stanów swoich bliźnich w najbardziej nieodpowiednich chwilach. Ja przyjęłam wprawdzie pozę zadowolonej z życia pracującej kobiety z perspektywami na przyszłość - miałam przecież zaraz spotkać mojego odnoszącego niesłychane sukcesy brata i jego doskonałą żonę - ale ta fasada była zbyt krucha, żeby ją narażać.

- Na podwórku. Shaun przygotował pina coladę. - Podniosła do ust zroszoną lodem szklanę i mrugnęła porozumiewawczo. Od czasów małżeństwa z ojcem mama reagowała na alkohol nerwowo, jakby bała się, że nawet mały kieliszek wypity dla przyjemności ustawi ją w jednym rzędzie z nałogowcami w typie jej męża. - Chodźmy do nich.

Wyprowadziła mnie na patio, gdzie za okrągłym, cedrowym stołem zastawionym wszystkimi czipsami oraz sosami, jakie wymyśliła ludzkość, siedział opalony i rozluźniony Shaun w szortach khaki i koszulce polo w kolorze terakoty. Nie miałam wątpliwości, że obie rzeczy kupiła siedząca obok Tiffany. W kremowożółtym komplecie i sandałach w identycznym odcieniu wyglądała jak kruche ciastko z serem - oczywiście z gatunku tych najdroższych. Trochę dalej, w cieniu kępy drzew zobaczyłam babcię Zizi, nazywaną tak od czasów, kiedy Shaun był dzieckiem i nie umiał wymówić imienia Zeldy.

- Cześć, Em. Jak leci? - Shaun uniósł głowę i pocałował mnie niedbale w policzek.

- Cześć, Shaun. Cześć, Tiffany. - Pocałowałyśmy powietrze obok naszych policzków. - Dlaczego babcia siedzi tak daleko?

- Nie lubi słońca - powiedziała mama, sadowiąc się na leżaku obok Clarka.

- Wszystko przez ten poliester - zaśmiał się Shaun.

Zignorowałam jego dowcip i poszłam się przywitać.

- Cześć, babuniu! - krzyknęłam, bo z niewiadomych powodów babcia zawsze wyłączała swój aparat słuchowy.

Zaskoczona uniosła głowę i przyglądała mi się chwilę, jakby nie była pewna, kto do niej mówi. Potem jej łagodna, pomarszczona jak jabłuszko twarz rozjaśniła się w uśmiechu.

- Emma! - zawołała.

Uścisnęłyśmy się i ucałowały w oba policzki, a potem w usta. Witamy się w ten sposób od czasów mojego dzieciństwa. Kiedy się wyprostowałam, zauważyłam jej oskarżycielski wzrok.

- Schudłaś - powiedziała.

Bardzo chciałam w to uwierzyć, ale dobrze wiedziałam, że babcia Zizi regularnie składa podobne oświadczenia wszystkim kobietom z rodziny, których talia daleka jest od doskonałości. Wydaje mi się, że w ten sposób chce dodać im otuchy.

- Dzięki, babciu. Staram się. Jak się czujesz?

- Och, wiesz. Jak stara kobieta. Powiedz mi lepiej, jak ty się czujesz? - Drgnęła niespodzianie, jakby nagle sobie o czymś przypomniała, i skierowała baczny wzrok gdzieś ponad moje ramię. Wiedziała, kogo szuka, ale nie zamierzałam jej pomagać.

- A gdzie Derrick? - zapytała. - Chyba dalej ze sobą chodzicie, prawda?

Skuliłam się w duchu. Albo nikt jej nie powiedział, albo zapomniała. Prawdopodobnie to drugie, bo ostatnimi czasy pamięć babci Zizi zdecydowanie szwankowała.

- Nie, babciu. Rozstaliśmy się. - Widząc, jak otwiera usta ze zdziwienia, pospieszyłam z wyjaśnieniem. - Dostał pracę w Kalifornii. Przeprowadził się.

- Och! - Spojrzała na mnie ze współczuciem.

A ja właśnie teraz nie mogłam znieść współczucia.

- Przyniosę ci jeszcze trochę piwa imbirowego - zaproponowałam szybko i wyjęłam jej z dłoni szklanekę, mimo że było w niej jeszcze sporo piwa. Liczyłam, że babcia zapomni o całej rozmowie. I tak się stało.

Czmychnęłam do stołu, gdzie mogłam czuć się nieco bezpieczniej.

Usiadłam i nalałam sobie pina colady, słuchając jednym uchem, jak Tiffany opowiada o nowej pracy.

- Zaproponowali mi dwa razy większą pensję - mówiła właśnie. - Jak można nie przyjąć takiej oferty!

Tiffany robiła analizy finansowe dla wielkich firm, które za wszelką cenę chciały zwabić ją do siebie. Przeciętnie dwa razy w miesiącu otrzymywała nową propozycję wraz z obietnicami większych pieniędzy i przedłużonych wakacji. A ja zamierzałam wdać się w walkę o mizerną podwyżkę i żalosne w gruncie rzeczy stanowisko starszego redaktora. Poczułam się głupio.

- To wspaniała nowina - odpowiedziała mama, uśmiechając się do Shauna, jakby to jemu zaproponowano podwojenie pensji.

- Ostatnio często zmieniałam firmy - ciągnęła Tiffany - ale wydaje mi się, że tym razem wytrzymam dłużej. Przynajmniej teraz, kiedy zamierzamy z Shaunem popracować nad powiększeniem rodziny.

W tym momencie opanowana zazwyczaj Tiffany oblała się rumieńcem i uśmiechnęła do Shauna. Zobaczyłam w wyobraźni ich nadzwyczajnie cudowne dzieci w markowych ubrankach, dobranych kolorem do zielonych oczu, kremowej cery i miodowych włosów, jakie na pewno odziedziczą po rodzicach.

Najwyraźniej myśli mamy szły tym samym torem, bo jej oczy zamglily się z radości i dumy.

- Wnuki! Nie macie pojęcia, co teraz czuję! - wykrzyknęła i odwróciła się do Clarka, jakby chciała u niego szukać pomocy w dźwiganiu niezwykłego szczęścia, które ją dotknęło. Clark pocałował ją w usta, a my wlepiliśmy oczy w szklanki z pina coladą.

- Ale nie wcześniej niż za rok - uściśliła Tiffany i zapatrzyła się w przestrzeń. - A co u ciebie? - Musiała wyczuć mój niepokój.

- Wszystko świetnie. - Miałam nadzieję, że mój uśmiech wyda się wszystkim przekonujący.

Starannie wyskubane brwi Tiffany uniosły się leciutko.

- Słyszeliśmy o Derricku. Musiało ci być ciężko - wtrącił się Shaun z normalną u niego bezceremonialnością.

- No, wiesz... - Wzruszyłam ramionami, ignorując zmartwioną minę mamy. - Coś się traci, coś się zyskuje. Przecież nie mogłabym wyjechać z nim do Los Angeles. Nie teraz, kiedy staram się o stanowisko starszego redaktora w dziale reportażu.

- Dlaczego mi nie powiedziałaś?! - zawołała mama.

- Bo to jeszcze nic pewnego.

- Czy dostaniesz dużą podwyżkę? - zapytała Tiffany.

- Całkiem niezłą.

Nie miałam zamiaru mówić prawdy.

- Super! - Shaun napełnił wszystkie szklanki pina coladą i trącił się ze mną.

Mama upiła łyk i oblizwała wargi wygięte w zadowolonym uśmiechu.

- Tego ci było trzeba. Nie ma to jak podwyżka. Może teraz zaczniesz spłacać pożyczkę, którą zaciągnęłaś na studia? I trochę zaoszczędzisz? Właśnie przeczytałam książkę „Dziesięć kroków do prawdziwego bogactwa” i...

Tu mama zaczęła przedstawiać wszystkim moje - żalosne dotychczas - perspektywy finansowe, które teraz ulegną cudownej poprawie. Miałam ochotę zapaść się pod ziemię.

Najdziwniejsze, że to Clark zauważył stan desperacji, w jaki zaczęłam popadać, i przerwał mamie, która chciała właśnie omawiać siódmy krok, polegający na poznaniu własnej wartości.

- Wiesz, kochanie, uważam, że powinniśmy wypić za Emmę taką, jaka teraz jest. Bo w pogoni za coraz tonowymi osiągnięciami często zapominamy o naszych terażniejszych dokonaniach.

- Och, Clark! - Spojrzała na niego z dumą. Potem pocałowała go tak, że nie wiedzieliśmy, gdzie podziąć oczy. - Jakim cudem zasłużyłam na takiego wspaniałego mężczyznę? - zapytała z nieudawanym zdumieniem. Kiedy się pozbierała, wzniosła toast. - Za Emmę. Za to, jaka jesteś, córeczko.

Trąciliśmy się szklankami i wypiliśmy - niektórzy, w ich liczbie ja, więcej od innych. Być może z powodu alkoholu rozgrzewającego mój organizm, poczułam się nagle szczęśliwa. Szybko wstałam, żeby to ukryć.

- Sprawdzę, czy babcia Zizi czegoś nie chce.

- Zanieś jej to. - Mama wręczyła mi półmisek precelków i różnych czipsów.

- Emma! - Twarz babci rozjaśniła się w uśmiechu, a usta złożyły do powitalnego pocałunku.

Znowu zaczęłyśmy się witać. Babcia wpatrywała się we mnie przez chwilę, jakby coś nie dawało jej spokoju.

- Dalej spotykasz się z Derrickiem? - zapytała z nadzieją.

Westchnęłam. Na dzisiaj wystarczy, pomyślałam. Kiedy babcia Zizi wyczuwa, że coś jest nie tak, zaczyna zadawać niewygodne pytania i z niepokojem oczekuje odpowiedzi. Musiałam skłamać, żebyśmy obie nie zwariowały.

- Oczywiście, babciu. Derrick jest dzisiaj zajęty, ale przesyła pozdrowienia.

Zauważyłam, że spogląda na talerz z łakociami. Podsunęłam go szybko, ucałowałam ją w czoło i pędem wróciłam do stołu, żeby napełnić szklankę nową porcją koktajlu. Mama oznajmiła właśnie całemu towarzystwu, że wybrała linię, którą popłyniemy na jej ślub.

- Książka, którą dostałam od Emmy, bardzo ich chwali - uśmiechnęła się do mnie promiennie.

- Słyszałam o nich - Tiffany pokiwała głową.

- Dokąd w końcu płyniemy? - chciał wiedzieć Shaun.

- Na Wyspę Świętego Tomasza.

- Cudowne miejsce - Shaun i Tiffany pochwalili zgodnym chórem, a ja potulnie skinęłam głową.

Clark nic nie powiedział, ale i tak wiedzieliśmy, że zgadza się na wszystko, co postanowi mama.

- Emmo, musimy wybrać miejsce ceremonii. Myślałam o postawieniu niewielkiego pawilonu na plaży, ale nie wiem, czy to możliwe. Potrzebuję twojej opinii.

- O, rany! - Pokręciła głową Tiffany, patrząc na mnie. - Nie mogę odżałować, że nie było cię w pobliżu, kiedy ja brałam ślub.

Może i byłabym, pomyślałam z pewnym okrucieństwem, gdybyś nie wychodziła za mojego brata w dzieciństwie... Tiffany nie miała jeszcze trzydziestki, a od co najmniej pięciu lat była żoną Shauna.

- Miałam właśnie zamawiać kajuty, kiedy przyszedł mi do głowy wspaniały pomysł. Emmo, skoro i tak jedziesz sama, może zaokrętujesz się razem z babcią Zizi? Będzie wam obu weselej.

Spojrzałam na babcię drzemiącą na leżaku pod drzewem, ze szklanką, której nie wypuszczała z dłoni. Jasne. Będzie kupa radości.

Po wieczornym przyjęciu czułam się obżarta, grubsza i bardziej niezadowolona z siebie niż kiedykolwiek wcześniej.

Na domiar złego ustalono, że to ja odwożę babcię Zizi do domu opieki. Shaun po kilku godzinach niewolniczej pracy przy grillu drzemał na kanapie w salonie, biedaczka Tiffany miała migrenę - prawdopodobnie z głodu, bo nie tknęła nawet kawałeczka żeberka, które mama wbrew jej protestom wrzuciła jej na talerz. Mama z kolei była w amoku sprzątanego i zmywania, a Clark - no cóż - ktoś musiał obserwować ją z zachwytem, nawet podczas skrobienia garów.

- Tylko dopilnuj, żeby nie trzymali babci zbyt długo w ogólnym pokoju, ale zaraz położyli ją spać - nakazała mi mama.

Potem wręczyła mi kluczyki i uścisnęła babcię, która zaczynała właśnie wyrażać niezadowolnienie, że mama pozwala Clarkowi zostać na noc. Najwyraźniej babcia nie zorientowała się, że Clark wprowadził się co najmniej pół roku wcześniej.

- Nikt nie kupuje krowy, kiedy ma mleko za darmo - złościła się babcia, kiedy szliśmy podjazdem, To, że mama była dorosła i dwa razy zamężna, nie miało dla niej żadnego znaczenia. Nie wypadało, żeby „ten mężczyzna”, jak się wyraziła, „dotrzymywał jej towarzystwa” w kuchni, zanim małżeńska przysięga zostanie wypowiedziana publicznie.

Jeśli chodzi o mnie, byłam bardzo zadowolona, że zamiast żałować mnie, babcia zajęła się nieprzyzwoitym rzekomo zachowaniem mamy. W ciągu całego wieczoru co najmniej sześć razy wypytywała mnie o przyszłość moją i Derricka, aż w końcu dotarła do niej okrutna prawda, że jej niezamężna wnuczka przez jakiś czas pozostanie dalej w tym stanie.

Przez resztę drogi babcia się nie odzywała. Milczała, kiedy dojechałyśmy na miejsce i pomagałam jej usiąść w fotelu na kółkach. Gdybym wierzyła, że jest to jeszcze możliwe, powiedziałabym, że głęboko się nad czymś zastanawiała. Zawiozłam ją do pokoju, który dzieliła z nieco szaloną staruszką ze skłonnością do krzyczenia przez sen, i dałam znać pielęgniarce, że jesteśmy. Kiedy wymieniałymy z babcią rytualne pocałunki, tym razem pożegnalne, zapatrzyłam się na nieprzytulne wnętrze, które widziałam za jej plecami. Dziwne, myślałam. Robisz wszystko, żeby wyjść za mąż, masz dzieci, wydajesz je za mąż, a potem zostajesz sama w pustym pokoju. Czy tak musi być?

Zanim odpowiedziałam sobie na to pytanie, babcia złapała moją twarz w dłonie i przyjrzała mi się z taką uwagą, jakby chciała przejrzeć mnie na wylot.

- Jesteś za dobra, Emmo - odezwała się gwałtownie. - Za dobra dla nich wszystkich. I w tym rzecz. - Pocałowała mnie i uśmiechnęła się wszystkowiedzącym uśmiechem. - Między nami mówiąc, tamten facet nie nadawał się dla ciebie.

- Mówisz o Derricku? - upewniłam się.

- Jasne, że o nim. Wcale się nie nadawał.

- A co było z nim nie tak?

- No wiesz, po pierwsze - powiedziała - był za niski. Twój mężczyzna musi być wysoki. - Położyła ręce na kolanach i puściła do mnie oko. - I bogaty.

Właśnie wtedy pojawiła się pielęgniarka, żeby zabrać wciąż uśmiechniętą babcię Zizi do pokoju. W drodze powrotnej pieściłam w głowie obraz wysokiego, bogatego mężczyzny, który nadaje się dla mnie, dopóki nie ogarnęły mnie wątpliwości.

ROZDZIAŁ SZÓSTY

„Kobieta musi tego używać, o ile nie chce przegrywać”

- Betty, sprzedawczyni w sklepie Najpiękniejsza Panna Młoda

Wyznanie: *Jestem przekonana, że ślub to nic więcej tylko okazja do włożenia wspaniałej sukni.*

Następnego dnia skoro świt znalazłam się w samochodzie. Tak rozpoczął się od dawna zapowiadany przez mamę rajd po sklepach. Mama bowiem postanowiła znaleźć suknię, w której nie będzie wyglądać ani grubo, ani staro, ani niewinnie, a równocześnie inną od wszystkich tych sukni, w których nie wygląda się grubo, staro albo niewinnie. Próbowałam przekonać ją, że nowojorskie sklepy na pewno są lepsze - wszystko po to, żeby odwlec tę przekłętą wyprawę, ale nie chciała mnie słuchać. Postanowiła, że kupi suknię dokładnie tego, a nie innego dnia. Co więcej - że kupi ją bardzo tanio, ponieważ w życiu wydała już dosyć pieniędzy na stroje od markowych projektantów. Tym razem chce zapolować na okazję.

Mama zaprosiła również Tiffany, która z całą uprzejmością wycofała się, wyjaśniając, że muszą z Shaunem wrócić wcześniej do domu, żeby opróżnić kuchnię przed wtorkową wymianą szafek. Niezła wymówka, bo wszyscy dobrze wiedzieliśmy, że mama nigdy nie stanęłaby na przeszkodzie żadnym remontowym planom Tiffany.

Tym razem jednak żałowałam, że nie ma z nami Tiffany. Jej paplanina mogłaby złagodzić napięcie, jakie podczas dzisiejszego sklepowego szaleństwa odczuwałam szczególnie dotkliwie. Mój stan pogorszył się jeszcze po wizycie w pierwszym sklepie. Nadgorliwa sprzedawczyni, słysząc, że szukamy sukni ślubnej, zaczęła natychmiast zdejmować moje wymiary. Można wyobrazić sobie jej zdziwienie - i moje upokorzenie - kiedy dowiedziała się, że to nie ja będę panną młodą.

Potem było już tylko gorzej. Po ośmiu zupełnie chybionych wizytach w ośmiu magazynach, przypominających hurtownie handlujące narzeczeńskim szczęściem, moja cierpliwość zaczynała się wyczerpywać. Zastanawiałam się właśnie, jak przekonać mamę, że najlepszym wyjściem dla niej i dla środowiska naturalnego jest recykling sukni, w której wystąpiła na swoim poprzednim ślubie, kiedy zatrzymałyśmy się przed niewielkim sklepem, strategicznie wciśniętym pomiędzy butik z akcesoriami ślubnymi a salon z butami. „Najpiękniejsza Panna

Młoda" obwieszczał napis na fluorescencyjnym różowym tle. W oknie wystawowym stał manekin z głupim wyrazem twarzy, udrapowany w zwoje tafty lekko pożółkłej na słońcu. Na taki widok nie chciało się wychodzić z samochodu. Nic jednak nie mogło zatrzymać mamy.

- Mam dobre przeczucia - oznajmiła po raz dziewiąty tego dnia i pociągnęła mnie za sobą.

Dreszcz przeszedł mi po krzyżach na widok kolejnego napisu nad drzwiami, który głosił: „Tak zaczynają się rozkosze małżeństwa”. Wchodząc do środka, z trudem stłumiłam jęk. Wąskie i długie wnętrze zastawione było wieszakami, z których wylewały się suknie ślubne wszelkich rozmiarów i fasonów. Po raz pierwszy zrozumiałam, dlaczego kobiety wydają połowę majątku na kreację szytą u znanych projektantów - tylko w ten sposób mogą unikać takich widoków i zachować pełnię władz umysłowych.

Za ladą w głębi sklepu siedziała nieduża, wyraźnie znudzona kobieta o zmęczonej twarzy.

- Dzień dobry - powiedziała mama, robiąc kilka kroków w przód.

Kobieta powoli odłożyła krzyżówkę i zmierzyła nas wzrokiem, jakby chciała ocenić, czy jesteśmy warte jakiegokolwiek wysiłku z jej strony. Miała mięsistą twarz, wyblakłe niebieskie oczy i sieć drobnych zmarszczek dookoła ust, na których widniały nikle ślady szminki użytej zapewne wiele godzin temu.

- Szukam sukni - zaczęła mama. Potem zawahała się i dodała: - Wychodzę za męża. Trzeci raz.

Słyszając to, sprzedawczyni ożywiła się i uniosła brwi z wyraźnym zainteresowaniem.

- To zdecydowanie ogranicza wybór - powiedziała, machając lekceważąco ręką w kierunku kilometrów wieszaków po swojej lewej stronie. Potem zeskoczyła ze stołka i z absolutnie zdecydowaną miną udała się w odległy koniec sklepu. Mimo elastycznych spodni i jaskrawej, obszernej bluzki wydała mi się nagle niemal dystyngowana...

Mamie natychmiast wróciła werwa. Zaczęła opowiadać o naszych nieudanych poszukiwaniach, o tym, ile sukien już zmierzyła, i o mnie, która wspieram ją w zakupach.

- Moja córka jest redaktorem w „Twoim Ślubie”. To znane pismo. Musiała pani o nim słyszeć.

Kobieta zatrzymała się i obrzuciła mnie nieuważnym spojrzeniem.

- Kiedy wychodzi pani za męża? - zapytała, nie zwracając uwagi na rewelacje dotyczące mojej osoby.

- W drugiej połowie września. - Mama przez chwilę wydawała się speszona. - Ślub odbędzie się na Wyspie Świętego Tomasza.

Po przemyśleniu tych informacji sprzedawczyni podeszła do wieszaka, na którym wisały suknie w różnych odcieniach złamanej bieli.

Doszłam do wniosku, że ją lubię - może dlatego, że zupełnie nie obeszła jej wiadomość o mojej błyskotliwej karierze. Podobała mi się pewność, z jaką poruszała się pomiędzy rzędami sukien. Coś mi mówiło, że ta kobieta nie da się opętać żadnym przedślubnym szaleństwom i w każdej sytuacji zachowa właściwy obraz rzeczywistości. Teraz energicznym ruchem wyszarpała spomiędzy wieszaków długą sukienkę w kolorze bliższym bieli niż kości słoniowej, z szeroką spódnicą, przezroczystymi rękawami i stanem dosyć mocno wymodelowanym w okolicach biustu.

Mama patrzyła to na nią, to na suknię, jakby zastanawiała się, czy ta niska osoba w wyszywanej cekinami bluzce i ze śladami dawno zjedzonej szminki może być doradcą w najważniejszej sprawie dotyczącej jej ślubu.

- Myślałam o czymś... mniej białym - wyjąkała. - Mniej strojnym. Na przykład o kostiumie...

Kobieta zarzuciła sukienkę na pręt wysoko nad głową i odwróciła się do mamy.

- Muszę coś pani powiedzieć, kochana - zaczęła tak, jakby zamierzała się z czegoś zwierzyć. - Po pierwsze, mam w nosie to, co inni uznają za strój odpowiedni na drugi albo trzeci ślub. Wiem tylko, że żadnej kobiecie powyżej pięćdziesiątki nie jest dobrze w kolorze écru. Chyba że jest blondynką - a pani, jak widać, nią nie jest.

Mama zerknęła na mnie, ale ja wpatrywałam się jak zahipnotyzowana w mały kłębek energii, przez którego usta płynęły prorocze słowa.

- Po drugie, przeszła już pani przez to wcześniej. Pierwszym razem zrobiła to pani dla rodziców. Drugim razem mogła to być miłość. Albo samotność.

Mama słuchała z szeroko otwartymi oczami.

- Ale jeśli ma pani tyle szczęścia, że trafił się pani numer trzy - kobieta wykrzywiła usta we wszytkowiedzącym uśmiechu - to założę się o wszystkie pieniądze, że tym razem robi to pani dla siebie.

Mama też się uśmiechnęła. W końcu okazało się, że obie mówią tym samym językiem.

- Widzi pani tę tkaninę? Ten krój? - Sprzedawczyni lekko szarpnęła za spódnicę, a kiedy mama kiwnęła głową, ciągnęła przemowę. - Łatwo sobie wyobrazić przedślubny stres. Zjada pani kawałek tortu kawowego. I co? Przy tym fasonie nikt tego nie zauważy.

Ta kobieta naprawdę znała tajniki kobiecej duszy.

- Przezrocyste rękawy są przewiewne, więc się pani nie zgrzeje. Ale dzięki temu, że są, nie trzeba wydawać pieniędzy na niezliczone sesje u kosmetyczki. Po co, skoro efekty jej starań i tak znikną po kilku miesiącach? A jeśli chodzi o stanik, to w czymś takim żadna kobieta - sprzedawczyni kiwnęła w kierunku niemal nieistniejącego biustu mojej mamy - nie będzie źle wyglądać.

Mama spojrzała w lustro, ale nie była jeszcze całkiem przekonana.

- Proszę mi zaufać i ją przymierzyć - powiedziała.

Chwilę później mama stała na podwyższeniu i w trójskrzydłowym lustrze podziwiała zjawisko przyrodziane w złamany odcień bieli. Była stremowana jak debiutantka, ale wiedziałam, że ona wie, że wygląda bardzo dobrze. Sprzedawczyni, która miała na imię Betty - o czym poinformowała nas, zapinając mamie suknię - patrzyła na nią wzrokiem pełnym satysfakcji.

- Pięknie wyglądasz, mamo.

Rzuciła mi promienne spojrzenie, a potem nerwowo zerknęła na mocno usztywniony gors sukni.

- Chyba będę musiała kupić sobie trochę większy stanik - powiedziała.

- Moja kochana! - uśmiechnęła się Betty. - Wszystkim kobietom potrzebne jest nieco złudzeń.

I tak decyzja została podjęta. Betty zaznaczyła jeszcze miejsca, które wymagały poprawek, i całą swoją uwagę skierowała na mnie. Wiedziała już od mamy, że będę świadkiem na ślubie oraz że (panie zdążyły serdecznie się zaprzyjaźnić) całkiem niedawno rzucił mnie chłopak, z którym wiązałam nadzieje.

- Statek to najlepsze miejsce, żeby kogoś poznać - oznajmiła, prezentując nam piękny naszyjnik i kolczyki z brylantów, które dostała od trzech pierwszych mężów.

Potulnie zgodziłam się na jej wybór - małą, obcisłą sukienkę w kolorze bladej lawendy. Drobne zaszewki w talii były gwarancją, że ewentualne ataki obżarstwa z nerwów przejdą niezauważone.

Wszystko dobrze pójdzie, myślałam, kiedy płaciłyśmy rachunek. A nawet jeśli nie, będę miała na sobie szalową kieckę.

Wyznanie: *Zgoda. Złudne nadzieje pozbawiły mnie wszelkich perspektyw na przyszłość.*

Zazwyczaj powrót do miasta po kilku dniach spędzonych w domu rodzinnym odbieram jako akt łaski. A jednak w ten właśnie poniedziałkowy wieczór, po długim weekendzie, podczas którego okazałam się ostatnim pozbawionym pary członkiem rodziny, ani widok kawiarni, ani oświetlone witryny sklepów nie przyniosły mi normalnego w takich okolicznościach ukojenia. Widziałam tylko pary - spacerowały, trzymały się za ręce albo czule nachylały do siebie nad stolikami, na których płonęły małe świece. Wlokąc się po schodach do swojego pustego mieszkania, marzyłam, żeby ktoś się do niego włamał podczas mojej nieobecności. Jednak kiedy zapaliłam światło, okazało się, że wszystko wygląda tak, jak przed wyjazdem. Moje życie też.

Westchnęłam i zaczęłam rozpakowywać torbę, kiedy nagle zobaczyłam mrugające światełko automatycznej sekretarki. Z udaną obojętnością nacisnęłam guzik.

Najpierw rozległy się dziwne dźwięki - jakby telefonujący grzebał w słuchawce (albo w myślach), a potem usłyszałam znajomy głos i serce na chwilę przestało mi bić.

- „Cześć, Em. Tu Derrick”.

Torba z hukiem grzmotnęła o podłogę.

- „Chciałem sprawdzić, jak żyjesz. Hm. Miałem zadzwonić wcześniej, ale dobrą chwilę zabrało mi znalezienie jakiegoś lokum. Ceny mieszkań w LA są prawie tak wyśrubowane jak w Nowym Jorku. - Derrick wydał z siebie cichy chichot. Ogarnęła mnie fala czułości. Zawsze tak się śmiał, kiedy coś urągało poczuciu jego wewnętrznej logiki. - Nie bardzo miałem nadzieję, że zastanę cię w domu podczas świątecznego weekendu. Na pewno jesteś na plaży gdzieś na Long Island. Ale skoro siedzę sobie tutaj i myślę o tobie, postanowiłem do ciebie przekręcić. - Przez chwilę w telefonie panowała cisza. - Odezwij się, kiedy wrócisz. Mój numer: 210-555-56-84. Mam nadzieję, że niedługo sobie pogadamy. Tęsknię za tobą”.

Zupełnie oszołomiona przyciągnęłam do siebie telefon i cofnęłam taśmę. Musiałam usłyszeć to jeszcze raz. Wszystko. A szczególnie ostatnie trzy słowa. Derrick „za mną tęskni”. „Tęskni za mną”. Serce ścisnęło mi się ze wzruszenia na sam dźwięk jego głosu. A tu jeszcze okazało się, że ten głos podszyty jest tęsknotą za mną. Szybko zapisałam numer - najpierw na skrawku papieru, który znalazłam przy łóżku, potem w bezpieczniejszym miejscu, czyli we własnym notatniku, tuż pod starym adresem Derricka - wciąż jeszcze nie mogłam się zdobyć, żeby go wykreślić.

Zerkając na zegarek, zastanawiałam się, czy oddzwonić od razu, czy chwilę odczekać. W Nowym Jorku było wpół do dziesiątej, w Los Angeles - wpół do siódmej. Za nic nie chciałam wydać się zdesperowaną kobietą. Może lepiej pomęczyć go trochę i przeczekać kilka tygodni? Niech myśli, że o nim zapomniałam, tak jak on zapomniał o mnie. Zaraz jednak zdałam sobie sprawę, że nie przetrzymam tych kilku tygodni. Podniosłam słuchawkę i wybrałam numer.

- Halo? - Odebrał natychmiast.

- Derrick? - Nie wiem, dlaczego zapytałam. Znałam przecież ten głos lepiej niż swój.

- Emma. - W jego ochryplym głosie zabrzmiała taka ulga, że moje serce zaczęło bić trzy razy szybciej. - Liczyłem, że dzisiaj zadzwonisz. Co u ciebie?

- Wszystko świetnie - odpowiedziałam i nagle poczułam, że to prawda. - Jak tam Los Angeles? Masz już mieszkanie? Co ja mówię! Jak tam nowa praca?

- W porządku. Mnóstwo ludzi o wybujałym ego, ale da się wytrzymać, byle obchodzić ich na paluszkach - zaśmiał się.

- Nie znosisz jej, prawda? - zapytałam z nadzieją.

- Nie - znów się zaśmiał. - Em, nawet nie wiesz, jak mi brakuje twojej ironii.

Postanowiłam nie zwracać uwagi na fakt, że nie byłam wcale ironiczną. Najważniejsze, że mu mnie brakowało.

- No to po kolei. Jakie masz mieszkanie? Nie czujesz się w nim samotnie?

- Nie. Biorą tu tyle forsy za wynajęcie byle nory, że musiałem poszukać współlokatora.

- Mam nadzieję, że nie jest podobny do twojego barmana.

- Nie. Samo mieszkanie jest wspaniałe. Kilka kroków od plaży. Okno mojej sypialni wychodzi na morze.

- O rany! - Z mojego okna było widać gołą, ceglana ścianę sąsiedniego budynku. - To brzmi niesamowicie.

Niesamowicie romantycznie, chciałam dodać. Wprawdzie się powstrzymałam, ale było mi ciężko na sercu.

- Musisz mnie kiedyś odwiedzić, Emi. Myślę, że spodobałoby ci się tutaj.

W tej samej chwili poczułam się lekka jak ptaszek.

- Naprawdę? Wiesz, mam jeszcze tydzień urlopu. Prawdopodobnie mogłabym go wykorzystać jeszcze przed końcem czerwca.

Po drugiej stronie słuchawki zapanowała cisza. Poczułam rozpaczliwy wstyd.

- No, jest nad czym pomyśleć - odezwał się i zmienił temat, zanim zaczęłam pakować walizki, żeby ruszać na Zachodnie Wybrzeże. - A co słysząc u ciebie w pracy?

- Nieźle - odpowiedziałam automatycznie. Wciąż nie mogłam sobie darować, że tak się przed nim odkryłam. Za wszelką cenę musiałam odzyskać szacunek do siebie samej. Rozmowa o pracy mogła mi się teraz przydać. - A właściwie całkiem dobrze. Odeszła jedna ze starszych redaktorek i najprawdopodobniej czeka mnie awans.

- To wspaniała wiadomość! Zawsze wiedziałem, że jest ci pisana wielka przyszłość.

Naprawdę? Ciekawe, jakie powody kierują mężczyzną, który zostawia kobietę, której pisana jest wielka przyszłość? Kiedy indziej zastanawiałabym się nad tym, ale teraz czułam tylko falę gorącej, czystej, nieudawanej miłości.

- Jak to dobrze, że możemy sobie pogadać.

- Prawda? Też się ucieszyłem, słysząc twój głos. Po przyjeździe wpadłem w cały ten kierat - nowa praca, nowe mieszkanie - i nawet nie miałem czasu, żeby za tobą zatęsknić. A teraz jest długi weekend, a ja siedzę i zastanawiam się, jakim cudem wytrzymaliśmy w zeszłym roku w East Hampton z szesnastką obcych ludzi pod jednym dachem. - Zaśmiał się. - Pamiętasz? Nigdy nie myślałem, że przyjdzie mi dzielić sypialnię z tobą i Sidem, i tą jego pseudo-striptizerką. Jak jej było na imię?

- Chyba Barbie. A może Bambi?

Kiedyś Sid dorabiał jako kelner w tej samej restauracji co Derrick, a Bambi była jego dziewczyną.

- Coś w tym rodzaju - zachichotał. - Ale nam udało się ich zgubić i mieliśmy chwilę na nasz własny striptiz.

W ciszy, która zapadła, oboje wspominaliśmy tamtą noc. Wykradliśmy się wtedy z naszego letniskowego domu i kochaliśmy się na pustej plaży, w świetle księżyca, czując równocześnie dreszcz pożądania i strach, że pierwszy lepszy przechodzień złapie nas, całkiem nagich, na gorącym uczynku. W życiu nie przydarzyło mi się nic równie podniecającego. Teraz przestrzeń między nami aż wibrowała od wspomnień. Krew pulsowała mi w żyłach. Nagle zrozumiałam, dlaczego ludzie korzystają z usług sekstelefonu.

- Tak pięknie wyglądałaś tamtej nocy - ciągnął Derrick rozmarzonym głosem. - Długie włosy spadały ci na piersi...

Nigdy nie miałam aż tak długich włosów, ale nie zamierzałam niszczyć jego wspomnień, zwłaszcza że grałam w nich główną rolę.

- Ty też wyglądałeś świetnie - zrewanżowałam się. - Opalony, ze śladami kilkudniowego zarostu na policzkach...

- To były dobre czasy, Em.

- Tak, były - przyznałam. Wbrew zdrowemu rozsądkowi miałam nadzieję, że uświadamiając mu tę prawdę, sprowokuję go w jakiś sposób do działania - że być może spakuje torbę i popędzi na najbliższy samolot do Nowego Jorku, żeby spędzić rozwiąły tydzień *chez moi*.

Ale zamiast tego usłyszałam:

- Chyba pora kończyć. Zająłem ci mnóstwo czasu. Nie. Tylko nie to!

- Możemy rozmawiać, ile chcesz - powiedziałam, jakby to on, nie ja, rozpaczliwie chciał podtrzymać tę rozmowę.

- Dzięki, ale wcześniej rano mam spotkanie z producentem i muszę się jeszcze przygotować.

Od kiedy Derrick zrobił się taki odpowiedzialny? No tak - nigdy dotąd nie miał pracy, na której by mu zależało na tyle, żeby się do niej przygotowywać.

- Rozumiem - odpowiedziałam.

- Zadzwoń jeszcze, dobrze? I informuj mnie na bieżąco o swoim awansie.

- Jasne. - Bardzo chciałam, żeby nasz świeżo odnowiony kontakt rozkwitał. Żeby Derrick telefonował, kiedy tylko ma ochotę. I miałam nadzieję, że będzie się to często zdarzać. - A ty informuj mnie na bieżąco, jak się powodzi znanemu scenarzyście.

Roześmiał się.

- Dobranoc, Em.

- Dobranoc, Derrick.

Kocham cię, powiedziałam w myślach - trochę z przyzwyczajenia, ale przede wszystkim z prawdziwej tęsknoty. Że słuchawki dochodził przeciągły sygnał.

Wyznanie: *Nie chcę, nie będę i nie mam ochoty tracić złudzeń związanych ze swoim życiem uczuciowym.*

Pierwszy raz od nie wiadomo kiedy zawahałam się, czy dzwonić do Jade, czy do Alyssy. Wiedziałam, że obie musiały już wrócić do domu. Jade na pewno ma do opowiedzenia mnóstwo sprośnych historyjek z Fire Island, a Alyssa jeszcze cierpi po spotkaniu z przyszłymi teściami. Jednak po telefonie Derricka wciąż przebywałam w ciepłym i świetlistym obłoku, któ-

rego nie miałam ochoty opuścić. Nie chciałam też, żeby Jade oznajmiła mi specyficznym tonem, którego używała, mówiąc o męskich ułomnościach, że Derrick zadzwonił tylko dlatego, że nagle poczuł się samotny. I że wszystkie ciepłe słowa, które od niego usłyszałam, tak naprawdę nic nie znaczyły. A Alyssa... natychmiast domyśli się, co jest przyczyną mojego nagłego szczęścia, i skwituje je krótko i dosadnie: „złudne nadzieje”.

Postanowiłam więc do nikogo nie telefonować. Nastawiłam płytę Sade i wtulona w poduszki bezwstydnie rozkoszowałam się zmysłowymi piosenkami o prawdziwej miłości, tak jakby dotyczyły one mnie. Udało mi się nawet donieść nietknięte złudzenia do redakcji następnego dnia rano. Powstrzymałam się od odpowiedzi na mail Jade, pełen aluzji do jakiejś randki o wyraźnie erotycznym charakterze. Prawdę mówiąc, udało mi się dotrwać w tym nastroju do lunchu, a raczej do chwili, kiedy do mojego boksu wślizgnęła się Rebeka. Od razu zauważyłam, że wygląda strasznie. A Rebeka nigdy nie wyglądała strasznie.

- Czy nie poszłabyś ze mną na lunch? - poprosiła cichym głosem, jakiego nigdy nie spodziewałam się u niej usłyszeć.

- Naprawdę muszę z kimś pogadać.

Wystarczył jeden rzut oka na jej dłoń i przypomniałam sobie wszystko. Rebeka nie miała pierścionka. Wielka scena oświadczyn nie doszła do skutku. Pokiwałam szybko głową, złapałam torebkę i poszliśmy razem do windy.

W drodze do Tivoli, małej włoskiej restauracji, na którą mogli sobie pozwolić nawet redakcyjni pracownicy najniższej rangi - tacy jak ja - prawie się nie odzywaaliśmy. Dopiero kiedy usiadliśmy naprzeciwko siebie z menu w dłoniach, Rebeka zaczęła mówić.

- Nic się nie zdarzyło. Nie było pierścionka ani oświadczyn - niczego.

Z trudem powstrzymywała łzy. Było mi jej strasznie żal. Złapałam ją mocno za rękę.

- Pojechaliśmy do East Hampton, tak jak było zaplanowane. - Łzy przestały płynąć. Najwyraźniej wspomnienia dodały jej sił. - Przez całą drogę było cudownie.

Pokiwałam zachęcająco głową.

- Kiedy dotarliśmy do pensjonatu... Opowiadałam ci o nim - tego ze sztukateriami i autentycznymi, zabytkowymi oknami, pamiętasz? No więc, kiedy tam dotarliśmy, okazało się, że cały dom został świeżo odremontowany. To powinno dać mi do myślenia.

Nie miałam pojęcia, co odrobina szpachli i świeża farba ma wspólnego z sytuacją Rebe-ki.

- Nash najwyraźniej o tym wiedział i, co gorsza, był zachwycony. Wiesz, sam dom nie wyglądał najgorzej, ale ja na pewno nie pozbywałabym się tych zabytkowych detali. Dobrze, że przynajmniej ocalały schody - prawdziwe dziewiętnastowieczne чудо.

Z przyklepionym do ust uśmiechem znowu kiwnęłam głową. Tak jakbym wiedziała, jak wyglądają zabytkowe dziewiętnastowieczne schody.

Pojawił się kelner, przyjął nasze zamówienia i dyskretnie zniknął, żeby Rebeka mogła ciągnąć opowieść, w której jak dotąd nie było cienia sensu.

- Przez cały weekend Nash był... bo ja wiem... dziwny. Kiedy byliśmy sami w pokoju, zaczynał poetyckie przemowy o nowym prysznicu z urządzeniem do masażu, który zainstalowano w łazienkach. Albo o tym, że woli nowe wykładziny dywanowe od desek, które były tam wcześniej. Wiesz, wtedy wydawało mi się, że rozumiem, skąd to się u niego bierze.

Naprawdę? Powoli traciłam wiarę, że zrozumiem cokolwiek z tego, co mówi Rebeka.

- Rano poszłam do recepcji, żeby zapytać, gdzie można wynająć żaglówki. Nash uwielbia żeglować, a ja pomyślałam, że to mogłoby być dobre miejsce. Otwarte morze. Tylko my we dwoje. No więc rozmawiałam z recepcjonistką o wspaniałych efektach remontu, kiedy ona rzuciła od niechcienia, że wysłali wszystkim swoim byłym gościom kupony uprawniające do dwudziestoprocentowego rabatu.

- Nash jest księgowym - powiedziałam. - Sama mi kiedyś mówiłaś, że ma głowę do pieniędzy. Nawet ci się to podobało.

- Tak. Przyznaję - mruknęła. - Ale ja myślałam, że chodzi o romantyczną podróż, nie o zniżki.

W jej słowach było tyle goryczy, że nie wiedziałam, jak zareagować. Nie odezwałam się więcej.

- Przez cały weekend zastanawiałam się, kiedy w końcu to się stanie. Jednego wieczoru jedliśmy kolację w restauracji z widokiem na morze. Zachodziło słońce. Właśnie podano nam butelkę świetnego bordeaux. Nash patrzył mi w oczy. Ja patrzyłam w oczy jemu. Byłam pewna, że właśnie nadeszła wyczekiwana chwila. Tymczasem on zaczął opowiadać jakieś bzdury o spotkaniu, na które w przyszłym tygodniu wysła go szef. Nawet nie słuchałam... Wiedziałam tylko, że to nie jest czas na rozmowy o pracy.

- Może nie czuje się pewnie w pracy... i musiał ci o tym powiedzieć, zanim zrobi następny krok. - Poczulałam się jak wiekowa ciotka, która udziela porad, bo dobrze wie, co myślą

mężczyźni, kiedy zachowują się tak a nie inaczej. - Niektórzy faceci nie chcą się żenić, dopóki nie mają na koncie sześciocyfrowej sumy i wysokiej polisy emerytalnej.

- Phi. On ma to już od dawna. - Rebeka lekceważąco machnęła ręką, jakby umawianie się z facetami bez grosza przy duszy zupełnie nie mieściło się jej w głowie. - Nash przez cały ten czas wcale nie myślał o naszej przyszłości. W ogóle nie myślał o nas. A w sobotę wieczorem wiedziałam już, że nie będzie żadnego pierścionka. I wpadłam w furję. - Wykrzywiła wargi, jakby miała zamiar znowu się wściec.

Muszę przyznać, że poczułam się nieswojo. Czy tak wyglądają wszystkie kobiety, kiedy nie dostają, czego chcą? Czy za każdym razem, kiedy mówię teraz o Derricku, też widać żyłą pulsującą mi na szyi? Musiałam jakoś uspokoić Rebeke.

- Słuchaj, dobrze wiesz, że to się kiedyś stanie. Denerwujesz się, bo Nash nie oświadczył się, kiedy na to czekałaś. - Uśmiechnęłam się do niej. - Wyluzuj. Pomyśl sobie, że na pewno nie chciałabyś zaręczyć się w domu, w którym nie ma nawet oryginalnych, dziewiętnastowiecznych okien, prawda?

Z trudem stłumiłam śmiech, widząc, że ostatnie zdanie Rebeka potraktowała całkiem serio.

- To prawda - powiedziała, a w oczach błysnął jej cień nadziei.

- Zresztą, założę się, że Nash planuje takie zaręczyny, o jakich ci się nawet nie śniło.

- Pewnie masz rację...

Trochę zbyt łatwo mi poszło, pomyślałam.

- Mówię tylko - asekurowałam się szybko - żebyś miała oczy szeroko otwarte. Nie wiesz, co naprawdę myśli Nash.

Miałam poczucie winy, że Rebeka natychmiast złapała kość, którą jej rzuciłam. Ale nie martwiłam się zbyt swoimi kłamstwem. W głębi ducha byłam pewna, że kiedyś Nash i tak oświadczy się Rebecce. Nie wyglądał na faceta, który nie zechce się ożenić, a Rebeka... Cóż, jaki facet nie chciałby żony z tak wspaniale wykształconym systemem oddechowym i cerą jak krew z mlekiem?

Kelner postawił przed nami talerze. Spojrzałam na swojego kurczaka z rusztu z surową zieleniną i sosem vinaigrette w oddzielnej miseczce, potem na grubego hamburgera pokrytego warstewką stopionego sera i górę cienkich, chrupiących frytek, które zamówiła Rebeka, i ślinka napłynęła mi do ust. Żałowałam, że zachowałam się jak dopiero co nawrócona na zdrową

żywność wariatka, a nie zaszalałam jak Rebeka. Przecież ja też miałam powód do litowania się nad sobą.

Rebeka plotła coś o tym, jaki Nash jest zazwyczaj dla niej miły i jak dobrze się razem bawią, a ja przyłapałam się, że myślę o sobie i Derricku, jakbyśmy wciąż byli razem. Ale przecież - przynajmniej w oczach Rebeki - byłam dalej jego dziewczyną.

Co więcej - nie czułam się jeszcze gotowa, żeby przebić ten mały balon pełen szczęścia.

Wyznanie: Jestem całkowicie nieprzygotowana na spotkanie z Tym Nowym.

- Gdzie ty się podziewasz? - naskoczyła na mnie Jade, kiedy zadzwoniła wieczorem.

- O co chodzi? - udawałam naiwną.

- Wysłałam ci e-mail. Telefonowałam wczoraj... Zresztą nieważne. Co u ciebie? Jak weekend?

- Raczej ty mi opowiedz - wolałam zmienić temat. - Coś mi się wydaje, że ktoś się w końcu bzykał.

- Kto?

- No ty. Wspominałaś w mailu o jakimś napalonym facecie, z którym spędziłaś masę czasu.

- Nie, nie. Chodziło tylko o Ricky'ego Phillipsa. Opowiadałam ci kiedyś o nim. Wypuścił serię kurtek motocyklowych. Ważny gość w świecie mody. Ale niestety chodząca chuć.

- A powód, dla którego z nim nie spałaś?

- Ricky to największa dziwka na całej Fire Island.

- Czy można nazwać faceta dziwką?

- Jego można. Ten facet zaliczył chyba wszystkich w branży.

- Z wyjątkiem ciebie, oczywiście.

- Oczywiście. Nie jestem taka głupia. Spanie z tym facetem - i to jeszcze podczas świątecznego weekendu, który wszyscy pracujący w modzie spędzają na Fire Island - jest jak pocałunek śmierci. Spędzasz z nim noc i wszyscy mają cię za jedną z panienek Ricky'ego. Potem nikt już nie chce z tobą sypiać.

- Dlaczego?

- Bo to znaczy, że łatwo cię złapać. Skoro tak, to nie ma zabawy. Faceci lubią wyzwania.

Najwyraźniej zapomniałam o tym, co muszę wiedzieć, żeby prowadzić udane życie seksualne.

- A co się stało z pięknym Enrikiem?

- Ciągłe kręci się w pobliżu, ale powoli zaczyna mnie irytować. Przysięgam, że posłałabym go do diabła, gdyby nie miał pod dżinsami takiego wspaniałego pakunczku.

- Co? - Zaczynałam podejrzewać, że posucha w życiu seksualnym Jade bierze się z jej wybredności.

- Zanim dotarłam do domu w poniedziałek wieczorem, zdążył się nagrać dwa razy. Byłam zmęczona i nie chciało mi się do niego telefonować. Następnego dnia zadzwonił do pracy z awanturą, że nie oddzwoniłam. Potem wpadł w szał zazdrości i wykrzykiwał coś o facetach, z którymi rzekomo spałam na Fire Island.

- Biedny Enrico.

- Biedny głupek. Po jednej randce uznał, że ma do mnie jakieś prawa.

- Wspaniale! Musiał naprawdę cię polubić, skoro chce mieć cię na własność.

- Co to niby ma znaczyć?

- Tylko to, żebyś nie traktowała go zbyt surowo. Ten facet cię lubi. I oczywiście nie chce, żebyś jeździła na Fire Island bez niego.

- Dobrze, już dobrze. Dałam mu jeszcze jedną szansę. Umówiliśmy się już na najbliższy weekend. Zamierzam go rozebrać, zanim tak mnie zdenerwuje, że będę zmuszona rzucić go w cholerę i pościć przez następne trzy miesiące. Boję się tylko, że kiedy już się z nim prześpię, zaraz zaciągnie mnie do Włoch, żeby przedstawić swojej mamusi.

- Podróż do Włoch to całkiem niezły pomysł.

- Owszem, ale nie w takich okolicznościach. - Usłyszałam, że zapala papierosa. Potem zapytała podejrzliwie: - Od kiedy to jesteś rzeczniką testosteronu? Nie słyszałam jeszcze, żebyś tak żarliwie broniła gorszej płci.

Uuuch! Przesadziłam. Już się domyśliła.

- Pomyślałam sobie, że kobiety traktują czasami mężczyzn zbyt surowo. Na przykład ja. Wściekam się na Derricka, a on przecież zrobił tylko to, o czym marzył całe życie. W końcu kim jestem, żeby...

- Telefonował do ciebie, tak?

- Tak, ale to nie ma nic wspólnego...

- Poczekaj! Niech zgadnę - przerwała mi. - Jest Dzień Pamięci. Długi weekend. Derrick Holt, nowy chłopak w mieście, nie ma się z kim bawić. Przypomina sobie o swojej eks i dzwoni, żeby się jej wyplakać.

Poczułam ukłucie bólu, ale postanowiłam się nie dać.

- Zadzwoił tylko, żeby opowiedzieć, co słyszeć.

- Tylko mi nie mów, że próbujesz się z nim zaprzyjaźnić po tym, jak cię rzucił!

- Oczywiście, że zostaniemy przyjaciółmi. Dlaczego by nie?

- Posłuchaj, Em... - Jade wdychała głęboko papierosowy dym. - Posłuchaj, co ci mówi doświadczona przyjaciółka. Faceci chcą przyjaźnić się ze swoimi byłymi dziewczynami z jednego powodu. Wiesz jakiego? Żeby mieć kogo przelecieć podczas martwego sezonu.

Tu ją miałam. Zaśmiałam się na cały głos.

- Właśnie tak. Ja i Derrick będziemy mieli mnóstwo okazji, żeby uprawiać seks. Mieszkając na przeciwnych krańcach Stanów.

- On ma tutaj rodzinę. Będzie musiał przyjeżdżać, przynajmniej czasami. Szalenie miło byłoby mieć taką, która umili człowiekowi pobyt na starych śmieciach.

- Jego rodzina mieszka w Jersey.

Miałam nadzieję, że Jade nie wyczuła, jak ożywiła mnie perspektywa ewentualnego przyjazdu Derricka. Oraz tego, że mnie wówczas uwiedzie. Ciekawe, czy mogę liczyć na najbliższe Boże Narodzenie?

- I powiem ci jeszcze - ciągnęła Jade bezlitośnie - że w chwilach posuchy faceci pójną na wszystko. Nawet na sekstelefon. Do byłej dziewczyny, rzecz jasna.

- Słuchaj, Jade. Nie mogę ci obiecać, że nie zamienię już z nim nawet jednego słowa.

Na samą myśl o tym lodowaty dreszcz przeszedł mi po plecach.

- Dobrze - westchnęła ciężko. - Rozmawiaj sobie z nim. Mówię ci tylko, żebyś była ostrożna. Pogadasz z nim kilka razy i zacznie ci się wydawać, że masz chłopaka. A to nie będzie prawda. I w poczuciu fałszywej i zupełnie niepotrzebnej lojalności będziesz odrzucać facetów, z którymi mogłabyś się umówić.

W tej chwili wróciła mi pamięć. Pamięć o facecie, który najprawdopodobniej był bogaty, wysoki, przystojny i nadawał się na materiał na męża. Jade miała rację. Już zapomniałam o potencjalnym kandydacie na partnera. Zapomniałam o Henrym Burke'u.

- O rany! - krzyknęłam. - Przecież mam randkę.

- Rozumiesz już, co miałam na myśli? Już czujesz się winna.

- Nie o to chodzi. Umówiłam się na jutro. - I patrząc na swój wystający brzuch, jęknęłam żałośnie. - Nie mam się w co ubrać.

Wyznanie: *Odczułam chwilową ulgę - w dodatku za całkiem godziwą cenę.*

Jade pospieszyła mi na ratunek. Kiedy spotkałyśmy się następnego dnia w porze lunchu, zabrała mnie na wyprzedaż próbnych modeli pewnego projektanta, którego szczególnie ceniła. W sprawie ciuchów ufam jej bez zastrzeżeń.

Jeszcze przed końcem przerwy na lunch Jade zrobiła swoje, po czym pożegnała się ze mną, a ja wróciłam do biura z krótką, czarną, kloszową spódniczką, obcisłym, dzianinowym topem w intensywnym ciemnoniebieskim kolorze, który - według zapewnień Jade - pięknie korespondował z odcieniem moich oczu oraz z czarnym, lekko błyszczącym kardiganem zapinanym na jeden guzik.

Po powrocie do pracy zastałam wiadomość od Henry'ego, który zachował się jak niezwykle dobrze wychowany młody człowiek, potwierdzając nasze dzisiejsze spotkanie. Dzięki nowym zakupom rozpierała mnie pewność siebie. Oddzwoniłam zaraz, żeby zaproponować Karmę, niewielki bar przy Czwartej Zachodniej Ulicy, zaledwie kilka przecznic od mojego mieszkania. Wołałam się zabezpieczyć - gdyby randka okazała się niewypałem, wrócę szybko do domu i będę czekać na telefon od Derricka.

Dopiero wieczorem, kiedy przygotowywałam się do pierwszej od lat ofensywy na świat samotników, zaczęły mnie dręczyć złe przeczucia. Próbowałam splukać wszelkie nękające mnie obawy pod prysznicem, potem poświęciłam niewiarygodnie dużo czasu na suszenie i układanie włosów, a właściwie na przekonywanie siebie, że jeśli nie wyjdzie mi z Henrym, zostaje Derrick. W pewnym sensie - oczywiście. Przecież mam już jego numer telefonu, prawda?

Umalowałam się starannie i włożyłam nowe ciuchy. Wystarczyło, że poczułam na skórze jedwabisty dotyk nowej spódnicy, a pewność siebie cudownie wróciła. Wskoczyłam w superwygodne, ale dosyć seksowne klapki i ustawiłam się przed lustrem.

To było coś! Byłam wspaniała - od czubka głowy po świeżo pomalowane na różowo paznokcie u nóg. Spódnica spływała z bioder, które wydawały się pozbawione nawet jednej fałdki tłuszczu. Delikatna dzianina topu uwydatniała biust, a dekolt odsłaniał lekką opaleniznę - pierwszy efekt pracy w klubie fitness.

Wiedząc, że mam jeszcze chwilę czasu, zadzwoniłam do Alyssy. Odebrała już po drugim sygnale.

- Cześć. Za chwilę idę na randkę z Henrym.

- Naprawdę? Dlaczego mi nie powiedziałaś?

- Właśnie ci mówię. Wydawało mi się, że i tak miałaś ostatnio dużo na głowie. Jak się czuje Lulu?

- Właściwie bez zmian. Wybieram się z nią do... - nie wypowiedziała imienia na literę „J”, więc domyśliłam się, że Richard jest gdzieś w pobliżu. - Zabieram ją na badanie krwi w sobotę.

- Chcesz, żebym z tobą poszła?

- Wiesz... Tym razem wolałabym iść sama - w głosie Alyssy kryło się tyle podtekstów, że nie umiałam ich wszystkich odczytać.

- Dobra. Dzwoń, gdybyś mnie potrzebowała.

Miałam nadzieję, że Alyssa rozumie, że dotyczyło to zarówno Lulu, jak Jasona.

- Dobrze, dobrze. Nie martw się o mnie. Teraz idź i baw się dobrze. Spotkałam Henry'ego tylko raz, ale wydał mi się całkiem miły. Richard go lubi.

- W porządku. Skoro mam błogosławieństwo twoje i Richarda, nie może się nie udać, prawda?

Wyznanie: Tak. Zwracam uwagę na wygląd zewnętrzny. Bardziej, niż sądziłam.

Wrażenie pierwsze: Kiedy wchodziłam do słabo oświetlonego baru, byłam pewna, że moja przyjaciółka Alyssa, aranżując tę randkę w ciemno, wie dobrze, jacy mężczyźni są w moim typie. Ślizgałam się wzrokiem po całym wnętrzu, szukając ciemnowłosego okularnika o zamyślonym spojrzeniu, rzucanym znad kieliszka martini. Nikogo podobnego tam nie było.

Wrażenie drugie: Na widok obcego faceta w ciemnoszarym garniturze, wstającego na mój widok i niepewnym ruchem wyciągającego w moją stronę szczupłą, bladą dłoń pomyślałam, że Henry Burke nie może być tym mężczyzną. Nie dlatego, że nie miał okularów ani nie pił martini, tylko dlatego, że był niewiarygodnie niski. I całkiem łysy.

No, może nie całkiem. Podchodząc bliżej, odkryłam, że nad czołem została mu kępka rzadkich jasnobrązowych włosów, starannie zaczesanych do góry, na rozległy, łysy placek wieńczący jego głowę.

Z przylepionym uśmiechem podeszłam do dwuosobowego stolika, który Henry wybrał na nasze tête-à-tête.

- Ty musisz być Emmą - powiedział.

- Henry, prawda? - odpowiedziałam, zbierając siły, żeby jakoś przebrnąć przez tę randkę.

- Tak, ale możesz mówić do mnie Hank.

Uśmiechnęłam się znowu, ale wiedziałam, że nic już go nie uratuje. I wtedy on też się uśmiechnął, a raczej błysnął dwoma rzędami równiutkich, pokazowo białych zębów.

Może - poczułam nagle iskierkę nadziei - nasza rozkwitająca właśnie znajomość dojdzie do etapu, w którym będziemy polecać sobie najnowsze wybielające pasty do zębów?

- Czy długo czekasz? - zapytałam, kiedy odsuwał mi krzesło. Byłam tak zaskoczona jego rycerskimi manierami, że siadając, potknęłam się o nogę któregoś z mebli.

- Nie, nie. Dopiero przyszedłem - uśmiechnął się znowu i skinął na kelnera. - Czego się napijesz?

- Poproszę białe wino z wodą.

Mnie samą zdziwił ten wybór. Właściwie nigdy nie pijam białego wina, a co dopiero białego rozcieńczonego wina. Najwyraźniej gdzieś w mojej podświadomości zagnieździło się przekonanie będące efektem wieloletniego obcowania z ilustrowanymi magazynami dla pań, że kobiety powinny pić szprycer, żeby wydać się delikatne, dbające o zdrowie i bardziej pociągające.

Henry - o, przepraszam - Hank zamówił bourbona z lodem. Męski wybór, który doceniłam w pełni. A może coś z tego wyjdzie? - znowu przemknęło mi przez myśl. Odwróciłam oczy od jego cienkich białych palców i skupiłam wzrok na bezpiecznym miejscu twarzy, z dala od łysiny oraz nieprzyzwoicie białych zębów. Takie zęby oznaczają jedno: pieniądze. Ciekawe, czy poddał się także zabiegowi wybielania?

- Richard mówił mi, że jesteś pisarką.

A to ciekawe! Czyżby Richard znał któreś z moich poprzednich wcieleń? Nagle mnie olśniło. Kiedy przed laty Alyssa poznawała nas ze sobą, pracowałam właśnie nad tamtą przekłętą powieścią, której początek wciąż tkwił w moim komputerze.

Postanowiłam nie niszczyć złudzeń, które obudził w nim Richard. Skoro miałam być pisarką, należało odkryć swoje artystyczne możliwości. Cóż z tego, że sprzed lat?

- Piszę opowiadania. Ale myślę o czymś większym.

- Imponujące! I wymaga wielkiego zaangażowania.

Och, nie! Czyżby Hank wierzył w potęgę zaangażowania? Takie rzeczy są usprawiedliwione tylko u biednych, zapoznanych artystów. Zaczynałam się bać, że jeszcze chwila, a nie uda mi się znaleźć u niego nawet jednej jedynej zalety.

Musiałam jednak brnąć dalej.

- Wiesz, właściwie to jeszcze nie zaczęłam.

- Podziwiam ludzi, którzy umieją pisać. Wiesz... kiedyś też chciałem zostać pisarzem.

Po raz drugi, nie! W jednej chwili opalony, pewny siebie mężczyzna z pola golfowego zamienił się w bladego, sfrustrowanego urzędnika, który przekłada papiery i wzdycha za bliżej nieokreślonym, artystowskim życiem. Na szczęście w tym momencie kelner postawił przed nami drinki i uratował nas przed niebezpiecznym zwrotem w konwersacji.

- Od jak dawna pracujesz w kancelarii Holworth, Barnes i Steingold? - zmieniłam temat, dumna, że zapamiętałam pełną nazwę firmy Richarda. Liczyłam, że tym samym skieruję rozmowę w rejony bliższe zagadnieniu, które roboczo nazwałam „Hank jako materiał na męża idealnego”.

- Od dziesięciu lat. A od dwóch jestem ich współnikiem. - Kosztowny uśmiech Hanka odbił się błyskiem w jego oczach. Albo tak mi się wydawało. Jedno było pewne - znowu pomyślałam, że należy do ludzi z dużą forszą.

- Musisz mieć ciekawą pracę. A jakie sprawy najczęściej prowadzisz? - zapytałam i uświadomiłam sobie, jak straszną pomyłkę popełniłam.

Hank natychmiast zaczął niesłychanie drobiazgowo opowiadać - a miało to trwać niemal równą godzinę - o sprawach, w jakich się specjalizuje. Z całą odpowiedzialnością mogę stwierdzić, że prawo korporacyjne nie nadaje się na temat luźnej pogawędki z udziałem niewtajemniczonych. Hank gadał, całkiem nieświadomy nudy, którą wokół siebie roztacza, a ja wpatrywałam się w rudawą kępkę na jego łysinie. Wyglądała jak owłosiona wyspa. Ciekawe, czy chociaż raz pomyślał o ogoleniu głowy na łyso?

Na szczęście w końcu uświadomił sobie, że jego pozbawiona ładu i składu przemowa trwa za długo.

- No, to wystarczy tych opowieści o sobie. Teraz ty powiedz, co o mnie myślisz?

Zaśmiałam się najmilej, jak umiałam. Czas przeznaczony na randkę z Henrym nie był całkiem stracony.

W końcu dopiero wchodziłam w świat randek, prawda?

Wyznanie: *Okazuje się, że całkiem zapomniałam, na czym polega sztuka zmywania się w odpowiednim momencie.*

Kiedy Hank odstawił mnie pod drzwi, byłam na lekkim rauszu. Wszystko dlatego, że w złudnej nadziei lepszej zabawy wlałam w siebie trzy szprycery na pusty żołądek.

- Dzięki za miło spędzony czas - powiedziałam ze szczerym, w moim przekonaniu, uśmiechem.

W końcu to był miło spędzony czas. Alkohol rozgrzał mi krew i z lekka przytępił rozum. Jak inaczej mogłabym wyjaśnić słowa, które wymknęły mi się z ust przy pożegnaniu:

- Powinniśmy umówić się kiedyś na kolację. Dlaczego? Dlaczego powiedziałam to fatalne zdanie? Czułam, jak buntują się resztki moich zdrowych zmysłów.

Ale dopiero na widok jego twarzy rozkwitającej w pewnym sobie uśmiechu zdałam sobie sprawę, co zrobiłam. Ten uśmiech wyrażał pełną satysfakcję. Hank uznał, że mnie ma.

- Jasne - powiedział. A potem pochylił się i - o zgrozo! - pocałował mnie. Na szczęście było to jedynie dotknięcie ust, ale jego okazały się zadziwiająco miękkie. Potem mrugnął do mnie i oddalił się z oczywistym w takich wypadkach zapewnieniem, że do mnie zadzwoni.

A ja wiedziałam, że lepiej się czułam, będąc sama. A teraz Henry Burke myśli sobie, że czekam na jego telefon. Uff!

Wyznanie: *Nie potrzebuję faceta. Przydałaby mi się lobotomia.*

- Powiedz mi, co ty sobie myślałaś? - zapytałam Alyssę następnego dnia rano.

Zadzwoniłam do niej natychmiast po przyjściu do redakcji - częściowo po to, żeby dowiedzieć się, co według niej mogło mnie pociągać w Hanku, częściowo po to, żeby odwlec pisanie tekstu o roboczym tytule „Opanuj swoich przyszłych teściów, zanim ich poślubisz”.

- Chciałaś prawnika - odpowiedziała Alyssa.

- Czy mówiłam, że ma być niski i łysy?

- Wydawał się całkiem miłym facetem. Ciepłym. Sympatycznym.

- I słusznie. Był sympatyczny. Być może to ja uzależniłam się od przystojniaków.

- Być może uzależniłaś się od Derricka.

- Wiesz, nawet gdyby nie zadzwonił...

- Derrick do ciebie zadzwonił?!

O rany! Powinnam bardziej uważać.

- Uhm. W poniedziałek wieczorem. Wydaje mi się... Wydaje mi się, że mu mnie brakuje...

- Jasne, że mu ciebie brakuje - przytaknęła. - Więc zainwestował półtora dolara w rozmowę telefoniczną. I tyle - dodała bezlitośnie. - Mężczyźni to straszni egoiści, Emmo. Obchodzi ich tylko to, czego sami chcą i czego sami potrzebują. I nawet nie zauważają, czyje uczucia depczą po drodze.

Coś było nie tak. Alyssa, osoba kochająca cały gatunek ludzki, mówi takie rzeczy?

- Co się stało? - zapytałam podejrzliwie.

- Mnie?

- Nie zrozum mnie źle, ale nigdy nie uważałam cię za tropicielkę zła w duszach mężczyzn.

Alyssa westchnęła ponuro.

- Pokłóciliśmy się wczoraj z Richardem.

- O co?

- Najprościej mówiąc - o seks.

To dobry znak. Jeśli w grę wchodzi namiętność, można mieć nadzieję.

- Co się stało?

- Zrobiłam żalosny wysiłek w celu ratowania naszego życia intymnego. Zaplanowałam romantyczny wieczór - kolację przy świecach. Potem obściskiwaliśmy się trochę na kanapie. A kiedy postanowiliśmy przenieść się do sypialni, poszłam na chwilę do łazienki. Na trzy minuty, nie dłużej. A kiedy wróciłam, Richard spał w najlepsze.

- Może podałaś na kolację za dużo węglowodanów? Pamiętasz, zjadłam kiedyś twój piław i dosłownie skosiło mnie z nóg.

- Nie próbuj go usprawiedliwiać, Em. Ja też przez chwilę miałam taką ochotę. Położyłam się obok niego. Zaczęłam go całować. Myślisz, że się obudził? Przewrócił się na drugi bok i mruknął, że jest zmęczony. Zaproponował, żebym z tym poczekała.

- Może był zmęczony? Przecież niedługo ma zostać współnikiem w swojej kancelarii. To naprawdę wymaga wysiłku. Nie mówiąc o stresie i...

- Emma!

- Dobrze, już dobrze. Nie szukam dla niego usprawiedliwień. Próbuję ci uświadomić, że mógł być naprawdę zmęczony.

- Powód jest nieważny. Ważne jest to, że może stracić dziewczynę. Jeżeli Jason proponuje mi teraz jakieś wspólne wyjście, nie mam zamiaru odmawiać.

- O, przepraszam! Nie próbuj korzystać z kłótni, żeby usprawiedliwić przed sobą, że cudowny doktor Carruthers obudził w tobie erotyczne pragnienia. To marna wymówka.

- Marna, czy nie, ale tak się teraz czuję. A poza tym mam dość. Kto powiedział, że to kobiety mają wciąż na nowo rozpalać namiętności? Wiem, że ktoś musi to robić - po to, żeby ludzie mogli być razem. Małżeństwo byłoby martwą instytucją, gdyby nie nasze wysiłki. Ale wiesz co? Skoro tak jest, powinniśmy pozwolić umrzeć tej instytucji!

Jeśli Alyssa nie chciała już nic robić, żeby być z Richardem - jedynym idealnym mężczyzną w całym Nowym Jorku, ja nie miałam tu nic do powiedzenia.

ROZDZIAŁ SIÓDMY

„Tak naprawdę miłość nie ma z tym nic wspólnego”

- Alyssa Reynolds, narzeczona w odwrocie

Wyznanie: *Zrozumiałam, że małżeństwo najlepiej zostawić tym, którzy są naprawdę zaangażowani - albo chorzy psychicznie.*

Alyssa złapała istotę sprawy. Uświadomiłam to sobie, siedząc na kolegium redakcyjnym i słuchając Patrycji, która właśnie wstała i zwróciła się do nas z poważną miną.

- Sprzedaż pisma spada - zaczęła. - Nawet numery wiosenny i letni, które zawsze mają największy nakład, sprzedawały się źle. I mimo że możemy tłumaczyć to zmianami na rynku i większą konkurencją, teraz za wszelką cenę trzeba stworzyć produkt, który pobije inne na głowę...

Może to znak, pomyślałam, rozglądając się dookoła i patrząc na „zameżne”. Uświadomiłam sobie, że większość z nich bynajmniej nie wie o wymarzonego życia, jakiego zapowiedzią miał być wspólny ślub. Wśród młodszego personelu małżeństwa należały raczej do rzadkości. W gronie młodszych redaktorów były tylko dwie dziewczyny połączone ślubnym węzłem - na razie trwałym, oraz Rebeka - o krok przed zaręczynami, przynajmniej we własnych oczach. Kiedy skończyłam przegląd, dotarło do mnie, że w piśmie, którego racja bytu

opiera się na instytucji małżeństwa, ponad połowa pracowników jest samotna, rozwiedziona lub obojętna na ten problem.

Nagle zorientowałam się, że jako osoba samotna jestem jak najbardziej na fali.

- ...Ponieważ ciekawi mnie, jak waszym zdaniem można poprawić sytuację naszego magazynu i podnieść je o półkę wyżej, żeby pobić konkurencję - mówiła właśnie Patrycja - chciałabym zamienić resztę zebrania w burzę mózgów. Czekam więc na wasze pomysły.

Może sprawiła to adrenalina buzująca mi w żyłach w związku z niedawną antymażeńską konkluzją? A może po prostu uległam dziwnemu przymusowi wygłoszenia kilku błyskotliwych uwag, nawet kosztem swojej kariery? Nie myślałam, że narażam się na niebezpieczeństwo, przerywając ciszę, jaka zapadła w pokoju, kiedy Patrycja skończyła.

- Może sprzedaż spadła, bo małżeństwo wyszło z mody? - powiedziałam. Wszyscy zwrócili się w moją stronę, a ja z wielkim trudem próbowałam się roześmiać. - Chodzi o to, że może teraz jest mniej panien młodych niż kiedyś - wycofywałam się rakiem, żeby uratować siebie od dalszej hańby. - W końcu - mówiłam coraz szybciej - kobiety coraz później wychodzą za mąż. Może nasz rynek się... zestarzał.

Patrycja patrzyła na mnie z namysłem i wydawało się, że rozważa moje słowa, ale ja gotowa byłabym przysiąc, że marszcząc brwi, zadaje sobie pytanie, czy rozsądnie jest trzymać kogoś takiego w redakcji. Że o awansie nie wspomnę.

Nagle odezwał się inny głos. Ktoś pospieszył mi na ratunek. Była to, o dziwo, Rebeka.

- Może Emma ma rację - powiedziała. - Może kładziemy zbyt duży nacisk na młode panny młode. Dwudziestokilkuletnie kobiety, które idą do ołtarza po raz pierwszy w życiu.

Wychyliłam się w przód, czekając, aż moja idiotyczna uwaga nabierze sensu. Patrycja też czekała, wpatrując się z nadzieją w Rebece.

- Może należałoby zrobić numer poświęcony starszym pannom młodym. Kobietom, które być może dłużej zwlekały z małżeństwem. Albo - tu spojrzała na mnie ciepło, jakby na mojej pozbawionej wyrazu twarzy szukała inspiracji - pannom młodym, które stają na ślubnym kobiercu po raz drugi czy trzeci.

Nagle pomyślałam o zbliżającej się ceremonii mojej matki. Teraz przynajmniej wiedziałam, skąd Rebeka czerpała inspirację. Oniemiała, przyglądałam się reakcjom innych.

- Ale istnieje już takie pismo - ktoś zaoponował.

- Nie sugeruję całkowitej zmiany kierunku - broniła się Rebeka. - Można by jednak z tego uczynić temat numeru. Albo nawet regularną kolumnę i w ten sposób zdobyć obie części rynku: idące do ołtarza po raz pierwszy i starsze panny młode.

Patrycja promieniała. Już to napełniło mnie niepokojem. A potem wypaliła:

- Wspaniały pomysł, Rebeko. Może rozwinęłabyś nieco temat powtórnego ślubu. Zastanów się nad tematami innych artykułów. Moglibyśmy nawet puścić coś w następnym numerze.

- Potem jej wzrok spoczął na mnie. Z nieco złośliwym błyskiem w oku rzuciła: - Ty, Emmo, zajmij się kobietami, które wychodzą za mąż po trzydziestce i około czterdziestki. Zobaczymy, co wam przyjdzie do głowy. W zależności od ilości materiału można by nawet zrobić dwa oddzielne numery.

Spojrzałam na Rebece. Uśmiechnęłam się niepewnie w odpowiedzi na jej triumfalne spojrzenie. Boże, w co ja się wpakowałam?

Wyznanie: *Nie uporałam się z własną wredną złośliwością.*

- A najbardziej wkurza mnie to... - powiedziałam do Jade, którą wyciągnęłam do baru. Chciałam alkoholem splukać wściekłość i poczucie klęski. - ...Że tak jej gładko poszło. Jakby to ona napisała scenariusz całej sytuacji.

- Więc co zamierzasz zrobić? - zapytała Jade.

- Muszę przynajmniej spróbować stawić jej czoło. Co innego mi pozostaje? Moja starsza panna młoda kontra jej powtórna panna młoda. Założę się o spore pieniądze, że ona radośnie przepytam mnie na okoliczność trzeciego zamążpójścia mojej matki, po czym zbierze za to pochwały. Rzecz w tym, że Patrycja już uważa, iż to był pomysł Rebeki.

- A nie był?

- Zainspirowała ją przede wszystkim moja matka! Jade odstawiła drinka i przyjrzała mi się uważnie.

- Co?

- Nic - odparła, po czym znowu podniosła kieliszek i rozejrzała się dookoła. - Dlaczego zawsze po pracy przychodzimy do tego baru?

- Bo jest w połowie drogi między twoją i moją redakcją? - podpowiedziałam, wciąż łamiąc sobie głowę, co takiego pomyślała Jade. Dlaczego nie chciała podzielić się ze mną swoimi wnioskami?

- Hm. Mnóstwo tu europejskiego śmiecia. Nigdy wcześniej tego nie zauważyłam.

- Wiem, co myślisz - wyrzuciłam z siebie. - Uważasz, że Rebeka nadaje się na to stanowisko bardziej niż ja.

- Nie powiedziałam...

- Nie musiałaś. Sama widzę. Myślisz, że ona zasługuje na awans, a mnie należy się kolejne kilka lat niewolniczej pracy i czekania, aż ktoś zauważy, że mam najlepsze pióro w całej tej cholerniej redakcji!

Wychyliłam drinka jednym haustem i odstawiłam głośno kieliszek.

- Masz najlepsze pióro w całej tej cholerniej redakcji - powiedziała Jade. - Ale to jeszcze nie znaczy, że od razu zostaniesz królową. Wiesz tak samo dobrze jak ja, że każdy kierownik zaczyna jako lizus. A ty absolutnie nie jesteś typem lizusa.

- Rebeka też nie.

- Tak, ale niezła z niej suka. To drugi gatunek ludzi, którzy zostają szefami.

- Wyobrażam ją sobie, jak kopie i wrzeszczy, bo nie dostała awansu. Miała podobno ochotę zarębać Nasha, kiedy w zeszły weekend nie obdarował jej wielkim kamieniem - uśmiechnęłam się z ulgą.

- Naprawdę? - parsknęła Jade.

- Najwyraźniej się pomyliła, prognozując swoje zaręczyny. Zaczynam się zastanawiać, czy Nash wie, że jego związek jest poważny.

- Mężczyźni miewają problemy z ustaleniem, czy bzykają się tylko dla bzykania, czy bzykają się z zamiarem małżeństwa.

Postawiłam sobie pytanie, jak się czuję jako kobieta, którą Derrick bzykał tylko dla bzykania. Bo najwyraźniej nie zaliczałam się do tej drugiej kategorii.

- Na przykład Enrico - ciągnęła Jade, rozkręcając się coraz bardziej. - Gdy jadę bez niego na weekend na Fire Island, zachowuje się tak, jakbyśmy byli zaręczeni. A kiedy tańczymy razem, jestem najwyraźniej tylko dziewczyną, z którą się bzyka.

Albo będzie bzykał, jeśli wypadki potoczą się we właściwym kierunku.

- Więc twoim zdaniem to stary jak świat problem podwójnych kryteriów ocen?

- Nie. Twierdzą tylko, że faceci to dupki.

Spojrzałam na Jade. Zapaliła papierosa i zaciągnęła się mocno.

- Dlaczego nie chcesz spotykać się z Enrikiem na serio? - zapytałam.

- Jest za młody. A zresztą, abstrahując od zabójczego ciała, nie jest w moim typie.

- A jaki jest twój typ?

- Lubię, no, wiesz, tatuaże. Szczyptę ostrości. Facetów takich jak... Ted. - Westchnęła. - Ale wiesz, jak to jest: ci, którzy ci się podobają, nigdy więcej nie dzwonią.

Nagle zrobiło mi się przykro, że nie umiem wymyślić niczego, co mogłoby podnieść ją na duchu.

- Ja niestety mam niemal pewność, że Henry Burke do mnie zadzwoni. Zwłaszcza że jest niski, łysy i zupełnie niepociągający.

- Rany! Miałam przecież zapytać, jak ci poszło. Ale słyszę, że chyba niezbyt dobrze, co?

- Nie chciało mi się nad nim popracować. Nie byłam w stanie wykrzesać z siebie nawet iskry zainteresowania.

Jade zgasiła papierosa.

- Ostatnia rzecz, jakiej ci teraz trzeba, to program pracy nad mężczyzną. Uwierz mi, przerabiałam to - od razu wiedziałam, że miała na myśli Michaela oraz swoje próby wyprowadzenia go z impotencji - nieważne - pochlebstwami czy poprzez klasyczne uwiedzenie. Wszystko na próżno.

- A najbardziej dziwi mnie fakt - ciągnęłam dalej - że to Alyssa go wybrała. Wiedziała, jak wygląda, a mimo to uznała, że może mi się spodobać. To nieco... obraźliwe.

- No cóż, tak to jest z randkami w ciemno. Czy koleżanka umówiłaby cię z facetem, którego sama chce zaciągnąć do łóżka?

- Alyssa ma Richarda. Ona nie rozgląda się za... - ugryzłam się w język, bo przypomniałam sobie Jasona Carruthersa, psiego doktora i pożeracza serc niewieścich.

Jade spojrzała na mnie spod uniesionych brwi i wychyliła drinka.

Z westchnieniem przywołałam kelnera.

- Poproszę następną kolejkę.

- Ja też - powiedziała Jade. - Słuchaj! Mam kilka wejściówek na przyjęcie z okazji prezentacji nowego miesięcznika dla panów. Nazywa się „Męskie Interesy”. Przyjdź i sama wybierz faceta, który ci się spodoba.

- Naprawdę sądzisz, że umówię się z mężczyzną związanym z pismem, które całą uwagę poświęca... hm... męskim interesom?

- Przecież faceta, z którym chodzisz do łóżka, nie trzeba lubić. Znam kilku modeli, którzy pracowali przy pierwszym numerze. Są zabójczy.

- Wiesz, co myślę o modelach.

- Emmo, tam będą mężczyźni różnego rodzaju. Redaktorzy. Pisarze. - Uniosła brwi. Wiedziała dobrze, że to mój słaby punkt.

- Dobrze. O której mam tam być? I gdzie? Podała mi wszystkie namiary.

- Przynajmniej wiem, w co się ubrać. - Myślałam o stroju z randki z Henrym.

Jeszcze nie wszystko stracone. W Nowym Jorku pełno jest interesujących mężczyzn. Na pewno znajdę kogoś, kto wyleczy mnie z post-Derrickowej depresji.

Wyznanie: *Odkrywam nadzieję - i nowy krem do peelingu.*

Po powrocie ze spotkania z Jade odsłuchiwałam na automatycznej sekretarce wiadomość od Hanka, z której wynikało, że wczoraj było mu miło i że bardzo liczy na ponowne spotkanie. Zdecydowanie poprawiło mi się samopoczucie. Nagle stałam się Rozchwytywaną Kobietą. Nie odważyłam się oddzwonić. Nie tylko dlatego, że umawianie się w piątkowy wieczór wyglądałoby na objaw desperacji. Przede wszystkim dlatego, że jak najdłużej chciałam czuć się kobietą pożądaną. Istniało ryzyko, że bezsensowna paplanina albo próby splanowania Hanka mogą zepsuć mój dobry nastrój.

Dodajmy do tego fakt, że miałam zaproszenie na najbardziej wyczekiwane przyjęcie w mieście.

Zamierzałam zrobić sobie także prezent w postaci peelingu całego ciała przy użyciu nowego, brzoskwiniowego kremu. Gdy moja skóra osiągnęła już dziecięcą gładkość, a palce u nóg lśniły ponętnie, zakopałam się w świeżej pościeli z dobrą książką. Byłam tak zadowolona z siebie, tak warta męskiego zachodu, że przez chwilę rozważałam, czy nie zatelefonować do Derricka. Przecież ja też miałam jego numer. Ale potem uświadomiłam sobie, że rozmawialiśmy niecały tydzień temu i żeby do niego zadzwonić, musiałabym mieć jakiś wyjątkowo dobry pretekst.

Zaczęłam główkować. Sytuacja, w której postawiła mnie Rebeka, byłaby niezłym tematem, gdyby nie to, że niepokoje zawodowe wydawały mi się w tym momencie dziwnie nieistotne. Nie mówiąc o tym, że za nic nie naraziłabym na szwank swojego wizerunku „wybitnej redaktorki u progu zasłużonego awansu”. Potem przypomniałam sobie, że Derrick nie wie jeszcze o ślubie mamy. Tak! To bez wątpienia był doskonały pretekst. Sięgałam już po słuchawkę, ale zawałam się. Jednak byłoby lepiej, gdyby to on do mnie zadzwonił...

I wtedy telefon się odezwał. Serce prawie wyskoczyło mi z piersi. Czy to możliwe, że łączy nas duchowa więź i Derrick z odległości pięciu tysięcy kilometrów wyczuwa, że go potrzebuję?

- Halo? - rzuciłam niskim, zmysłowym głosem.

- Jesteś w domu? - głos matki był ostry od niedowierzania.

Musiałam teraz przypominać przekłuty balonik.

- Tak - odpowiedziałam ze złością.

- Wszystko w porządku?

- W idealnym porządku, mamó, w idealnym. Jak się masz? Byłaś już u pierwszej przy-
miarki?

- Och, nie, jeszcze za wcześnie - zaprotestowała. - Poza tym muszę stracić kilka kilo-
gramów, chociaż Clark, dzięki Bogu, uważa, że wyglądam znakomicie.

- Wyglądasz doskonale, ale możesz poczekać, jeśli chcesz. Nie ma się co spieszyć.

- Tak, myślę, że jeszcze trochę poczekam. Zresztą, tylu rzeczy trzeba dopilnować - na
przykład rejsu. Zarezerwowałam kajuty.

- Śpię z babcią, tak?

Nawet nie warto szukać faceta, którego można by zaciągnąć na ten piekielny, weselny
rejs.

- Właściwie to macie z babcią Zizi dwupokojowy apartament. Będziesz blisko, gdyby
potrzebowała pomocy, ale masz też odrobinę prywatności, gdybyś, eee... jej potrzebowała. -
Zachichotała jak mała dziewczynka.

Poczułam się jeszcze gorzej. Wyglądało na to, że nadzieje mamy co do mnie zeszły do
poziomu wycieczkowego romansu.

- Mogę mieć do tego czasu chłopaka, kto wie?

- Och, Emmo, to byłoby wspaniale.

Może sprawił to tęskny ton głosu mamy. A może budząca nadzieję, mrugająca lampka na
automatycznej sekretarce, dość że wyrzuciłam z siebie:

- Wczoraj byłam na randce. Z prawnikiem. Wspólnikiem w firmie Richarda.

- Ze wspólnikiem! W firmie Richarda? Richarda Alyssy? - Usłyszałam, jak bierze głębo-
ki wdech. - Och, Emmo, to cudownie. No, bo Richard... sam w sobie jest niezłym kąskiem.

Należałoby powiedzieć to Alyssie.

- No, tak. To miły gość i w ogóle.

- Jak się nazywa?

- Eeee, Henry. Właściwie Hank. Hank Burke.

- Przystojny?

- Cóż...

- Zresztą dla ciebie to i tak bez znaczenia. Weź na przykład Derricka.

- Co z Derrickiem?

- Och, przepraszam, kochanie, nie chciałam cię urazić. Jednak on zawsze wydawał mi się nie dość atrakcyjny. Przecież ty jesteś piękna...

- Derrick był przystojny! - krzyknęłam.

Nie mieściło mi się w głowie, że ktokolwiek mógł kwestionować czar oczu, w które wpatrywałam się przez dwa cudowne lata. Że nie dostrzegł jego boskich ust...

- Wydawał się trochę... toporny. Ale co ja tam wiem? Mam pięćdziesiąt dziewięć lat!

- Jade uważała, że jest przystojny. Alyssa też - protestowałam jak małe dziecko. Jednocześnie desperacko próbowałam przypomnieć sobie, czy kiedykolwiek powiedziały coś o wyglądzie Derricka.

- Och, Emmo, jakie to ma teraz znaczenie?

- Jakie to ma znaczenie?! - wykrzyknęłam, najeżona ze złości. - Takie, że ja go Kocham!

W telefonie zapadła pełna troski cisza.

- Emmo, to niezdrowe...

- Mamo, proszę - zaczęłam błagalnie. - Nie częstuj mnie teraz jedynie słusznymi bzdurami o tym, że należy pomagać samemu sobie.

Tym razem cisza była chyba wypełniona bólem.

- Przepraszam - starałam się wycofać. - Nie chciałam, żeby to tak zabrzmiało. Tylko... czy mogłybyśmy zmienić temat?

- Dobrze. Sama nie wiem, dlaczego odeszliśmy od tematu wielkiej randki z wziętym prawnikiem, żeby rozmawiać o... Derricku! - Nawet nie próbowała ukryć, że sam dźwięk jego imienia budzi w niej niechęć. - Może opowiesz mi o tym Hanku? Kiedy znowu się spotkacie?

- Nie spotkamy się.

- O czym ty mówisz?

- Nie mogę, mamo. Nie jestem... zainteresowana.

- Och, Emmo. - Potem znowu zapadła cisza. - Przysięgam, że to ostatnia rzecz, jaką usłyszysz ode mnie na temat Derricka, ale muszę to powiedzieć.

- Wal.

- Musisz o nim zapomnieć. Musisz żyć dalej. W głębi ducha też dobrze o tym wiedziałam.

Wyznanie: *Kobiecie nie jest potrzebny mężczyzna, tylko przestronne mieszkanie, najlepiej przerobione ze strychu, oraz duże dochody.*

Następnego dnia w uszach nadal dźwięczały mi słowa mamy. Wstałam, jak automat wyłączyłam telefon i zabrałam się do szorowania kuchni. Kiedy doprowadziłam ją do połysku, podjęłam decyzję: wyrzucam z głowy mrzonki o Derricku, idę z Jade na bankiet i dobrze się bawię.

Włożyłam nową kloszową spódnicę, wyjęłam z szuflady ulubiony czarny top na każdą okazję i - puściły mi nerwy.

Zamierzam pojawić się w najmodniejszym miejscu w Nowym Jorku, a nawet nie zadałam sobie trudu, żeby kupić nową szminkę. Dobrze, że mam przynajmniej seksowne klapki i świeżo pomalowane paznokcie u nóg...

Umówiliśmy się, że wpadnę po Jade, której strych w Soho miałam po drodze. Jak zwykle przyszłam za wcześnie. Jade błagała przez domofon, żebym weszła na górę. Oznaczało to zwykle, że spędzę tam co najmniej pół godziny, przyglądając się, jak kończy makijaż i poprawia fryzurę.

Lecz gdy drzwi windy otworzyły się w jej mieszkaniu - tak, Jade mogła sobie pozwolić na jeden z tych strychów - leżała na kanapie z kryształowym, smukłym kieliszkiem w dłoni.

- Jesteś gotowa? - zdziwiłam się, kiedy drzwi windy zamknęły się za mną bezszelestnie.

- Tak. Ale jest jeszcze wcześnie. Chodź, siadaj. Napij się szampana.

- Szampana? - Zdziwiona odłożyłam torebkę na kuchenny blat. - A z jakiej to okazji?

Zerwała się z kanapy i ruszyła na bosaka w moją stronę.

- Jade została przebzykana. - Zatrzymała się przede mną.

- Żartujesz - odparłam, ale po pełnym satysfakcji uśmiechu poznałam, że nie żartuje.

Otworzyła szafkę, wyjęła z niej kieliszek dla mnie.

- Enrico jest spełnieniem moich marzeń. A nawet je przekracza.

- Tak?

- Chłopiec ma nie tylko milutki sprzęt, ale wie, jak go używać.

- Nigdy w to nie wątpiłam. Zdziwiła mnie tylko, jakim cudem możesz oceniać wyposażenie faceta z odległości stu metrów.

- W tym wypadku dodatkowym plusem był wiek, przynajmniej w kwestii wytrzymałości. W ciągu ostatnich dwudziestu czterech godzin uprawiałam seks pięć razy. Trzy razy zeszłej nocy. Dwa razy rano.

- Za młodość - powiedziałam, stukając się z nią kieliszkiem. - Więc gdzie się dzisiaj podziewa nasz wspaniały młody ogier? Idzie z nami?

Wychyliła resztę szampana.

- Całe popołudnie próbowałam się go pozbyć.

- Całe popołudnie?

- Tak, powiedziałam mu, że mam plany na wieczór, i on znowu zaczął być zaborczy. Skłamałam, że ty i ja wybieramy się na kolację i do kina. Babski wieczór.

Nie ma to jak Jade. Wkurza ją facet, któremu zależy tylko na tym, by cały czas być z nią.

- Ciesz się tym, Jade. Spojrzała na mnie.

- Taki mam zamiar. Nie zrozum mnie źle. Nie zamierzam zostawić faceta, który jest chętny, gotowy i dobrze wyposażony. Mnie nie zależy na tym samym, co tobie. Ja nie tęsknię za stałym związkiem. Gdybym tego chciała, nie umawiałabym się z dwudziestodwulatkiem, prawda? - Odstawiła pusty kieliszek do zlewu i, rzuciwszy okiem na wiszący na ścianie zegar w stylu art déco, powiedziała: - Idę poszukać butów i torebki.

Poszła do sypialni w swojej sukience od Calvina Kleina po równie drogie, jak można się domyślać, buty. Pojawiła się w klapkach od Dolce & Gabbany, płomiennie ruda, z perfekcyjnie rozwichrzonymi włosami podkreślającymi regularne i lekko egzotyczne rysy. Zrozumiałam wtedy, że może to moje ubóstwo pcha mnie do nerwowych poszukiwań Bratniej Duszy numer dwa. Może gdybym miała strych w Soho, szafę pełną modnych ciuchów i budżet, umożliwiający wymianę mebli co dwa lata, nie oglądałabym się za mężczyznami z taką zapamiętałością?

- Gotowa? - zapytała Jade, zaciskając wargi, żeby wyrównać szminkę.

Gotowa jak nigdy, pomyślałam, idąc za nią do windy. Wprawdzie nie miałam ani mieszkania, ani dużych dochodów, ale co, do licha? Dziś wieczorem żyję życiem Jade. Jestem silną kobietą.

Wyznanie: *Moje dotychczasowe wcielenie potulnej narzeczonej nie przygotowało mnie do występów na klubowych scenach.*

Dotarliśmy do klubu taksówką. Zwyciężyła opcja Jade, wbrew moim protestom, że tak krótki odcinek możemy spokojnie przejść na piechotę. Weszliśmy do słabo oświetlonego pomieszczenia pulsującego muzyką, która skutecznie zagłuszała wszelkie rozmowy prowadzone przez kobiety w obcisłych, krótkich sukienkach i urodziwych, barczystych facetów. Dokładnie w tym momencie uświadomiłam sobie, że mogę to przeżyć tylko w jeden sposób.

- Napijmy się - powiedziałam do Jade, która już zdążyła wypatrzeć wysokiego, uderzająco przystojnego mężczyznę, najwyraźniej jej znajomego. Zamierzała odejść z nim, zanim wstawię się na tyle, żeby ruszyć z wdziękiem za nią.

- Pewnie - odparła, zapominając na chwilę o ponętym towarze, i ruszyła za mną w stronę długiego baru.

Przy barze ledwo wystarczyło miejsca dla nas dwóch. Wyciągnęłam z kieszeni dwudziestkę i zaczęłam nią machać - to był jedyny sposób, żeby oderwać drobną blond barmankę w obcisłym topie na ramiączkach od bandy nadskakujących jej facetów.

Zamówiłam drinki, zapłaciłam i wypiałam spory łyk. Na uspokojenie.

I dobrze, bo zanim się spostrzegłam, jakiś nieznośnie piękny mężczyzna usiadł przed nami. Mnie odebrało mowę, a on otworzył ramiona i uściskał Jade.

- Co u ciebie, słoneczko? - usłyszałam, jak przekrzykuje pulsującą dookoła muzykę.

Stwierdziłam, że to gej. Nie znałam żadnego heteroseksualisty, który zwracałby się do dziewczyny per „słoneczko” z tego rodzaju zaśpiewem.

- To moja najlepsza przyjaciółka, Emma - przedstawiła mnie Jade, gdy jej znajomy skończył już rozplýwać się nad jej wyglądem. - Emmo, to Davis. Pracowaliśmy razem przy stylizacjach dla „Vogue”. Davis robił makijaże do mojego pierwszego materiału. Teraz zajmuje się lepszymi i większymi sprawami.

- Och, przestań. Zaraz się zarumienię - powiedział Davis. Zawsze mnie zdumiewa, że po takiej odzywce każdy facet, choćby nie wiem jak wspaniały, nagle przestaje być dla mnie atrakcyjny.

- Wszystko, co mówię, jest zgodne z prawdą - stwierdziła Jade, po czym znowu zwróciła się do mnie: - Davis jest makijażystą w telewizji. Patrzysz na faceta, dzięki któremu Heather Locklear w „Melrose Place” wygląda tak atrakcyjnie.

Kilka godzin i kilka drinków później nie potrzebowałam już Jade. Przedstawiałam się jako pisarka licznym ludziom, których poznawałam, przechadzając się, tańcząc i przesiadując na długich, skąpanych w szkarłatnym świetle sofach na tyłach klubu. Oswoiłam już swoją nową

osobowość - raz, że miałam za sobą trzy drinki; dwa, uznałam, że lepiej mówić o swoim prawdziwym powołaniu, niż prowadzić bezsensowne pogaduszki, jak to zwykle na przyjęciach. Odzukałam Jade, która wirowała dziko na parkiecie z tryskającym jeszcze większą energią Davi-sem.

- Spadam stąd! - wrzasnęłam, dotykając jej ramienia, żeby zwrócić na siebie uwagę.

Spojrzała na mnie ze zdziwieniem.

- No, dobra. Ja też zaraz idę. Jeszcze jeden taniec, dobrze? - powiedziała błagalnie.

Nie byłam w stanie oprzeć się prośbie, jaką dostrzegłam w jej oczach.

- Będę w holu - powiedziałam.

Kiwnęła głową. Odeszłam i opadłam z wdzięcznością na pierwszą wolną sofę, jaką spotkałam.

Naprzeciwko widziałam obściskującą się parę. Uznałam ich za dwójkę zdesperowanych ludzi, czepiających się siebie w poszukiwaniu jakiego bądź uczucia. I kiedy tak pomniejszałam ich we własnych oczach, moja świadomość zasygnalizowała niepokojącą obecność wysokiego, ciemnowłosego mężczyzny, który stał w wejściu. Był cudownie przystojny i wydawał się w swoisty sposób ekscentryczny, co uwielbiałam.

Zmobilizowałam wszystkie siły, żeby się na niego nie gapić. Tak bardzo starałam się robić wrażenie obojętnej, że zaczęłam się bać, że mogę wysyłać negatywne sygnały. Usiądź, usiądź, wołałam rozpaczliwie w myślach, bojąc się podnieść na niego oczy.

Albo usłyszał moje niewypowiedziane błagania, albo też kanapa, na której siedziałam, była dogodnie usytuowana, w każdym razie cud się zdarzył: mój nowy, wymarzony mężczyzna usiadł koło mnie.

Zapadłam się głębiej, przybierając rodzaj obojętnej, omdlewającej pozy.

- Czy jesteś tak samo znudzona tą imprezą, jak ja? - zagadnął nagle.

Poczułam coś w rodzaju ulgi. Lecz trwało to tylko przez chwilę. Bo gdy odwróciłam się, żeby spojrzeć na mój nowy ideał, zobaczyłam, że jest jeszcze przystojniejszy, niż zdawało mi się na początku. I nosił okulary! Jak mogłam nie zauważyć?

- Bardzo - zdołałam w końcu z siebie wydusić. - To nie mój żywioł. Kluby.

Nawet nadawaliśmy na tej samej fali. Po dwóch latach weekendów spędzanych wspólnie z Derrickiem i starannie wybranym, niezależnym filmem z lokalnej wypożyczalni wideo, wykształciłam w sobie silny wstręt do wszelkiego rodzaju romansów, wymagających spędzenia wieczoru z grupą spoconych obcych sobie osób zgromadzonych w słabo oświetlonym lokalu.

- Jestem tu pierwszy raz. I chyba ostatni - powiedziałam, wznosząc oczy do góry i licząc na to, że pokazałam, iż jestem zwarta i gotowa zrezygnować z tego wspaniałego życia na rzecz czegoś bardziej statecznego i pełnego znaczenia.

Wydawał się typem filozofa. Wywnioskowałam to na podstawie koszuli bez kołnierzyka, w której wyglądał jak klasyczny naukowiec. Albo ktoś w tym rodzaju.

- Maks Van Gelder. - Wyciągnął do mnie rękę.

- Emma Carter - odparłam z uśmiechem.

- Emma. Dobre, solidne imię. Jakbyś wyszła prosto z angielskiej powieści.

A więc typ literacki, pomyślałam, a serce zaczęło mi walić szybciej.

- Tak, coś w rodzaju Clarissy, gdy rzucił ją Lovelace - odpowiedziałam żartem, zanim do mnie dotarło, że zabrzmiało to jak uwaga zgorzkniałej, niedawno porzuconej eks-narzeczonej, którą byłam.

Lecz on tylko się zaśmiał. Spodobał mi się ten głęboki dźwięk. Silny. Pewny siebie.

- No, no - powiedział. - Niech zgadnę. Pewnie też jesteś pisarką.

Też?

- Tak - parsknęłam beznadziejnie. - Skąd wiesz?

- Bo tylko osoba oddana słowu zawracałaby sobie głowę czytaniem reszty „Clarissy” po tym, jak - jak to ujęłaś - Lovelace ją rzucił.

Oddana słowu. Spodobało mi się to.

- Czy pisujesz dla, eee, „Męskich Interesów”? - zapytałam.

- Nie. Jestem tu tylko dlatego, że przyciągnął mnie przyjaciel. Pracuję jako wolny strzelec. W tej chwili piszę dla „New Yorkera” artykuł o transcendentalizmie i odnowie Times Square.

Kurczę. To nie moja liga.

- „New Yorker"! To niesamowite.

- No, tak... - Uśmiechnął się ujmująco skromnie. - Muszę pisać, żeby mieć z czego płacić rachunki, kiedy pracuję nad powieścią. A ty co piszesz?

Powieść. On pisze powieść. Moje własne, niespełnione marzenie stanęło mi przed oczami.

- Powieść? - zignorowałam jego pytanie.

Lepiej zostawić „Twój Ślub” na boku, aż będę miała pewność, że złapał się na mój wdzięk i humor.

- To właściwie już druga - odparł i znowu się uśmiechnął. Powoli zaczynałam się uzależniać od tego uśmiechu. - Pierwszą trzymam pod łóżkiem.

- Lepiej pod łóżkiem niż tylko w głowie - powiedziałam i zostałam nagrodzona, bo parsknął wspaniałym śmiechem.

- Mój agent twierdzi, że w tej kryje się pewien potencjał - ciągnął Maks.

Ma nawet agenta. Nagle poczułam, jak nadzieja zamienia się w rozpacz. Wyobraziłam sobie dzień, w którym on sprzedaje swoją drugą powieść i, jak każdy autor uznany przez „New York Timesa”, wyjeżdża promować książkę oraz szukać lepszego życia beze mnie. Właśnie miałam rzucić autoironiczny żart, że ostatnim moim przedsięwzięciem pisarskim jest kupno nowego komputera, gdy nagle zjawiała się Jade, zarumieniona i, o dziwo, gotowa do wyjścia.

- Chodźmy - powiedziała i dopiero wtedy uświadomiła sobie, że wkroczyła w sam środek jakiejś poważnej sceny. Zaczęła się wycofywać. - To znaczy, jeśli jesteś gotowa, to możemy iść.

To była krytyczna chwila w mojej dobrze się zapowiadającej znajomości z Maksem Van Gelderem, a ja nie wiedziałam, jak z niej wybrnąć.

- Wiesz co - powiedziała Jade, jakby dotarło do niej, że zaraz wszystko schrzanię. - Idę do łazienki. Spotkamy się przed wejściem, kiedy będziesz gotowa.

- Dobrze - odparłam z ulgą.

Odwróciłam się do Maksa, żeby mu przedstawić Jade, ale jej już nie było.

- Rany, przepraszam cię... - zaczęłam.

- Nie ma sprawy. Zresztą sam myślałem, żeby wreszcie opuścić tę spelunę.

Uśmiechnęłam się. Gorączkowo główkowałam, jak zdobyć jego numer telefonu w sposób w miarę naturalny, kiedy zapytał:

- Może dokończylibyśmy kiedyś tę rozmowę nad filiżanką kawy?

- Pewnie - odpowiedziałam, dziwiąc się własnemu szczęściu.

- Masz wizytówkę? - zapytał.

Zaczęłam grzebać w torebce, ale zaraz przypomniałam sobie, że nawet jeśli mam, to nie dam mu wizytówki z tortem weselnym i mottem „Twojego Ślubu”: *Od ponad dekady wcielamy w życie ślubne marzenia każdego*. Nie chciałam go odstraszyć.

- Chyba nie mam przy sobie.

- Poczekaj chwilkę.

Wstał, poszedł do baru, co pozwoliło mi podziwiać przez chwilę jego idealny tyłeczek. Po krótkiej rozmowie z barmanem, który łypnął na mnie ponad ramieniem Maksa i puścił oko, Maks wrócił i wręczył mi długopis oraz papierową serwetkę.

Zapisałam mu swój domowy numer telefonu. Miałam nadzieję, że ręce mi się nie trzęsą z powodu ogromnej radości, jaka mnie przepelniała.

- Cieszę się, że cię poznałam.

- Cieszę się, że poznałem cię - odparł, po czym wziął mnie za rękę i przytrzymał ją na tyle długo, że mrówki przeszły mi po plecach. - Zadzwoń do ciebie, Emmo. - Uśmiechnął się i puścił moją dłoń.

Stałam chwilę, uśmiechając się do niego, gdy nagle przypomniałam sobie, że należy teraz wyjść. Opuściłam hol. Czułam, jak spojrzeniem wypala mi dziurę w plecach. Modliłam się, żeby spódnica nie przykleiła mi się do majtek. I miałam nadzieję, że nie uzna, że mam grubą pupę.

Nie mogłam uwierzyć we własne szczęście. Gdy stanęłam przed Jade, która czekała na mnie, zaciągając się papierosem, poczułam się jak w jakimś dziwnym śnie.

- Mam nadzieję, że nie wyszłaś bez jego numeru telefonu - powiedziała do mnie.

- Dałam mu swój.

- Dobrze. Może wystarczy. Ale na przyszłość pamiętaj, żeby nie dawać swojego numeru.

Zawsze bierze się jego.

Poczułam strach. Czy wszystko już zepsułam?

- Dlaczego? - zapytałam.

- Bo wtedy to od ciebie zależy, czy chcesz się z nim jeszcze spotkać. Ty pociągasz za sznurki.

Cholera. Jeśli Maks Van Gelder postanowi nie zadzwonić, nigdy sobie nie wybaczę tej fatalnej pomyłki.

- Nie martw się tym. Wynosimy się stąd - powiedziała i ruszyła z uniesioną ręką, żeby zatrzymać taksówkę, jeśli jakaś by się tutaj pojawiła.

Zauważyłam, że porusza się dość sztywno. Podbiegłam do niej i zapytałam:

- Wszystko w porządku?

- Doskonałym - odparła, nie patrząc na mnie.

Ale tak nie było. Poznałam po ściągniętych rysach i sposobie, w jaki unikała mojego wzroku.

- Jade...

- No, dobrze. Pokazał się Michael.

- Tutaj?

- Tak. W towarzystwie pięknej brunetki. - Nie odrywała oczu od pustej ulicy. - Gdzie, do cholery, są wszystkie taksówki?

Byłam wstrząśnięta. Tym, że jego widok wyprowadził z równowagi Jade. Po dwóch latach.

- Dobrze się czujesz? - zapytałam.

- Jestem uodporniona na tego dupka.

- Jade...

- Był w dość zażyłych stosunkach z tą brunetką. Może ona wie, co zrobić, żeby mu stał.

- Jeśli tobie się nie udało, to wątpię...

- Czemu miałoby mnie to obchodzić? Znalazłam kogoś, kto wie, co robić z kobietą w łóżku. Naprawdę nie...

- Hej, chodźmy do knajpy - przerwałam jej. - Zjemy śniadanie. Jak w dawnych klubowych czasach.

Chciałam zabrać ją gdzieś, gdzie będzie mogła usiąść i spokojnie wszystko z siebie wyrzucić. Ale zwietrzyła pismo nosem.

- Nie ma mowy - powiedziała. - Wiem, co ci chodzi po głowie, Emmo. Odpuść sobie. - Przytrzymała mi drzwi taksówki, która w końcu zatrzymała się przy krawężniku, i gestem kazała mi wsiadać, po czym ciągnęła dalej. - Już dość łez wylałam z powodu różnych dupków. Wracam do domu i kładę się spać.

Zostawiłam ją w spokoju. Najwyraźniej do tej pory radziła sobie doskonale ze wszystkimi niepokojami. Kim ja jestem, żeby ją zmuszać do rozdrapywania na nowo ran, które zadał jej Michael, skoro sama nie potrafię znaleźć lekarstwa na swoje rany? Lecz niepokoiło mnie, że nawet po dwóch latach rozstanie z Michałem tak bardzo bolało Jade.

Zaczęłam się martwić, że być może istnieją mężczyźni, od których nigdy nie da się odejść...

ROZDZIAŁ ÓSMY

„Istnieją poważne powody, żeby się leczyć” - doktor Steven Coburn, autor poradnika

„Jak przeżyć w amerykańskiej rodzinie”

„Przeczytaj tę książkę!” - Virginia McGovern, matka Emmy Carter

Wyznanie: *Okazuje się, że zaburzenie czai się na odległość telefonu.*

Następnego ranka obudził mnie telefon. Odbił się głośnym, rozszalałym echem w moim przesiąkniętym alkoholem mózgu. Podniosłam słuchawkę, choćby po to, żeby przerwać ten dźwięk.

- Jeszcze śpisz? Jest wpół do jedenastej. Stało się coś?

To był ojciec, pełen moralnego oburzenia, jakie ogarniało go zawsze, kiedy się przekonywał, że żadne z jego dzieci nie odziedziczyło po nim rygorystycznego zwyczaju kładzenia się spać wcześniej i wstawania z kurami.

- Jest niedziela - broniłam się, choć dobrze wiedziałam, że to nie ma sensu.

Ułożyłam sobie słuchawkę wygodnie przy uchu, wtuliłam się w poduszkę i przygotowałam na długą rozmowę. Mój ojciec nie miał zwyczaju dzwonić do mnie w niedzielne poranki bez powodu.

- Nie śpię od wpół do szóstej - powiedział. - Kiepsko ze mną.

- Co się stało?

- Miałem wypadek przy wymianie dachówek. Zwichnąłem sobie prawy bark - wyznał w końcu, niemal ze wstydem. - I złamałem prawą rękę. Ale to nic takiego - bagatelizował sprawę, słysząc, że zaniepokoiłam się nie na żarty.

- Co się dokładnie stało? - zapytałam.

- No, wiesz, byłem na dachu - zaczął. - Wszystko szło dobrze. Założyłem nawet te szelki do wspinaczki górskiej, które dawno temu kupił sobie Shaun. Poniewierały się w garażu. Uznałem, że powinny mi pomóc utrzymać się na tym cholernym dachu. A wtedy, wiesz... Nie wiadomo kiedy znalazłem się na ziemi.

- Szelki pękły?

- Nie mam bladego pojęcia. Według Deirdre były całe. Coś musiało być nie tak z zapięciem. Zadzwoiłem nawet do Berniego. - Ojciec był na „ty” ze swoim prawnikiem. - Ale łajdak nie chciał mnie słuchać. Cały czas powtarzał, że nie mam szans wygrać sprawy.

To wzbudziło moją podejrzliwość.

- Piłeś?

- Nie... - wymamrotał, chociaż szybkość, z jaką udzielił przeczącej odpowiedzi, sprawiła, że zrobiłam się jeszcze bardziej podejrzliwa. - Czy uwierzysz, że ten łajdak nie chce podjąć się tej sprawy?

- Hm... - Podejrzewałam, że to ja mam być ostatnią deską ratunku dla ojca.

Po chwili się przekonałam, że miałam słusność.

- W każdym razie tak sobie pomyślałem... Co porabia ta twoja przyjaciółka, Alyssa? Nadal traci czas i dyplom prawnika na ratowanie lasów tropikalnych?

- Alyssa nie może wziąć twojej sprawy, tato.

- A może ten prawnik, z którym się spotyka? W jakiej kancelarii on pracuje?

- Tato, Richard jest specjalistą od prawa handlowego. Nie zajmuje się... takimi drobiazgami!

- Drobiazgami? Jak możesz? Twój stary tatuś potrzebuje kogoś dobrego. Przecież jestem ranny. Boli mnie ramię.

- Bierzesz coś?

- Oczywiście - odpowiedział. - Ale dali mi za mało. Ramię naprawdę mi dokucza. A na dodatek muszę szukać nowego prawnika. Bo nie pozwolę, żeby tym łajdakom się upiekło. Zapłacą mi kupę kasy. Nie żartuję...

Po wysłuchaniu tyrady na temat niesprawiedliwości na świecie udało mi się uspokoić go obietnicą, że zapytam Alyssę i Richarda, czy mogą polecić mu dobrych prawników od tego typu spraw. Usatysfakcjonowany, zadał kilka zwykłych pytań o to, czy już zarobiłam pierwszy milion i czy znalazłam przyzwoitego męża. Nagle poczułam potrzebę uświadomienia mu prawdy.

- Derrick i ja się rozstaliśmy - wyrzuciłam z siebie.

- Czy dobrze słyszę? - w głosie taty zaskoczenie mieszało się ze współczuciem. - Czyżby ten podlec w końcu się połapał, że nie jest dla ciebie dość dobry?

- Przeprowadził się do Los Angeles. Dostał pracę w studiu filmowym. Poprawia scenariusze.

- Aha - odparł. Wyczułam jego zdziwienie faktem, że Derrick tak dobrze umiał o sobie zadbać. A potem dodał: - Przykro mi, skarbie. Kto wie, może spotkasz jakiegoś miłego prawnika? Wtedy upieczemy dwie pieczenie przy jednym ogniu!

Parsknął śmiechem, żeby mnie rozbawić, a ja pomyślałam o lśniącej łysinie Henry'ego Burke'a. W żadnym razie nie potrafiłabym pokochać tego człowieka, bez względu na to, czego życzyłby sobie mój ojciec. Kiedy już odłożyłam słuchawkę, uświadomiłam sobie, że nigdy jeszcze nie czułam w sobie takiej pustki jak w tej chwili. Miałam niemal absolutną pewność, że ojciec znowu pije. A ja nic nie mogę na to poradzić. Doskonale rozumiałam, dlaczego Bernie nie mógł wziąć sprawy taty.

Po chwili wykręciłam numer Alyssy, żeby sprawdzić, co u niej słychać, i załatwić prośbę ojca.

Telefon odebrał Richard.

- Cześć, Em, co u ciebie?

- Super. A ty jak się miewasz? - odparłam.

Przed oczami stanął mi Henry Burke i natychmiast ogarnęło mnie zażenowanie - jakbym odmówiła przyjęcia mercedesa, którego oferował mi Richard, tylko dlatego, że nie był nawoskowany.

- Wspaniale. Słyszałem, że przedwczoraj świetnie się bawiłaś z moim kumplem, Hankiem.

- No, tak. Cóż, my, eee...

- Mówił mi dzisiaj, że kupił bilety na koncert Stinga w Garden w najbliższy weekend. Idziesz z nim?

Właściwie to nie zamieniłam z nim słowa od naszej randki.

- Naprawdę? - Może jednak mam powód, żeby oddzwonić?

- Tak. Chyba mówił coś o miejscach na parterze. Hank to ważny gość. Wszędzie ma znajomości. U jego boku nie będziesz się musiała o nic martwić.

Poza obuwem. Czy kobieta rzeczywiście może skazać się na noszenie butów na płaskim obcasie do końca życia?

- Zrobił na mnie miłe wrażenie. To znaczy, był uroczy. Richard milczał przez chwilę.

- Aha, rozumiem. Nie przypadł ci do gustu.

Ulżyło mi, że nie będę musiała pakować się w kolejne kłamstwo. Nie miałam na to ochoty nawet za cenę dobrego miejsca na koncercie Stinga.

- Nie, raczej nie - odpowiedziałam. - Zostawił mi wiadomość na sekretarce... ale nie oddzwoniłam.

- Hej, to w końcu nic takiego. Przecież warto próbować. Z tymi randkami w ciemno to różnie bywa, nie?

Był taki rozsądny, taki uprzejmy. Wolałabym, żeby Alyssa nie złamała mu serca.

- No, tak, chyba masz rację. Chociaż czuję się niespecjalnie, bo on naprawdę był miły i nie chciałabym go urazić. Może powinnam jednak oddzwonić do niego.

Richard się roześmiał.

- Żarty sobie stroisz? Nie martw się o Hanka. On pewnie zasadza się już na kogoś nowego. Nie dalej jak wczoraj byłem z nim w knajpie i widziałem, jak rozmawiał z jakąś ładną blondynką. Wydaje mi się nawet, że wyciągnął od niej numer telefonu.

- No, cóż... to chyba... dobrze.

- Och, tak. Hankiem się nie martw. Jeśli chcesz, będę cię krył. Kiedy go spotkam, powiem, że wyjechałaś za granicę czy coś podobnego. - Parsknął śmiechem. - Hank da sobie radę.

Nagle Hank, pozbawiony daru konwersacji facet z lśniącą głową, urósł w moich oczach. Szybko zwalczyłam to uczucie.

- Cieszę się, że biedny Henry nie będzie przeze mnie cierpiał - powiedziałam.

Zachichotał.

- Uwielbiam twoją ironię, Emmo. Kiedy wpadniesz do nas na kolację?

Gdy się pobierzecie, pomyślałam. Żebym nie musiała czuć się winna.

- Niedługo, niedługo. Słuchaj, może mógłbyś polecić mi jakiegoś prawnika dla ojca, który wrywa się na salę sądową?

- Oho. Co zmalował tym razem?

Richard był dobrze zorientowany w procesach mojego ojca, bo spędziliśmy kilka wieczorów, analizując jego wyjątkowy tupet.

- Spadł z dachu. - Po czym dodałam: - Miał na sobie szelki używane przez alpinistów i najwyraźniej zapięcie puściło. - Nie wspomniałam ani słowem o swoim podejrzeniu, że być może pił.

- Czy nic mu się nie stało? - zapytał Richard.

Zależy, jak do tego podejść, pomyślałam, ale na głos powiedziałam:

- Zwichnął prawy bark i złamał rękę.

- Au. Daj mi chwilę. Pomyślę nad jakimś dobrym prawnikiem. Wygląda na to, że mógłby wygrać sprawę.

- Dzięki, Richard. Jest Alyssa?

- Nie. Poszła do weterynarza.

- W niedzielę?

- Lulu wczoraj miała badania. Alyssa naprawdę się martwi. Nie chciała czekać do poniedziałku na wyniki. Lekarz zaproponował, że spotka się z nią dzisiaj i przedyskutują wyniki. Miły z niego facet, nie?

- Eeee, tak.

- Proponowałem, że pójde z nią, ale Alyssa nie chciała się zgodzić. Chyba postanowiła, że sama poradzi sobie z chorobą Lulu. - Westchnął. - To musi być dla niej trudne. Ma tego psa od dzieciństwa.

Serce mi zamierało, gdy słuchałam zatroskanego głosu Richarda.

- Mam nadzieję, że wszystko dobrze się skończy - powiedział. - Wiesz, często kpię z Alyssy i jej stosunku do tej małej, niechlujnej, futrzanej kulki. Ale przyznaję, że sam jestem mocno z nią zżyty.

- Nie stracisz Alyssy - powiedziała z determinacją.

- Alyssy? - Zachichotał. - Mówiłem o Lulu.

Idiotka!

- To właśnie chciałam powiedzieć. Nie stracisz Lulu. - Zagryzłam wargi. Mocno. - Nic się nie martw, Richard. Przejdziecie przez to razem z Alyssą. I Lulu.

Ale kiedy odłożyłam słuchawkę, zaczęłam się zastanawiać, jak będzie w rzeczywistości.

Wyznanie: *Stałam się inną kobietą.*

Do poniedziałkowego wieczora nie uległam pragnieniu, żeby zatelefonować do Derricka, co było sporym sukcesem, biorąc pod uwagę fakt, że Jade zniknęła i nie mogła mnie od tego odwieść. Dałam więc sobie prawo do nawiązania z nim kontaktu. W końcu minął już ponad tydzień od naszej ostatniej rozmowy. Bez zaglądnania do notesu wybrałam numer - umiałam go już na pamięć.

Po pierwszym dzwonku zyskałam pewność, że postąpiłam słusznie. Po drugim zrobiłam się niecierpliwa. Po trzecim zaczęłam planować następne posunięcie. Zostawić mu wiadomość?

Po czwartym dzwonku zaczęłam się zastanawiać, czy ma w ogóle automatyczną sekretarkę. Jeśli nie, to nie będzie miał pojęcia, że do niego dzwoniłam. Niestety, nie było sposobu, żeby się o tym przekonać.

Nagle usłyszałam zadyszany i... kobiecy głos.

- Halo?

- Eeee... Chyba... to chyba pomyłka?

- A kogo pani szuka?

- Derricka Holta.

- Nie, to nie pomyłka - zaświergotała żwawo. - Nie ma go w tej chwili. Coś mu przekazać?

Byłam tak zbита z tropu obecnością tej kobiety - kimkolwiek była - że nie zastanowiłam się nad swoim następnym krokiem. Powiedziałam tylko głupawo:

- Proszę mu powiedzieć, że dzwoniła Emma.

- Emma? Czy on ma pani numer? Tak, skarbie. Wryty w pamięć.

- Tak, ma.

- Dobrze, przekażę.

- Dziękuję - odparłam niepewnie.

Kto to, do licha, był? Przez głowę przeleciały mi różne przypuszczenia. Wybrałam to najmniej bolesne. Współlokatorka. Poczulałam ulgę. To musi być współlokatorka. Przecież to niemożliwe, żeby Derrick był w tak zażyłych stosunkach z nową dziewczyną.

Zadzwoiłam do Jade. Wiedziałam, że tylko ona potrafi skutecznie zawrócić mnie z drogi, na którą weszłam. Słyszac jej automatyczną sekretarkę, wpadłam w panikę.

- Gdzie ty się, do diabła, podziewasz?! - wrzasnęłam do słuchawki, gdy tylko rozległ się sygnał.

- Emma? - usłyszałam po chwili oszołomiony głos Jade.

- Boże, przepraszam cię - powiedziałam zmieszana. - Spałaś?

Spojrzałam na zegarek. W końcu było już po północy.

- Nic się nie stało - powiedziała.

- Dobrze się czujesz?

- Tak. Tylko jestem zmęczona. - Roześmiała się głośno i z satysfakcją. - Od sobotniej nocy miałam erotyczny maraton.

- Od sobotniej nocy?

- Tak. Kiedy wysiadłaś z taksówki, uznałam, że nie ma powodu, żebym była sama. Pojechałam prosto do Enrica. Wróciłam dopiero parę godzin temu.

- Byłaś z nim przez cały ten czas?

- Poza krótką przerwą, gdy poszłam na zdjęcia. Resztę czasu spędziłam głównie w pozycji horyzontalnej. - Zaśmiała się gardłowo. - I wertykalnej. Czy wspominałam ci o tym, że we Włoszech Enrico uprawiał sport? Mmmm - zamruczała.

Najwyraźniej Jade postanowiła wyprzeć myśli o Michaelu najbardziej znanym sposobem. Uprawiając seks. W dużych ilościach.

- Musisz być skonana. Dam ci spokój.

- Wszystko gra?

- Derrick ma współlokatora - wyrzuciłam z siebie, walcząc z nową falą strachu, która ogarnęła mnie na wspomnienie kobiecego szczebiotania w słuchawce.

- I co z tego? Wiedziałaś o tym, prawda?

- To jest współlokatorka.

- Och, Emmo...

- Wiem, co mi powiesz. Że powinnam o nim zapomnieć. W końcu nie jest już moim chłopakiem. Nie jest częścią mojego życia. Ma prawo robić, co chce.

- On niczego nie robi, Emmo. Po prostu ma współlokatorkę.

- No, tak, całkiem łatwo jest zakochać się we współlokatorce. Popatrz na Richarda. Zakochał się w Alyssie, która spędzała dużo czasu w jego mieszkaniu.

- Przestań o tym myśleć.

- Nie mogę. Odkąd odłożyłam słuchawkę, nie myślę o niczym innym. Wyobrażam sobie, jak Derrick rozmawia ze swoją współlokatorką, jak się śmieje ze swoją współlokatorką, jak opowiada jej o tym, jak mu minął dzień. - Westchnęłam. - A ja powoli zamieniam się w dziewczynę ze Wschodniego Wybrzeża, którą kiedyś znał. Nie mogę znieść myśli o... tym, że staję się historią z przeszłości. Ja go wciąż kocham, Jade.

Westchnęła. Był to jeden z najsmutniejszych dźwięków, jakie kiedykolwiek u niej usłyszałam.

- Wiem, kochanie.

Milczałyśmy pełnym wzajemnego zrozumienia milczeniem. Jade dobrze wiedziała, przez co przechodzę. W końcu sama cierpiała na tę dolegliwość.

- Potrzebny ci nowy facet - oznajmiła w końcu zdecydowanym tonem. - Ktoś, kto oderwałby twoje myśli od Derricka. Co się stało z tym gościem, którego poznałeś w sobotę?

- Jeszcze się nie odezwał.

- No tak, trochę za wcześnie - powiedziała Jade. - Nie wyglądał mi na zdesperowanego świra. Tymczasem rozejrzę się, czy Enrico nie ma jakichś przyjaciół.

- Nie, nie chcę...

- Emma, seks to prozac dla samotnych dziewczyn. Zaufaj mi w tym względzie.

- Zapomnij, Jade. Dam sobie radę - powiedziałam, po czym uświadomiłam sobie, że w moich szafkach nie ma nic do jedzenia.

Nagle moje oko spoczęło na butelce Bailey's Irish Cream, którą dostałam pod choinkę. Uff!

- Czy twoim zdaniem jestem alkoholiczką? - zapytałam, patrząc z przerażeniem na butelkę.

- Daj spokój. Wiem, że takie rzeczy przychodzą ci do głowy dlatego, że twój ojciec miał z tym problem...

- Ma. Mój ojciec ma z tym problem, Jade - weszłam jej w słowo. A następnie westchnęłam rozpaczliwie i wyznałam: - W zeszłym tygodniu spadł z dachu swojego domu. Nie przyznał się, ale podejrzewam, że pił.

- O, cholera. Nic mu się nie stało?

- Nic, poza złamaną ręką i zwichniętym barkiem. Poza tym czuje się świetnie. Jest już gotowy iść do sądu i zwalić winę na kogoś innego.

- Przykro mi z powodu tego, co przydarzyło się twojemu tacie. Ale ty używasz incydentu z tatą tylko do tego, żeby oderwać myśli od Derricka, podczas gdy ja mam lepsze rozwiązanie.

- Seks? Seks ma być lepszym rozwiązaniem?

- W każdym razie zdrowszym. Dobrze wpływa na serce. I na poczucie własnej wartości.

Westchnęłam, uświadamiając sobie, że nawet nie mam ochoty na seks. A już na pewno nie z jakimś napalonym dwudziestokilkuletnim imigrantem.

- Sama nie wiesz, co tracisz... - skomentowała Jade moją odmowę.

Och, wiedziałam. Ale to nie miało nic wspólnego z seksem. A bardzo wiele wspólnego z pewnym scenarzystą, który był na dobrej drodze do „żyli-długo-i-szczęśliwie”. Z kimś innym.

Wyznanie: *Nawet ja przestałam już siebie lubić.*

Następnego dnia w pracy koncentrowałam się z całych sił na koszmarnej projekcie, w jaki się wpakowałam, gadając, co mi ślina na język przyniesie na kolegium redakcyjnym. Co ja wiem o pannach młodych w wieku trzydziści plus? Cholera, biorąc pod uwagę moje dotychczasowe tempo, mogę nie zakwalifikować się do tej kategorii. Może powinnam pracować przy numerze o pannach młodych w podeszłym wieku?

Westchnęłam i spojrzałam na zegar. Dochodziła druga. Zmarnowałam pół dnia na nie-szczęśny projekt, a bieżące prace leżały odłogiem. Patrycja chciała dostać propozycje za nie-cały tydzień, a ja ledwie skleciłam dwa zdania. Pierwszy ślub w okolicach czterdziestki. Gdzie tu magia?

Odsunęłam notatki, podniosłam słuchawkę i bez zastanowienia wybrałam numer. Powinien być w domu. W końcu teraz wie swoje wymarzone życie pisarza, a więc ma niernormowany czas pracy. Prawdopodobnie siedzi w domu i ignoruje fakt, że dzwoniłam do niego ponad dwanaście godzin temu i zostawiłam mu wiadomość.

- Halo?

- Derrick - powiedziałałam, gdy na dźwięk głosu, który znałam lepiej niż swój, wszystkie końcówki nerwowe rozśpiewały mi się z ulgą.

- Cześć, Emmo, co słyhać? - odparł, a w jego głosie usłyszałam uśmiech.

- Próbowałam cię złapać dzisiaj w nocy. Zostawiłam wiadomość. Kobiecie, która odebrała!

- Och, Carrie. Współlokatorka. Nic nie mówiła, że dzwoniłaś. Ona jest czasami trochę... roztrzępana.

W takim razie zdecydowanie nie jest w jego typie. Tego byłam pewna: nigdy nie brały go roztrzępane.

- Tak? Cóż, w końcu czego można się spodziewać po współlokatorach, nie? Przecież tak naprawdę nic ich nie obchodzi, czy dotrą do ciebie wiadomości.

- Nie, nie. Carrie jest super. Wspaniale gotuje. A ponieważ waży jakieś czterdzieści pięć kilo, a gotuje takie ilości, że starczyłoby na nakarmienie armii, świetnie na tym wycho-
dzą. Właściwie to przestałem gotować.

- Więc... jak znalazłeś tę współlokatorkę? - zapytałam przez ściśnięte gardło.

- Przysłał ją do mnie znajomy z wytwórni, który wiedział, że szukam mieszkania do wynajęcia. Ona szukała współlokatora. To aktorka. Mogłaś ją widzieć w telewizji. Często robi reklamówki. Teraz występuje w reklamie pasty do zębów. Wiesz, w tej, w której dziewczyna wpada na faceta w windzie.

- Eee, nie. Chyba nie widziałam. Więc pewnie jesteście już dość zżyci, co?

- Zżyci? Cóż, powoli... - Nagle przerwał. - Emmo, o co chodzi? Jesteś zazdrosna, prawda?

A potem się zaśmiał. Zaśmiał się. Właśnie to.

- Nie jestem!

- W porządku, nie jesteś. - Zachichotał znowu i zmienił temat. - Co u ciebie? Dostałaś awans?

Spojrzałam na rozrzucone na moim biurku magazyny dla kobiet wykupione ze wszystkich kiosków w promieniu paru kilometrów od redakcji. Każdy z nich nabyłam z myślą, że coś w nich mnie zainspiruje.

- Pracuję... eee... nad tym - odparłam, gorączkowo myśląc, jak wrócić do znieawidzo-
nego tematu szczupłej i prawdopodobnie pięknej aktorki współlokatorki. - Założę się, że miło
się mieszka z kobietą?

- Jest nieźle. Ale czy mówiłem ci, że pierwszy scenariusz, który poprawiałem, dostał
zielone światło? To szalony horror, ale dobrze się przy nim bawiłem.

- To wspaniale.

- No, tak. Wolałbym wiadomość o tym, że mój własny scenariusz poszedł do produk-
cji, ale i tak nie jest źle.

- Na pewno świętowałaś swój sukces, co?

- No, tak. Wróciłem do domu i wypłem z Carrie kilka piw.

- To, eee... miło.

- Tak. Słuchaj, przykro mi przerywać, ale gonią mnie terminy. Mogę do ciebie za-
dzwonić innym razem?

- Pewnie - odpowiedziałam, jeszcze żałośniej. - Jeśli masz ochotę.

- Oczywiście, że mam ochotę, Em. Hej, na pewno wszystko gra? Wydajesz mi się nieco... zdołowana czy coś takiego.

- Ja? Nie, czuję się świetnie. Po prostu świetnie.

Nic mi nie jest, czego nie wyleczyłoby trochę lodów. Albo, co gorsza, kilka drinków.

A może nawet trochę seksu bez zobowiązań.

- To dobrze. Słuchaj, zadzwonię niedługo. Muszę trochę popracować przed powrotem Carrie. Ona potrafi bardzo przeszkadzać. Nic nie mogę przy niej zrobić.

Gdy odłożyłam słuchawkę, czułam się tak, jakby klatka piersiowa zapadła mi się w miejscu, w którym kiedyś było serce. Jakby tego było mało, kilka chwil później do mojego boksu zajrzała Rebeka. Jedno spojrzenie na moją twarz i jej szeroki uśmiech zbladł.

- Co się stało? - zapytała ze współczującą miną, siadając na moim krześle dla gości.

- Och, nic takiego - powiedziałam. - Właśnie rozmawiałam z Derrickiem. - Uwaga! Szybko wniosłam poprawki: - Och, no, wiesz. Zachował się jak klasyczny mężczyzna. Jest taki zapracowany, że nie ma nawet czasu... na... kolacje w restauracji.

- Wiem, jak to jest - oznajmiła, wznosząc oczy do góry. W zeszłym tygodniu musiałam przypomnieć Nashowi, że zbliżają się moje urodziny. Wydaje mi się, że rok temu zupełnie by o tym zapomniał, gdybym nie zaciągnęła go do Bloomingsdale's, żeby mu pokazać, co chcę dostać.

Wyciągnęła rękę i pokazała mi zegarek Bulova z brylantami. Wiedziała, że o takim marzę.

Nagle poczułam podziw dla Rebeki. Stała przede mną kobieta, która umiała zdobyć to, co chciała. Mogłabym się od niej wiele nauczyć.

- Chociaż w tym roku Nash chyba nie zapomni o moich urodzinach - ciągnęła dalej. - W zeszłym tygodniu powiedział mi przez telefon, że zamierza zarezerwować dla nas stolik... w Le Colonial.

- Nieźle. Kiedy się tam wybieracie?

- W sobotę. W moje urodziny, oczywiście - wyjaśniła zaskoczona, jakby spodziewała się, że będę znała datę. - Myślę, że to się zdarzy tym razem.

- Co?

- No, Nash mi się oświadczy, oczywiście! Bo z jakiego innego powodu zabierałby mnie do jednej z najlepszych restauracji w mieście? - Przejechała wzrokiem po stertach cza-

sopism, gryzmołach w notatniku i zjedzonym do połowy batoniku. - Jak ci idzie praca nad projektem dla Patrycji? - zmieniła temat.

- Och, wspaniale. Właśnie zrobiłam sobie burzę mózgu - skłamałam. - A jak u ciebie?

- U mnie? Och, ja już skończyłam. Jeszcze tylko korekta i oddam całość - powiedziała, klepiąc się w boczną kieszeń, do której włożyła plik starannie złożonych kartek. - Cóż, chyba już pójdę. Mam dziś po południu spotkanie z Patrycją. Podobno ma mi coś ważnego do powiedzenia.

Mnie najwyraźniej nie. Rebeka zniknęła za drzwiami, a wraz z nią moje nadzieje i marzenia, złożone starannie w bocznej kieszeni jej markowego żakietu.

Wyznanie: *Odkrywam, że monogamia oznacza, iż nigdy nie musisz przeproszać.*

Alyssa oddzwoniła do mnie w końcu późnym popołudniem, ale szybko przerwała moją przemowę na temat cnót Richarda.

- Spotkajmy się w siłowni o wpół do ósmej - oświadczyła kategorycznie.

Gdy próbowałam protestować, powiedziała tylko:

- Słuchaj, ty musisz poćwiczyć. A ja muszę z tobą porozmawiać.

Teraz stała nad ławką, na której leżałam, podnosząc dwa ciężarki nad klatką piersiową. W którymś momencie wyrzuciła z siebie:

- Zamierzam pójść z Jasonem do łóżka. Ręce mi opadły. Sztanga też.

- Co?

- Nie odwiedzisz mnie od tego, Em - powiedziała szybko, kiedy usiadłam i spojrzałam jej prosto w oczy.

- A jednak zamierzam spróbować. Alyssko, czy ty sobie zdajesz sprawę z tego, co robisz? Narażasz na szwank najważniejszy związek swojego życia z powodu... szaleństwa libido.

- To nie żadne szaleństwo libido. To coś... coś więcej. Szkoda, że nie widziałaś Jasona, kiedy spotkałam się z nim przedwczoraj na kawie. Zgodził się ze mną spotkać w niedzielę, bo nie chciał, żebym przez cały weekend zamartwiała się o Lulu. To chyba świadczy, jakim jest człowiekiem.

- Męczennik?

- Nie, pełen współczucia. I wrażliwy. Nie przypominam sobie, kiedy Richard zaprzętał sobie głowę tym, czego mogłabym pragnąć lub potrzebować.

- Alysso, tak się składa, że wiem, że Richardowi bardzo na tobie zależy. Szkoda, że nie słyszałaś, jak się martwi o ciebie. On cię kocha.

Odwróciła wzrok. Jej oczy zrobiły się momentalnie szkliste od łez, ale zaraz zamrugła i stłumiła je, a wraz z nimi wszelkie wątpliwości.

- Nie potrafię o nim teraz myśleć. Muszę myśleć o sobie. Wszystko mi się teraz wali na głowę. Lulu... - Głos się jej załamał. - Lulu musi mieć operację.

- Och, nie. Co jej jest?

- Jedno z badań wykazało torbiel na pęcherzu moczowym. Jason twierdzi, że to może być łagodny guz, ale właśnie on przysparza jej tyle cierpień. Według niego operacja nie będzie poważna - torbiel jest niewielka. Ale Lulu ma piętnaście lat i... - Zamknęła oczy i zdusiła łzy. - Wszystko może się zdarzyć.

Wstałam, otoczyłam ją ramionami i przytuliłam. Przyjęła to z wdzięcznością, aż usłyszała moje następne słowa:

- Myślę, że powinnaś pozwolić Richardowi...

Wyrwała się z moich objęć.

- Przestań, Emmo. Proszę cię. I niech ci się nie wydaje, że masz prawo mnie osądzać. Szukam odrobiny... ukojenia u kogoś, z kim łączy mnie silna więź.

- Mówię tylko, że nie powinnaś zapominać o tym, co możesz stracić. Spędziłaś z Richardem wiele lat. Moglibyście spędzić razem życie.

- A czy uczciwie byłoby wiązać się z nim na całe życie, gdybym miała wątpliwości?

Punkt dla niej. Nagle zaczęłam się zastanawiać, co ja bym zrobiła, gdybym była w tak kłopotliwym położeniu. A jednak nie byłam jeszcze gotowa, żeby odrzucić wiarę w to, że przynajmniej niektórzy są sobie absolutnie przeznaczeni.

- Wszyscy mamy wątpliwości, Alysso. Ale staramy się je pokonać, żeby móc wieść życie z kimś... z kimś, kogo kochamy. Jak inaczej moglibyśmy się żenić, mieć dzieci? Wiązać się z kimś na całe życie?

- Zaczynam myśleć, że związek dwojga ludzi to przereklamowana sprawa. Wiesz, jesteśmy jednym z niewielu gatunków, których przedstawiciele łączą się w pary na całe życie.

- Rany. Czy takimi tekstami faszeruje swoją ofiarę weterynarz na łowach?

Podniosła wzrok, jakby wstrząsnęło nią podejrzenie, że mogę coś takiego myśleć o jej ukochanym weterynarzu.

- Jason nie jest na łowach. Boże, chciałabym, żeby był. - Zmarszczyła brwi. - A właściwie nie. Może lubię go właśnie za to, że mnie nie podrywa. - Westchnęła. - Zabawne, ale chyba bym go mniej lubiła, gdyby był typem, który wybiera sobie za cel kobietę prawie zaręczoną z kimś innym. Dlatego nie powiedziałam mu o Richardzie.

- Och, to po prostu wspaniale. Chrońmy niewinność dobrego pana doktora. Przynajmniej do chwili, gdy wylądujesz z nim w łóżku. Możesz mi obiecać przynajmniej jedno? - zapytałam, stając nad nią, gdy zaczęła ćwiczyć.

Spojrzała na mnie.

- Czy mogłabyś z tym poczekać, aż będzie po operacji Lulu?

Uśmiechnęła się. Chyba jej ulżyło, że nie poprosiłam o coś innego. Na przykład, żeby się powstrzymała od orgazmu czy coś w tym rodzaju.

- To się chyba da zrobić. Lulu jest zapisana na zabieg w przyszłym tygodniu. Myślę, że wytrzymam do tego czasu.

Popatrzyłam na zdecydowaną minę, z jaką wyciskała sztangę. Sama utwierdziłam się w pewnym postanowieniu. Tydzień. Mam jeszcze tydzień na przekonanie Alyssy, że to, co chce zrobić, będzie największą pomyłką w jej życiu.

Wyznanie: *Odkrywam beztłuszczowy substytut rozpaczy.*

Zawsze mnie zadziwia, ile drobnych rzeczy jestem w stanie wykonać, kiedy mam zrobić coś rzeczywiście ważnego - na przykład projekt dla Patrycji. Zaczęłam dzień od tworzenia błyskotliwej listy Dziesięciu Powodów, dla których lepszy jest seks z Mężczyzną, z Którym Mieszka Się od Pięciu Lat. Natychmiast przesłałam ją mailem do Alyssy.

Po południu zajrzała Rebeka, żeby mnie poinformować, że Patrycja była zachwycona jej propozycjami. Co więcej - to ona ma rozdzielić tematy artykułów. Miała tupet, żeby poprosić mnie o napisanie o trzecim małżeństwie mojej matki. Oczywiście natychmiast odmówiłam. Oznajmiłam, że prawdopodobnie będę zajęta przygotowaniem numeru o niemłodych pannach młodych.

Poszła sobie. Wiedziałam już, że jeśli naprawdę chcę stawić jej czoło, muszę bezwzględnie zabrać się do roboty. Wystarczyło jednak jedno spojrzenie na zegarek. Dochodziła czwarta. Było już za późno na zaczynanie wielkiego zadania.

Gdy szłam do domu, przypomniało mi się, że jest środa. Ostatni dzień, kiedy mogę zgodzić się na weekendową randkę z Makssem Van Gelderem. Opracowany przez Jade przewodnik zatytułowany „Jak polować na mężczyzn” zakazywał umawiania się później niż w środę, chyba że kobieta chciała przyznać się do tego, że jest zdesperowana. Ale Maks musiałby jeszcze zadzwonić.

Niewiele brakowało, a poszłabym do koreańskich delikatesów. Oczami wyobraźni widziałam już ciastka i batoniki. Niewiele brakowało... Na szczęście bolące mięśnie brzucha przypomniały mi o tym, ile potu i łez wycisnęła ze mnie wczorajsza sesja w siłowni. To wszystko poszłoby na marne, gdybym rzuciła się teraz w wir żalostnego obżarstwa. W ostatniej chwili skręciłam w przeciwną stronę, tam gdzie się mieścił mały sklep ze zdrową żywnością. Weszłam do ładnego wnętrza i potoczyłam wzrokiem po rzędach organicznie uprawianych warzyw i półkach pełnych przekąsek wymyślonych specjalnie po to, by nieść ukojenie umysłem i nie rujnować talii.

- Witamy! - zawołała wesoło sześćdziesięcioletnia pani o miłej twarzy.

To ona prowadziła sklepik razem z równie miłym mężem, który stał właśnie przy kasie i uśmiechał się do mnie.

- Dzień dobry. Co u państwa słyhać?

Nie spodziewałam się, że będą mnie pamiętać.

- Wspaniale. Dawno pani do nas nie zaglądała - powiedziała kobieta z promiennym uśmiechem, jakbym była jednym z jej marnotrawnych dzieci powracających do domu.

- No, tak. Miałam dużo pracy - odpowiedziałam.

- Podwójna Kawa z Chrupkami, zgadza się? - wymieniła nazwę mojego ulubionego smaku Chudej Ambrozji, który wiernie kiedyś kupowałam.

Czułam się zawstydzona faktem, że jestem taka... oczywista.

- Zgadła pani.

- Och! Coś mi się zdaje, że właśnie sprzedaliśmy ostatnią porcję. Ed, czy myślisz, że mamy jeszcze trochę w zamrażarce na dole? - zwróciła się do męża, który głęboko się nad tym zamyślił.

Po chwili rozpromienił się i powiedział:

- Zadzwoń do Griffa i poproś go, żeby sprawdził.

Kobieta uśmiechnęła się do męża, jakby jego sugestia była dowodem geniuszu.

- Dobry pomysł.

Odwróciła się do wiszącego na ścianie telefonu i po chwili rozmawiała już z jakąś anonimową dla mnie osobą, która była, gdzieś na dole najwyraźniej po to, żeby spełniać jej polecenia.

- Bądź tak miły, Griffin, i sprawdź, czy w zamrażarce jest jeszcze kawowa Chuda Ambrozja. - Mrugnęła do mnie. - A jeśli jest, to przynieś na górę.

Odłożyła słuchawkę.

- Właśnie założyliśmy interkom. Pracuje jak złoto. - Uśmiechnęła się. - Wymyślił to nasz syn. Jest bardzo mądry. Prowadzi własną firmę projektową. - Na chwilę odwróciła swoją rozpromienioną twarz do męża, a potem znowu spojrzała na mnie.

Odpowiedziałam uśmiechem. Zaczęłam się zastanawiać, co takiego jest nie tak z jej synem, że czuje się w obowiązku zachwalać go mnie, swojej nielojalnej klientce.

Nagle otworzyły się drzwi od zaplecza sklepu i do środka wszedł najpiękniejszy mężczyzna, jakiego kiedykolwiek oglądały moje oczy. Zanim zdążyłam się na to przygotować, stał już przede mną. Miał na sobie stare niebieskie dżinsy i brudny podkoszulek. Lecz to nie zmieniło faktu, że był szeroki w ramionach, wąski w biodrach, miał boskie, brązowe oczy otoczone gęstymi, smolistoczarnymi rzęsami. Nawet jego krótkie, ciemne włosy robiły wrażenie jedwabistych, mimo warstwy kurzu, która osiadła na nich podczas pracy w piwnicy. A w dużych opalonych dłoniach trzymał ogromne wiaderko Podwójnej Kawy z Chrupkami.

- To pani chciała Podwójną Kawę? - zapytał.

- Eee, tak - wymamrotałam.

- Są tylko pojemniki czterolitrowe - powiedział i podał mi wiadro. - Może być?

Zahipnotyzowana tym, jak jego czekoladowobrązowe spojrzenie skupiło się na mnie, odpowiedziałam głupawo:

- Idealnie. - A potem, gdy już dotarło do mnie, że stoję przed nim z głupią miną i kupuję nieprzyzwoitą ilość lodów, które niekoniecznie są tak niskokaloryczne, jak sugeruje ich nazwa, dodałam: - Ja i mój współlokator jemy nałogowo Chudą Ambrozię.

Uśmiechnął się, wyciągnął spod lady plastikową torbę, włożył w nią czterolitrowe wiadro i podał mi.

- Proszę. Smacznego - powiedział, po czym odwrócił się do starszej pary, która nagle zaczęła robić wrażenie silnie zaabsorbowanej kontemplacją kleju na jednej z kopert, i dodał: - Jeśli coś jeszcze będzie potrzebne, to jestem na dole. - Po czym zniknął, a ja posłałam mu uśmiech pełen wdzięczności.

Zapłaciłam za swoją nagrodę pocieszenia i ruszyłam do domu z głową pełną zakazanych fantazji o powrocie do Zdrowych Delikatesów w porze zamknięcia sklepu. Wszystko po to, żeby uwieść seksownego faceta od Chudej Ambrozji.

Zastanawiałam się, co on robi w tym sklepiku. Naprawia coś czy jest stałym pracownikiem? Zmarszczyłam brwi. Wolałabym, żeby był to tylko jakiś mechanik. No, bo nie mogłabym sobie pozwolić na romans z mężczyzną, którego zarobki ledwie przekraczają minimalną płacę, prawda? Trzeba trzymać się pewnych standardów. Chociaż starsza para wydawała się całkiem z nim spoufaloną. Może to twórca Chudej Ambrozji, którego trzymają w piwnicy?

Otrząsnęłam się z tych fantazji, gdy dotarłam do domu. Wyraźnie mi odbija. Mam lekką nadwagę, niedawno rzucił mnie chłopak, wracam do domu sama i istnieje poważne niebezpieczeństwo, że zjem całe cztery litry Chudej Ambrozji, gdy odkryję, że na mojej automatycznej sekretarce nie ma wiadomości ani od Maksa, ani od Derricka. Niskokaloryczne słodycze dla samotnych. I spragnionych miłości...

TLR

ROZDZIAŁ DZIEWIĄTY

„Nie pozwól, żeby zauważył, że ty też się pocisz - przynajmniej dopóki nie pójdziesz z nim do łóżka”

- Jade Moreau, dziewczyna samotna z super doświadczeniem

Wyznanie: *To ja - dziewczyna porzucona, która całkiem oszalała!*

Zrobiłam to, czego żadnej dziewczynie robić nie wolno. Przynajmniej według Jade i jej przewodnika „Jak polować na facetów”. Otóż umówiłam się z Maksem Van Gelderem na piątek, mimo że dopiero w czwartek o dziesiątej wieczorem zaproponował mi spotkanie.

Wiem. Tak się nie postępuje. Ale nie myślałam o tym, kiedy wróciłam do domu po kolejnym jałowym dniu pracy. Przyznaję - po środowym wieczorze spędzonym z wiaderkiem Chudej Ambrozji miałam wciąż wyдутy żołądek i czułam, że w całym wszechświecie nie znajdzie się nawet jeden facet gotów stwierdzić, że jestem atrakcyjna.

Nie muszę chyba mówić, że byłam dziko zadowolona, kiedy o dziesiątej wieczorem rozległ się dzwonek telefonu. Zachwyty sięgnął zenitu, kiedy okazało się, że rozmawiam z Maksem Van Gelderem.

W piątek siedzieliśmy naprzeciwko siebie przy małym stoliku w pubie o nazwie Chelsea Square. Trzymałam w ręku koktajl z tequili i piwa imbirowego, pierwszy z wielu, które miałam pochłonąć tego wieczoru, i obserwowałam Maksa. Miał na sobie jasnobłękitną koszulę i džinsy i wyglądał niezwykle atrakcyjnie. Dobrze, że po długim namyśle też zdecydowałam się na džinsy i obcisłą dzianinową bluzkę bez rękawów - byłam ubrana niezobowiązująco i - miałam nadzieję - seksownie.

Muszę przyznać, że w głębi ducha wciąż zastanawiałam się, jakim cudem tak mi się udało: mam randkę z facetem odczytanym, elokwentnym i cholernie onieśmielającym.

- Przywodzi mi na myśl Dickensa - rzucił w odpowiedzi na moją niezbyt oryginalną uwagę, wygłoszoną jedynie dla przerwania milczenia, że nigdy jeszcze nie byłam w Chelsea Square.

Uśmiechnęłam się niemrawo i dla kurażu pociągnęłam spory łyk tequili. Było nie było, nie ma na świecie wielu anglistów z uniwersyteckim dyplomem, którzy przeszli przez studia, nie otwierając Dickensa. Ja tego dokonałam, gdyż Dickens nudził mnie do bólu, od kiedy w

szkole zmuszono mnie do przeczytania „Ciężkich czasów”. Skuteczne uchylanie się od kontaktu z klasykiem było dla mnie zawsze powodem do dumy, ale teraz nie miałam zamiaru o tym wspominać.

Kiedy Maks skończył omawiać co ciekawsze elementy wystroju ciemnego i zatłoczonego pubu, natychmiast zmieniłam temat.

- Udało ci się skończyć ten kawałek dla „New Yorkera”? - zapytałam.

- O, tak. To jeden z powodów, dla których nie mogłem zadzwonić wcześniej - odpowiedział nonszalanckim tonem.

- Te terminy! Sama wiesz.

- Oczywiście - westchnęłam ciężko.

Maks pił coś, co nazywało się bombay martini.

- Wspominałaś, że piszesz, ale chyba nie miałaś okazji opowiedzieć mi, co napisałaś, prawda?

Oto nadeszła chwila prawdy. Ale zanim jeszcze zaczęłam dukać o pracy w „Twoim Ślubie”, usłyszałam własne słowa:

- Pracuję w tej chwili nad powieścią.

- A więc bratnia dusza!

Odrobina zachęty wystarczyła, żeby rozwinąć skrzydła. Zachęta oraz kilka łyków koktajlu.

- Tak - ciągnęłam. - Pracuję nad nią od dłuższego czasu. Przecież to prawda. Zaczęłam pisać powieść jeszcze na studiach. Kolejny łyk - i zdobyłam się na kolejną półprawdę. - Ostatnio utknęłam. Chyba mam coś w rodzaju blokady - wzruszyłam lekko ramionami, zastanawiając się w duchu, czy nie nadeszła pora, żeby powiedzieć sobie, że porzuciłam całkowicie zamiar stworzenia powieści. - A może winne jest miejsce? Wiesz, czasami wydaje mi się, że po prostu potrzebuję nowego biurka. Mam komputer, ale nie mogę usiąść wygodnie i pisać, bo nie mam gdzie.

- Kiedy ja czuję przymus pisania, mogę to robić wszędzie. Najważniejsze to mieć temat.

Miałam poczucie, że mnie przejrzał. Moje wymówki były zbyt cienkie. Szybko dopiłam tequilę. Musiałam się zmobilizować i zrobić coś, żeby Maks znowu zajął się sobą.

- A czy ty masz temat, o ile oczywiście można o to pytać?

- To coś w rodzaju powieści o dorastaniu. Chłopiec traci ojca i musi znaleźć własne miejsce w świecie.

Jakie to irytujące! Nie mam pojęcia, dlaczego mężczyźni zawsze piszą o chłopcach u progu dorosłości. Ale skinęłam głową na znak, że gatunek nie jest mi obcy.

- Bildungsroman. Niezwykle interesujące - powiedziałam.

Rozpromienił się w odpowiedzi.

- Trzeba zorganizować ci coś do picia. - Pokazał moją pustą szklanę kelnerowi.

Spojrzałam na jego ledwo co tknięte martini i zrobiło mi się trochę głupio.

- Chyba bardzo chciało mi się pić - próbowałam się usprawiedliwić. - Twój kieliszek jest jeszcze pełny.

- Nie przejmuj się mną. Bombay martini trzeba pić bardzo powoli, jeśli chce się wrócić do domu na własnych nogach.

Postanowiłam więc się nie przejmować. Przy drugim drinku rozluźniłam się na tyle, że mogłam z uwagą słuchać opowieści o tym, że inspiracją dla książki Maksa była śmierć jego ojca. Przy trzecim (jego - drugim), byłam na tyle wstawiona, że przyznałam się, gdzie pracuję, i uraczyłam go kilkoma anegdotami o ślubnych manifestach, które zmuszona jestem pisać na co dzień. Mogłam też odegrać się na Patrycji.

- Wszyscy w redakcji podejrzewali, że pan młody na jej ślubnych zdjęciach był wycięty z tektury.

A widząc, że jest naprawdę rozbawiony, opowiedziałam o ślubnej manii, którą opanowany jest osobiście cały personel. Maks omal nie popłakał się ze śmiechu.

- Emma! - zawołał, kiedy się uspokoił. - Od razu widać, że jesteś cholernie dobrą pisarką. Co za rewelacyjny materiał! - I widząc, że moja szklanka jest znowu pusta, zawołał kelnera.

- Nie, dziękuję - powiedziałam. - Nie powinnam więcej pić.

- Jesteś pewna? Ja wypiję jeszcze jedno piwo.

Takiej zachęty było mi trzeba. Przecież od dawna nie czułam się aż tak wspaniale. Spodobałam się Maksowi. Uważał, że jestem dowcipna. Co więcej - uznał mnie za cholernie dobrą pisarkę.

Piliśmy więc, a ja rozwijałam przed nim cały swój wdzięk i czar w nadziei, że zauważy, że jestem godna uwagi i pożądania. A kiedy odprowadzał mnie do domu, całą drogę trzymał mnie pod rękę. Może czuł do mnie to, co ja do niego? A może zrobił to dlatego, że zachwiałam się, kiedy tylko moje stopy zetknęły się z chodnikiem?

Gdy w końcu stanęliśmy pod moim domem, czułam, że wywołane nadmierną ilością alkoholu ciepło skupiło się nagle w rejonach mojego żołądka. Dojmująco i boleśnie pragnęłam

mężczyzny, który bez żadnych wątpliwości byłby mną urzeczony. Tak. Zgodziłabym się pójść do łóżka z Maksem Van Gelderem już po pierwszej randce. Rzuciłam mu spojrzenie - marzycielskie i wymowne. Taką przynajmniej miałam nadzieję.

I wtedy mnie pocałował. I nie był to zdawkowy pożegnalny całus, tylko prawdziwy pocałunek. Z otwartymi ustami. Gdybym nie czuła, że robi to z pewnym wahaniem, powiedziałabym, że tak całują faceci, którzy myślą tylko o jednym. Ale on jakby próbował, czy woda jest dobra.

Potem cofnął się, spojrzął w górę, jakby w poszukiwaniu moich okien, i uśmiechnął się do mnie.

- Chyba bezpieczniej będzie pożegnać się tutaj - powiedział.

Drogi Maks. Co za dżentelmen! Kogoś takiego podziwiałaby nawet babcia Zizi. Tym bardziej że wzrost i wygląd również odpowiadały jej standardom. Może nawet jest bogaty? Dlaczego by nie, do diabła! Uśmiechnęłam się do niego znowu. Czyżby budziło się we mnie coś na kształt miłości? Nie. Za szybko. O miłości można mówić dopiero wtedy, kiedy razem pożyczają się filmy wideo na piątkowy wieczór, a w sobotę rano myje się zęby jedną szczoteczką.

Oddał mi uśmiech, po czym delikatnie uwolnił się z moich objęć. Przez chwilę trzymał mnie na odległość wyciągniętych ramion i uważnie mierzył wzrokiem. Zachichotałam nerwowo. Na szczęście on też parsknął krótkim śmiechem i napięcie opadło. A potem się odezwał i... przebił mydlaną bańkę:

- Wciąż nie mogę uwierzyć, że wlałaś w siebie cztery tequile - tu spojrzął na zegarek - w takim czasie! - chrząknął niedowierzająco.

Poczułam nagły skurcz żołądka - jakby wspomniane cztery tequile nie mogły znaleźć sobie miejsca i postanowiły wrócić na zewnątrz, gdzieś w okolice miękkich zamszowych mokasynów Maksa. Wzięłam głęboki oddech, kiedy na odchodnym obdarzył mnie uprzejmym i nic nieznaczącym kiwnięciem dłoni.

- Zadzwoń do ciebie - powiedział. Byłam przekonana, że nigdy tego nie zrobi.

Z trudem wdrapałam się po schodach. W głowie miałam chaos, paliły mnie oczy - chyba od łez, które powstrzymywałam siłą. Mogłam teraz zrobić tylko jedno. To, co chciałam zrobić od dawna. Alkohol i widok pustego mieszkania dodały mi sił. Zadzwoiłam do Derricka.

Nie pytajcie, na co liczyłam. Nie mam pojęcia. W sytuacji oczywistego i jednoznacznego odrzucenia musiałam usłyszeć głos mężczyzny, który powiedział mi kiedyś, że kocha mnie nad

życie. Po pierwszym sygnale rzuciłam okiem na zegarek. Dwadzieścia minut po północy, czyli dziewięta dwadzieścia w Kalifornii. Może być w domu. Może też nie być. Może uprawiać seks ze swoją współlokatorką. Tę ostatnią myśl odrzuciłam natychmiast. Błogosławione skutki alkoholu. Możesz wyprzeć ze świadomości wszystko, co chcesz.

- Halo?

- Derrick! - wykrzyknęłam z ulgą.

- Cześć, Em. Jak się masz? - przywitał się ze mną serdecznie. Co więcej, był szczęśliwy, że ze mną rozmawia. To wszystko usłyszałam w jego głosie.

- Świetnie! A co u ciebie? Jak ci leci?

- Rewelacyjnie, naprawdę. Właśnie szykuję się na przyjęcie z okazji premiery nowego filmu mojej wytwórni. Tym razem mam zaproszenie. Ostatecznie jestem przez nich zatrudniony. Koniec z wdzieraniem się tylnymi drzwiami na bankiety.

- To świetnie - mruknęłam tęsknym głosem.

- A co u ciebie? Na pewno gdzieś dzisiaj byłaś...

- Uhm. W Chelsea Square. Znasz?

- Jasne. Bardzo lubiłem to miejsce.

- No. Jest niezłe.

- Wiesz? Tej jednej rzeczy naprawdę mi tutaj brakuje. W Los Angeles wcale nie ma starych, świetnych barów, które w Nowym Jorku są co krok.

Zjeżyłam się, ale udało mi się obrócić jego słowa w żart.

- A więc to jest jedyna rzecz, której ci tam brakuje? - Ze strachem czekałam na jego odpowiedź.

- Poza tobą, oczywiście - usłyszałam i odetchnęłam z ulgą. - To się rozumie samo przez się. Z kim byłaś w Chelsea?

- Z Jade - odpowiedziałam szybko, a potem dodałam, żeby przytłumić wyrzuty sumienia:

- I z kilkoma jej znajomymi. Wiesz, różnymi modelami.

- Super! - Nie wydawał się zbyt poruszony informacją o tym, że rzekomo spędziłam wieczór otoczona najprzystojniejszymi mężczyznami. - Co u Jade?

- Wszystko dobrze. U Alyssy też. Chociaż Lulu ostatnio chorowała. Chyba będzie miała operację.

- Naprawdę? Mam nadzieję, że to nic poważnego. Taki kochany pies!

Nie do wiary! Skoro tak kochasz Lulu, dlaczego od niej odjechałeś? I dlaczego odjechałeś ode mnie?

- Ja też mam taką nadzieję. Alyssa jest strasznie zmartwiona - powiedziałam spokojnie.

- Uściskaj ją ode mnie.

- Na pewno. - Nagle zrobiło mi się lekko na sercu. Derrick troszczy się o mnie. Troszczy się o moje przyjaciółki. Troszczy się nawet o psa przyjaciółki.

I w tym momencie - stało się. On sam zniszczył wszystko.

- Emma, słuchaj, muszę kończyć. Carrie wróci do domu lada chwila. Umówiliśmy się, że będę gotowy, a ja tymczasem nie wziąłem nawet prysznicza.

- Carrie? Myślałam, że to ty dostałaś zaproszenie.

- Oczywiście, że ja. Ale poprosiłem Carrie, żeby poszła ze mną.

- Przecież to twoja współlokatorka!

- No i co z tego? - Zaśmiał się na cały głos. - Czy istnieje jakieś tajemnicze prawo, które zabrania zabierać współlokatorki na bankiety z okazji premier filmowych? To dla niej dobra okazja do nawiązania kontaktów. Przecież jest aktorką...

- Derrick, powiedz mi prawdę! - przerwałam. - Śpisz z nią, tak?

- Co?!

- Dobrze, więc z nią nie śpisz. Jeszcze nie. Ale to tylko kwestia czasu. Jeszcze kilka wspólnych kolacji albo kilka przyjęć. A potem nie wiadomo kiedy i jak, wracacie razem do domu i wskakujecie do jednego łóżka.

- Emma...

- To bardzo do ciebie podobne. Robisz to, na co masz ochotę, i wcale cię nie obchodzi, że kogoś zranisz po drodze. Mam tego dosyć.

W słuchawce panowała cisza, co jeszcze bardziej mnie rozwścieczyło.

- Odszedłeś ode mnie po dwóch latach, a potem zadzwoniłeś jakby nigdy nic! Jak śmiałeś? - Nie miałam pojęcia, że tłumię w sobie aż tyle złości. - A teraz bezczelnie pieprzysz się ze swoją współlokatorką, myśląc, że mnie to nie obchodzi? No, to wiedz, że mnie obchodzi. Być może tobie wolno oświadczyć, że kogoś kochasz, a potem wyjechać sobie na drugi koniec świata, ale ja tak nie potrafię. Ja też mówiłam, że cię Kocham. A to znaczy, że wciąż cię Kocham. I nie możesz tego zmienić. Nie możesz, rozumiesz?

Przerwałam, żeby nabrać oddechu. I wtedy zdałam sobie sprawę, że Derrick nie powiedział dotąd ani słowa. Nagle zaczęłam się denerwować.

- Nie masz zamiaru się odezwać?! - krzyknęłam.

Usłyszałam, jak westchnął.

- Chyba wcale nie powinniśmy ze sobą rozmawiać.

W tym momencie wpadłam w prawdziwą furję.

- O, właśnie. Typowe męskie wyjście z sytuacji. Wystarczy przestać rozmawiać. Bo po co rozmawiać? W takim razie po co w ogóle wchodzić w związki?

- Nasz związek się skończył, Emmo.

Trafił mnie w najczulsze miejsce. Bardzo celnie. Czułam, jak prawda powoli dociera do mojego serca.

- Myślałam, że jesteśmy przyjaciółmi...

- Chyba nie możemy być przyjaciółmi. Nie rozumiem, jak mogło mi przyjść do głowy, że to możliwe. Zawsze mnie dziwiło, jakim cudem wytrzymaliśmy ze sobą tak długo. Jesteś nie do... Jesteś taka trudna. Nie umiesz brać rzeczy takimi, jakie są. Raz pozwól, żeby wszystko potoczyło się własnym torem.

- Jeśli masz się za takiego specjalistę od związków międzyludzkich - znowu ogarnęła mnie złość - może zechcesz mnie oświecić...

- Nas już nie ma, Emmo. Między nami wszystko skończone. Wszystko, do cholery! - wrzasnął.

To był śmiercionośny pocisk. Stałam jak ogłuszona i milczałam. W jednej chwili zrobiłam się trzeźwa.

- Posłuchaj, Emmo - tym razem Derrick odezwał się łagodniejszym tonem. - Nie miałem zamiaru cię urazić. Wydawało mi się, że przyjaciółmi można być od razu. I to był mój błąd. Chyba potrzebujemy trochę czasu. Musimy... ochłonąć.

Kiedy zdałam sobie sprawę, co proponuje Derrick, ścisnęło mi się gardło.

- Nie myślę, żeby to był...

- Nie myśl tyle, Emmo. Nie stwarzaj problemów.

- Przepraszam cię bardzo, nie miałam pojęcia, że to jest aż tak kłopotliwe - jeszcze raz szukałam pociechy w złości.

- Do niczego w ten sposób nie dojdziemy - westchnął znowu. - Potrzebna jest nam przerwa. Ustalmy, że nie będziemy rozmawiać ze sobą, powiedzmy, przez miesiąc, dobrze? To nie tak długo - dodał.

Podły! Podły, skoro przyznał się, że wytrzyma cały miesiąc, nie słysząc mojego głosu. Byłam zła. I załamana. Wiedziałam, że muszę z nim skończyć, nawet jeśli miałyby mnie to zniszczyć.

- Miesiąc to za krótko - wysyczałam do telefonu, po czym rzuciłam słuchawkę.

I wtedy - dopiero wtedy - rozplakałam się.

Wyznanie: *Prawda mnie wyzwoliła - już nie mam wątpliwości, że zostałam puszczona kantem.*

Coś we mnie pękło. Chcąc nie chcąc, uwolniłam się od ciężaru, który mnie przygniatał. Wcześniej nie miałam pojęcia o jego istnieniu.

Przez cały dzień siedziałam przy komputerze. Wyłączyłam telefon i - po prostu pisałam. Po kilku godzinach skończyłam najlepszą i najbardziej twórczą propozycję dla „Twojego Ślubu”, jaką stworzyłam w ciągu całej swojej kariery. Snułam poetyckie wizje wyborów, przed którymi stają samotne kobiety między trzydziestką i czterdziestką, rzucałam pomysły artykułów. Byłam wspaniała.

W poniedziałek pojawiłam się w pracy w czarnym blezerze i spodniach - czułam, że ten zestaw dodaje mi sił - i wręczyłam zaskoczonyj Nancy plik świeżo wydrukowanych kartek dla Patrycji. Potem pomaszerowałam prosto do Rebeki, żeby napawać się swoim triumfem. Niestety, okazało się, że Rebeka wzięła wolny dzień z powodu choroby.

Posunęłam się nawet do tego, że przestałam odwozić Alysę od nieuchronnej i wyczekanej przez nią randki z pięknym doktorem Jasonem Carruthersem. Odwrotnie - tego dnia w siłowni przekonywałam ją, że z życia należy korzystać i nie przejmować się konsekwencjami.

Alyssa patrzyła na mnie podejrzliwie, więc w końcu przyznałam się, że wczorajsza wymiana myśli z Derrickiem otworzyła mi w końcu oczy.

We wtorek spotkałyśmy się z Jade w barze Six, żeby zrobić przyjemność Enricowi, który tego dnia miał nocną zmianę. Chyba pracował ciężiej niż zwykle, bo nasze kieliszki ani przez chwilę nie były puste. Naturalnie Jade była zachwycona moim nowym podejściem do życia.

Okolo czwartku wszystko zaczęło się sypać.

Tuż po przyjściu do redakcji zostałam wezwana przez Caroline, która jak zwykle miło i uprzejmie poinformowała mnie, że Patrycja po przeczytaniu mojego projektu przysłała go do niej.

- Uznała, że jako twoja bezpośrednia szefowa powinnam go przejrzeć - powiedziała z niepewnym uśmiechem. I zapytała łagodnym tonem: - Czy wszystko u ciebie w porządku, Emmo?

- Tak - odpowiedziałam zdecydowanie.

- A w sprawach osobistych?

- W osobistych... też. Jasne, że w porządku.

- To dobrze - powiedziała z czymś w rodzaju ulgi i usiadła za biurkiem, ale widziałam, że nie do końca ją przekonałam.

- Muszę przyznać, że po przeczytaniu twoich propozycji nieco się zaniepokoiłam.

- Dlaczego?

- Nie wiem, jak to ująć... - Przygryzła wargę i zamilkła na chwilę. - To, co napisałaś, można nazwać antymażeńskim manifestem.

Zrobiłam wielkie oczy. Otworzyłam usta, żeby się bronić, ale nie zdołałam wyjąkać ani słowa.

- Rozumiem, że pisząc to, miałaś... swoje powody. Ale taki projekt jest po prostu... nie do zaakceptowania. Nie ma mowy, żeby w numerze magazynu „Twój Ślub” znalazły się artykuły zatytułowane - szybko przerzuciła kilka stron - „Życie z dala od ołtarza: możesz mieć to samo, nie wychodząc za mąż”. Albo: „Kiedy słowo »tak« nie jest właściwą odpowiedzią”.

Poczułam dreszcz strachu, ale nie zamierzałam jeszcze się poddawać.

- Pomyślałam, że skoro „Twój Ślub” ma być adresowany do wszystkich kobiet, możemy pokazać inną opcję. To znaczy - zająknęłam się - im więcej się nad tym zastanawiam, tym częściej zauważam, że kobiety, które zbyt długo... czekają na męża, dochodzą... hm... mogą dojść do wniosku, że małżeństwo nie jest jedynym, ani najlepszym, wyjściem.

No to się dograłam.

Ale Caroline nie była zła. Powiedziałabym, że zaniepokoiła się jeszcze bardziej.

- Emmo, rozumiem, co mówisz. Uważam wręcz, że to bardzo ciekawy punkt widzenia, ale - zamilkła na chwilę - musisz pamiętać, że „Twój Ślub” jest pismem, które doradza, jak organizować śluby. - Uśmiechnęła się, jakby chciała pokazać mi humorystyczny aspekt całej sprawy. - Nie zaszlibyśmy daleko - myślę choćby o reklamach - gdybyśmy nagle zaczęli namawiać kobiety, żeby nie wychodziły za mąż. Obawiam się, że wówczas przypadłby nam naprawdę mały kawałek weselnego tortu.

Trafiła w sedno. Tak zachłysnęłam się świeżo odzyskanym poczuciem wolności, że w twórczym szale zapomniałam, dla kogo piszę. Chyba całkiem odebrało mi rozum. Czy ja w ogóle myślałam?

- Byłam wtedy... Chyba byłam za mało... skupiona, pracując nad tym tekstem.

Caroline uśmiechnęła się do mnie ciepło, jak zwykle.

- Nie martw się tym za bardzo, Emmo. - Potem podała mi wydruk projektu. - Spróbuj jeszcze raz. Będzie ci łatwiej teraz, kiedy masz już... dystans.

Wzięłam z biurka plik kartek.

- Dziękuję, Caroline. Spróbuję... coś z tym zrobić. Wróciłam do boksu i zagłębiłam się w rozmyślaniach.

Dlaczego zrobiłam wszystko, żeby każdy, kto coś znaczy w „Twoim Ślubie”, miał mnie za kompletną kretynkę? I właśnie wtedy w moim boksie pojawiła się Rebeka - ostatnia osoba, którą spodziewałam się zobaczyć, ponieważ przez trzy ostatnie dni nie pokazywała się w pracy. Oniemiałam na widok jej twarzy, pokrytej czerwonymi plamami i warstwą białej, kryjącej mazi. Wyglądała strasznie.

- Co ci się stało? - wyjąkałam.

- Muszę z tobą pogadać. W barze, po pracy?

- Jasne.

Wybrałyśmy Rio Grande, bar ze stolikami na dworze, żeby Rebeka nie musiała zdejmować ciemnych okularów, zasłaniających najbardziej opuchnięte partie twarzy. W drodze powiedziała, że wszystkiemu winny jest sumak jadowity, ale dalsze informacje zostawiła na później.

- Jakim cudem udało ci się znaleźć pnącza sumaka jadowitego w środku Nowego Jorku? - zapytałam, kiedy usiadłyśmy naprzeciwko siebie ze szklankami margarity w dłoniach.

- To nie stało się w Nowym Jorku. - Popatrzyła na mnie jak na głupią. - W sobotę rano wyjechaliśmy z Nashem z miasta. Nie mógł zaprosić mnie na urodzinową kolację do Le Colonial, bo wszystkie stoliki były już zarezerwowane, więc postanowił zrobić mi niespodziankę. - Jednym haustem wypić połowę margarity. - Niech diabli wezmą jego pomysły!

Zrobiło mi się głupio, bo oczywiście zapomniałam o jej urodzinach, ale jeden rzut oka wystarczył, żeby zorientować się, że życzyć szczęścia Rebecce byłoby w tej chwili dużym nie-taktem.

- Wyobrażałam sobie weekend w ustronnym domku, spacer przy księżycu. Mnóstwo okazji, żeby w końcu złożyć mi tę najważniejszą propozycję. W końcu tyle razy dawałam mu do zrozumienia, że chcę zaręczyć się przed trzydziestką! Pokiwałam głową ze zrozumieniem.

- Pojechaliśmy w okolice Berkshires. Wszędzie gęsty las. Okolice przepiękne. Rozglądałam się za uroczym domkiem, ale Nash na widok strzałki z napisem „Kemping” skręcił w polną drogę prowadzącą nad jezioro.

- Znam to miejsce! - wykrzyknęłam. - Jeździłam tam w dzieciństwie.

Na Rebecę nie zrobiło to żadnego wrażenia.

- Najwidoczniej Nash też. Ze swoim tatą. Chyba chciał przypomnieć sobie dzieciństwo. Tylko dlaczego postanowił zrobić to akurat w moje urodziny?!

- Sama wiesz, jacy są faceci. Zawsze wydaje im się, że marzymy o tym samym, co oni. - Zaśmiałam się. - W naszą pierwszą rocznicę Derrick zabrał mnie na wojskową strzelnicę. Mówiłam ci kiedyś o tym?

- Najpierw starałam się udawać dobrego kumpla. Nawet się nie skrzywiłam, kiedy zaczął rozstawiać namiot i z rozradowaną miną poprosił mnie o pomoc. Potem Nash jak mały chłopiec biegał po całym kempingu, a ja postanowiłam zejść nad jezioro i wziąć prysznic.

- O, rany! - Też wróciłam wspomnieniami do dzieciństwa.

- Uwielbiam prysznice na świeżym powietrzu, z widokiem na góry! A ty?

Rebeka tylko uniosła brwi. Chyba nie lubiła takich pryszniców.

- Kiedy wróciłam, Nash z głupim uśmieszkiem zaproponował spacer. Od razu wiedziałam, że coś knuje. - Pokręciła głową i żeby dodać sobie odwagi, wypila następny łyk margarity.

- I miałam rację. Ale do głowy mi nie przyszło, co sobie wymyślił.

Nachyliłam się bliżej, żeby nie uronić ani słowa.

- Poszliśmy ścieżką w głąb lasu. I po dwudziestu minutach znaleźliśmy się na polance, gdzie na pniu leżała pięknie zapakowana paczka.

Otworzyłam szeroko oczy.

- Czy to był...?

- Nie! - Pokręciła głową. - Sądząc z rozmiaru - rozłożyła ręce na szerokość około pół metra - mogło to być jakieś kuchenne urządzenie. I było. Robot kuchenny. Dał mi na urodziny pieprzony robot kuchenny.

- Czegoś tu nie rozumiem. Przecież poszliście na spacer...

- Okazało się, że to był pomysł jego taty. W dzień urodzin Nasha wyjeżdżali razem na kemping. Ojciec biegł do lasu i chował tam prezent. Potem znajdowali go wspólnie, a on udawał zaskoczonego. - Rebeka przewróciła oczami. - Grali w to przez całe lata. Trochę rozumiem Nasha. To jego pierwsze lato bez ojca. Chciał go wskrzesić we wspomnieniach. Ale żeby kupować mi robota!

Współczucie malujące się na jej twarzy ustąpiło miejsca niedowierzaniu i złości.

- To w pewnym sensie znaczący prezent - powiedziałam. - Nash w myślach widzi cię w domu. Jak... jak żonę.

- Miałabym pewność, że tak jest, gdyby na pniu w lesie czekał na mnie pierścionek. Powiedziałam to Nashowi od razu.

- Co?! - Oniemiałam.

- Tak zrobiłam. - Wypiła margaritę do dna. - Byłam wściekła. Chwyciłam tego przekłętą robota i rzuciłam go w krzaki. - Roześmiała się ponuro. - Tylko po to, żeby nadzieć się później na sumaka jadowitego. - Westchnęła ciężko i opowiadała dalej. - Nash miał taką nieszczęśliwą minę, że zrobiło mi się wstyd. Zaczęłam przedzierać się przez krzaki, żeby odnaleźć pudło, i wlałam w to cholerne pnącze. Nash zachowywał się tak, jakbym zepsuła mu pomysł na weekend. Jak on śmiał! Zrozum - jesteśmy ze sobą od dwóch lat, i nic!

Uśmiechnęłam się smutno. Wiedziałam, jak niewiele znaczą takie dwa lata.

- Nie robię się młodsza - ciągnęła Rebeka. - A teraz, kiedy zaczynam realizować swoje cele w pracy... - Przerwała na chwilę, jakby chciała sprawdzić, jak zareagowałam na te słowa. - Nadszedł czas na inne życiowe cele. Na przykład małżeństwo. Rodzina.

Szczegółowy plan Rebeki uświadomił mi, jak daleko w tyle zostałam. Mało brakowało - naprawdę mało - a przyznałabym się do rozstania z Derrickiem. Chciałam dać upust emocjom, ale przeszkadzała mi twarda gula rosnąca w gardle. Wszystko przez tę cholerną rozmowę telefoniczną!

- Teraz Nash nareszcie wie, jak powinien zareagować - powiedziała twardo - i mam nadzieję, że zacznie rozglądać się za pierścionkiem. - Zastanowiła się chwilę. - Chyba muszę pożyczyć z redakcji jeszcze więcej zdjęć zaręczynowych pierścionków. Tych poprzednich nawet nie zauważył, mimo że leżały na wierzchu. Nie mogę pozwolić, żeby kupił mi coś brzydkiego. Rozumiesz - są rzeczy, których nie można nosić. Nawet z miłości.

- Jasne - mruknęłam, ale nie byłam w stanie słuchać dalszych słów Rebeki.

Wyznanie: *To okropne, ale uzależniłam się od małej, czerwonej lampki migającej (bądź nie) na automatycznej sekretarce.*

Cały weekend minął bez telefonu od jakiegokolwiek osobnika płci męskiej, wliczając w to mojego ojca. Co jest ze mną nie tak, skoro w kolejny sobotni wieczór siedzę sama w domu?

Dzwoniłam już do Alyssy - nie tylko po to, żeby zapytać, jak czuje się Lulu, która po udanej operacji dochodziła do zdrowia w domu, ale też po to, żeby zagłuszyć swoją samotność. Z relacji Alyssy wynikało, że Lulu ma się coraz lepiej, mimo że jest trochę obolała i przeszkadzają jej szwy. Oboje z Richardem postanowili zostać w domu, żeby jej doglądać.

- Przyjdź do nas, jeśli masz ochotę - zaproponowała machinalnie, ale ja byłam zbyt zadowolona, żeby spędzać wieczór z Alyssą i Richardem. A poza tym, moje negatywne nastawienie na pewno nie ułatwiłoby Lulu rekonwalescencji.

Zadzwoiłam też do Jade - po to, żeby dowiedzieć się, że ona i Enrico wychodzą potańczyć. Oczywiście Jade zaproponowała, żeby pójść z nimi, ale myśl o bezsensownym podskakiwaniu na parkiecie nie wydała mi się szczególnie zachęcająca.

Był wieczór, sobota, a ja znowu byłam sama. Postanowiłam coś z tym zrobić. Z tą myślą włączyłam komputer i usiadłam, zastanawiając się, jak poprawić swój nieszczęsny projekt poświęcony pannom młodym po trzydziestce. Jednak zamiast wprowadzania poprawek przyjaznych środowisku ślubno-weselnemu, zastosowałam typową dla siebie technikę gry na zwłokę: zaczęłam przeglądać zawartość starych plików, zaczynając od tego, który nosił bardzo zwyczajną nazwę „notatki”. Ze zdziwieniem odkryłam, że to szkicowa wersja powieści, którą podobno kiedyś pisałam. Zgodnie z nazwą, były to luźne informacje o postaciach, które zamierałam wprowadzić, oraz zarys kilku sytuacji.

Przelatywałam je wzrokiem, kiedy nagle trafiłam na niemal gotowy fragment. Tekstu nie było wiele, dwie, może trzy strony opisu siedzącej przed lustrem kobiety, która przygotowuje się do wyjścia. Jednak czytając go, wciągałam się coraz bardziej. A kiedy doszłam do ostatniego akapitu, zdarzyło się coś przedziwnego. Usiadłam wygodniej i dopisałam zamknięcie sceny. Ani się spostrzegłam, kiedy wystukałam trzy pełne strony.

Zamykałam komputer w stanie niezwykłego zadowolenia. Kiedy po kującej kąpieli w pianie kładłam się spać, ogarnęło mnie poczucie satysfakcji, jakiej nie pamiętałam od czasów zakończenia studiów. Napisałam wtedy kilka opowiadań, które złożyły się na moją pracę magi-

sterską. Teraz pisałam znowu. Naprawdę mi się udało. Może powoli zmieniałam się w osobę, którą naprawdę chciałabym być?

Wyznanie: *No, dobrze. Nie byłam jeszcze całkiem z siebie zadowolona. Ale wtedy zadzwonił telefon...*

Sama Opatrzność dała mi znak, że naprawdę stanęłam u progu nowego życia. W niedzielę wieczorem dzwonek telefonu przerwał ciszę, która towarzyszyła mi przez większą część weekendu. Szczytywałam akurat pięć poprawionych na świeżo stron i zdecydowałam się nie odbierać. Chwilę później usłyszałam głos Maksa Van Geldera i znieruchomiałam.

- Emma? Tu Maks. Pamiętasz mnie? - Rozległ się przytłumiony chichot. - Przepraszam, że się nie odzywałem. Dostałem propozycję, której nie mogłem odrzucić. Dla „Rolling Stone Magazine”. Dosłownie na ostatnią chwilę. - Następny chichot, tym razem pełny satysfakcji.

Ale się przechwala! - pomyślałam sobie, chociaż w środku trzęsłam się cała z podniecenia.

- W każdym razie... Czy nie wybrałabyś się gdzieś ze mną w tym tygodniu? Zadzwonił. Mój numer: 555-76-84. Czekam. Trzymaj się.

Skoczyłam na równe nogi i odtańczyłam dziki taniec. Zadzwonił! Maks Vari Gelder zadzwonił do mnie!

Zwycięstwa nie da się świętować samotnie. Złapałam słuchawkę i wybrałam numer Jade.

- Halo? - usłyszałam ochrypły głos.

- Spałaś? - nie mogłam wyjść ze zdumienia, bo było dopiero wpół do dziewiątej.

- Nie, nie. Odpoczywałam. Enrico wyszedł godzinę temu i ledwo żyję - oznajmiła tonem kobiety w pełni usatysfakcjonowanej.

- Zadzwonił! - nie mogłam dłużej wytrzymać.

- Kto zadzwonił?

- Maks Van Gelder. Ten pisarz, którego spotkałam na bankiecie promującym „Męskie Interesy”.

- Dosty długo z tym czekał. Co powiedział?

- Robił coś na ostatnią chwilę dla „Rolling Stone”.

- Hm - mruknęła. - No i czego chciał?

- Umówić się ze mną! - Postanowiłam, że nie pozwolę Jade zepsuć sobie humoru.

- Aha. Telefonował w niedzielę wieczorem? Mam nadzieję, że jeszcze się z nim nie umówiłaś.

- Nie, skądże. Nagrał się na sekretarce. Zostawił mi swój numer!

- Nie oddzwaniaj. Nie mówię, że w ogóle. Tylko nie dzwoń od razu. Niech poczeka. Tak jak ty czekałaś.

- Jak długo? - spytałam.

- Przynajmniej do środy. Możesz wtedy umawiać się z nim na weekend.

- Ale on chciał umówić się w tygodniu!

- Emmo, posłuchaj mnie. Nie rozmawiamy o tym, czego on chce. Jeśli zaczniesz ustępować już na drugiej randce, jesteś skończona. Każ mu się pomęczyć.

Jade miała rację. Musiałam się pilnować. Po prostu byłam pewna, że Maks nigdy nie zadzwoni, więc kiedy stało się inaczej, straciłam resztki rozumu. Teraz powoli zaczynałam panować nad sytuacją.

- Wiesz, co było w tym najdziwniejsze? - zapytałam.

- Kiedy zadzwonił telefon, ja... pisałam! To chyba znak. Rozumiesz... on jest pisarzem. Ja chcę być pisarką.

- Ty jesteś pisarką, Emmo.

- Nie mogę powiedzieć, żebym ostatnio coś napisała. Bo „Twój Ślub” się nie liczy.

- To nic. Jeśli muzyk nie należy do żadnego zespołu, to nie znaczy, że nie umie grać na gitarze.

- Od kiedy zajęłaś się filozofowaniem?

- Kobieta może wszystko, pod warunkiem że ma bogate życie seksualne. Sama zobaczysz.

- Dlaczego myślisz, że nie miałam bogatego życia seksualnego? Derrick i ja...

- Nie zaczynaj. Skończyłaś z Derrickiem raz na zawsze. Zastanów się lepiej, czy masz ładną bieliznę. Jeśli nie, musisz zaraz pójść do dobrego sklepu.

- Przecież nie pójdę z nim do łóżka już na drugiej randce.

- Nigdy nie wiadomo. Ja uważam, że dobrze by ci to zrobiło. Pamiętaj, że seks...

- ...to prozac dla samotnych dziewczyn. Wiem, wiem.

Nie mogłam się przyznać, że poczułam strach na myśl o seksie z Maksem. A właściwie - o seksie z kimkolwiek, kto nie był Derrickiem.

- Na pewno pójdę poćwiczyć.

- Proszę bardzo, idź. Ale pamiętaj, że robisz to dla siebie, nie dlatego, że musisz. Wyglądasz świetnie.

- Kiedy ostatni raz widziałaś mnie rozebraną?

- Nie musisz się rozbierać, ja i tak wiem, jak wyglądasz. Chyba zapomniałaś, że jestem projektantką mody.

Uśmiechnęłam się do siebie. Może naprawdę jestem ładna? Łatwo mi w to uwierzyć teraz, kiedy na moim telefonie miga czerwona żaróweczka.

- Miło słyszeć, że nie straciłaś wiary we mnie, Jade. Dzięki.

- Nie ma sprawy. Po to ma się przyjaciół, prawda?

Wyznanie: Nagle oszalałam na punkcie mężczyzn. A ich jak nie było, tak nie ma.

W poniedziałek po południu wypociłam drugą wersję projektu i po trzykrotnym sprawdzeniu odniosłam Patrycji. Nie byłam pewna, czy materiał spełni jej oczekiwania, ale - niespodziewanie dla siebie samej - zauważyłam, że jest mi to obojętne. Co innego, gdyby chodziło o powieść. Moją powieść, nad którą pracowałam przez cały weekend. Powieść, o której wspomnę mimochodem Maksowi, kiedy już do niego zatelefonuję. On mnie zrozumie.

Po powrocie do domu zadzwoniłam do Alyssy, żeby sprawdzić, czy Lulu wraca do zdrowia. Przed południem dzwoniłam do niej do biura. Wzięła dzień wolny - rzekomo po to, żeby iść z psem do weterynarza. Denerwowałam się przez resztę dnia, bo Lys nie oddzwoniła.

Teraz usłyszałam w słuchawce radosne „cześć”.

- Co się dzieje? - Miałam nadzieję, że nie był to efekt wzrostu poziomu feromonów po dniu spędzonym z doktorem Jasonem Carruthersem.

- Jestem zakochana.

O Boże! Jest gorzej, niż sądziłam.

- To twoja zasługa. Jestem taka zadowolona, że czekałam z tym, wiesz... aż do operacji Lulu...

- Alyssy! - próbowałam protestować. - Po operacji Lulu jesteś bardziej podatna na wzruszenia. Nie możesz być zakochana w Jasonie...

- Nie jestem zakochana w Jasonie, ale w Richardzie.

Kamień spadł mi z serca.

- No, to mów. Ale od początku.

- Jak wiesz, przywiozłam Lulu w sobotę...

- Wiem. I jak ona się ma?

- Coraz lepiej. Naprawdę.

- To dobrze.

Zamilkłam, czekając na opowieść o tym, jak wrócił jej rozum.

- W sobotę Lulu czuła się marnie, więc daliśmy jej z Richardem środki przeciwbólowe, które zapisał Jason. Najważniejsze było, żeby zasnęła.

- No i?

- Padliśmy z Richardem około jedenastej w nocy. Oboje byliśmy wykończeni po całym dniu skakania wokół Lulu, która akurat zasnęła.

- Rozumiem - powiedziałam, chociaż wcale nie rozumiałam, gdzie tu miejsce na miłość.

- Około pierwszej Richard wyskoczył z łóżka. Z kuchni, w której leżała Lulu, dochodziły dziwne dźwięki. Okazało się, że suka wymiotuje. Byłam przerażona jak nigdy w życiu.

- I co zrobiłaś?

- Co mogłam zrobić? Zadzwoiłam do Jasona. Ale nie było go w domu. Nagrałam mu się na sekretarkę. Oddzwonił po godzinie. Lulu już nie wymiotowała, ale była bardzo słaba.

- Przyszedeł?

- Nie. Okazało się, że wyjechał na weekend na Fire Island i wróci do miasta dopiero w niedzielę. Kazał nam podawać Lulu płyny, żeby się nie odwodniła. Usiedliśmy z Richardem i przez resztę nocy wlewaliśmy jej wodę do pyszczka. Pipetą, bo inaczej się nie dało. Uspokajaliśmy ją. I siebie nawzajem. Nie miałam pojęcia, jak bardzo Richard jest przywiązany do Lulu. I do mnie. Siedzieliśmy do rana i rozmawialiśmy. To było... wspaniale.

- Alysso! To cudownie!

- Kiedy poszłam dziś do Jasona - ciągnęła - okazało się, że Lulu jest uczulona na środki przeciwbólowe, które jej zapisał.

- A to łotr!

- To nie jego wina. Skąd miał to wiedzieć? Nigdy przedtem nie chorowała.

- Mógł zrobić testy.

- Emma, przestań. Jestem bardzo wdzięczna Jasonowi. Tym bardziej że biopsja wykazała, że guz nie jest złośliwy.

- Jak się cieszę!

- Ja też. Byłam taka szczęśliwa, że uściskałam Jasona. I wiesz co? On mnie już nie pociąga!

Wbrew mojej woli stanął mi przed oczami oszałamiająco przystojny doktor Carruthers, ale szybko zaczęłam myśleć o czymś innym. Byłam naprawdę szczęśliwa, że Alyssa i Richard znów się odnaleźli.

- Zastanawiam się teraz, czy nie zmienić Lulu leczenia. Chyba spróbuję homeopatii. Podobno w East Village jest weterynarz, który stosuje metody holistyczne. Wydaje mi się, że Jason nie jest na bieżąco.

Uśmiechnęłam się do siebie. Bez względu na to, co będzie z Lulu, Alyssa i Richard wytrzymają razem niejedno. Zdali egzamin.

- Muszę iść - powiedziała teraz. - Richard gotuje dzisiaj obiad i, sądząc z odgłosów dochodzących z kuchni, potrzebuje mojej pomocy.

Rozłączyłyśmy się kilka minut później. Czułam w kościach, że Alyssa i Richard są sobie pisani i nie pomyliłam się.

Przyszedł mi do głowy Maks. Z nadzieją i niecierpliwością pomyślałam, że może moja intuicja mnie nie zawiedzie. Może to będzie ten jeden jedyny?

ROZDZIAŁ DZIESIĄTY

„Miłość to słodkie piekło, z którego uciec umieją tylko naprawdę odważni”

- Bart Freely, reżyser „Samotnego kochanka”

Wyznanie: *Moim ciałem zawładnęła zupełnie nowa kobieta: superdzielna kobieta samotna.*

Otaczały mnie pozytywne wibracje. Nie było sensu zwlekać. We wtorkowy wieczór zrobiłam to, co nieuniknione. Zadzwoiłam do Maksa. Nie mogłam się powstrzymać. A kiedy usłyszałam zadowolenie w jego głosie, miałam dowód, że postąpiłam słusznie.

- Emma! Cieszę się, że dzwonicz. Jak się masz?

- Cudownie, a ty?

- Super, super. Przepraszam, że tak długo się nie odzywałem. Ja...

- Długo? Nawet nie zauważyłam. Byłam strasznie zajęta - skłamałam. - Pracuję nad projektem specjalnego numeru mojego pisma. No, i piszę powieść. Wiesz, jak to jest.

- Och, tak - odpowiedział i zachichotał. - To co, masz ochotę się zabawić?

- Zależy od tego, co chcesz mi zaproponować - odparłam, chociaż dobrze wiedziałam, że zgodziłabym się na wszystko, nawet na oglądanie meczu piłki nożnej przy piwie w gronie jego kumpli.

- W ten weekend jest premiera „Samotnego kochanka”, nowego filmu Barta Freely'ego. Freely to jeden z moich ulubionych reżyserów.

Przeszył mnie dreszcz. Bart Freely był również ulubionym reżyserem Derricka. Dalsze słowa Maksa zrobiły na mnie jeszcze większe wrażenie.

- Grają go w kinie Beekman, tuż obok mnie. Może dla odmiany wybrałabyś się do Upper East Side? A poza tym Beekman to wspaniałe, stare kino.

Zapraszał mnie na swój teren. Nastawiłam anteny radarów. Chce mi pokazać swój świat. A może nawet... zaprosić do swojego mieszkania. Uhm...

- Brzmi nieźle - odpowiedziałam, tak jakby wcale nie obeszły mnie erotyczne implikacje tej propozycji.

- Jeśli chcesz, przyjadę po ciebie... - zaczął.

Zaimponowała mi i pochlebiła rycerska propozycja dalekiej wyprawy do centrum.

- Och, nie ma takiej potrzeby. Może spotkamy się w kinie? - szybko odpowiedziałam.

- Wspaniale - odparł z wyraźną ulgą. - Seans zaczyna się piętnaście po dziewiątej. Może umówimy się o wpół do dziewiątej? Wiesz, jak trudno jest dostać się na seans w piątek wieczorem.

Derrick zawsze się upierał, żeby przychodzić do kina wcześniej. Chciał mieć pewność, że zajmie dobre miejsce na środku.

- Świetnie - powiedziałam.

- No, to jesteśmy umówieni. Do zobaczenia w piątek o wpół do dziewiątej.

- Do zobaczenia. Potem jeszcze dodał:

- Naprawdę cieszę się z tego spotkania, Emmo.

- Ja też.

Święta prawda. Miałam tylko nadzieję, że nerwowe wyczekiwanie nie skończy się atakiem strachu.

Wyznanie: *W końcu zrozumiałam, dlaczego seks to nieprzyzwoite słowo.*

- Emmo, nie musisz iść z nim do łóżka tylko dlatego, że zaprosił cię na swój teren - powiedziała Jade, której jeszcze tego samego wieczoru opowiedziałam o swoich wielkich planach.

- Przecież wiem.

Ale prawdę mówiąc, zdążyłam wymyślić już każdy szczegół swojego stroju, łącznie z czarną, koronkową bielizną.

- Nie! Zmieniłam zdanie. Uważam, że nie powinnaś iść z nim do łóżka tak szybko.

- Patrzcie państwo! I kto tu zaleca mi celibat!

- Widzę, jak on manipuluje sytuacją i to mi się nie podoba. Musisz mu stale przypominać, że to ty ją kontrolujesz. Najszybciej zrozumie, że nie on tu rządzi, jeśli się z nim nie przepisz. Uwierz mi, faceci zawsze próbują narzucać swoją wolę. - Jade westchnęła. - Na tym właśnie polega twój problem, Emmo. Zawsze ci się wydaje, że mężczyzna plus kobieta musi równać się „żyli-długo-i-szczęśliwie”.

- Nieprawda! - Teraz ja zaczęłam się bronić. - Po prostu mogłoby być miło... Ja i Maks. Ty i Enrico. Alyssa i Richard.

- Za dużo sobie wyobrażasz, Emmo. Nawet Alyssa i Richard nie są pewni, czym się to skończy...

- Oni akurat są - odparłam radośnie, po czym przekazałam szczegóły szczęśliwego pojednania Alyssi i Richarda.

Nie miałam wątpliwości, że Jade też się cieszy. Jak mogłoby być inaczej? Dobrze wiedziałam, że tak samo jak ja uważa Alyssę i Richarda za bratnie dusze. Ale Jade nie byłaby sobą, gdyby nie wykorzystwała romantycznej opowieści o pogodzonej parze jako pretekstu do rozmowy o seksualnych przygodach.

- Czy to znaczy, że doktorek jest wolny? - zapytała.

- Jesteś nieznośna - odpowiedziałam.

- I za to właśnie mnie kochasz.

- To prawda. Co bym bez ciebie zrobiła po odejściu Derricka? Kto by mi przypominał, że dookoła jest mnóstwo zwierzyny?

- Raczej robactwa w suterenie, nie uważasz? - poprawiła mnie. - W końcu to Nowy Jork.

- Jade!

Akceptowałam jej skłonność do erotycznych przygód. Gorzej z cynizmem. To naprawdę mnie martwiło.

Wyznanie: Cynizm może się okazać moją jedyną bronią.

Jeśli o mnie chodzi, piątkowy wieczór nadszedł zdecydowanie za szybko.

Tylko raz byłam w siłowni, ale i tak ćwiczyłam na pół gwizdka, bo większość czasu przesiedziałyśmy z Alyssą w saunie, paplając o odrodzeniu jej związku z Richardem. O niespodziewanym bukietcie róż, które dostarczono jej w poniedziałek do biura. O relaksacyjnym masażu we wtorek po pracy. I o tym, że wczoraj wieczorem Richard zrezygnował z meczu Jankesów, żeby mogli spędzić trochę czasu razem. Na dodatek Lulu wróciła już do formy i jest żwawa jak zwykle. Zdziwiająca, jak wiele dobrego może zdziałać jedna mała trauma.

Nie miałam też dość czasu, żeby dojść do siebie po tym, jak zwały się na mnie dwie parszywe wiadomości. W środę dowiedziałam się, że Patrycja ostatecznie odrzuciła mój projekt numeru specjalnego. Caroline swoim typowym, uspokajającym tonem zaproponowała mi napisanie artykułu o pannach młodych po trzydziestce do numeru Rebeki, ale nie miałam do tego serca. Zwłaszcza że wszyscy, z którymi zdarzyło mi się ostatnio rozmawiać w redakcji, z Re-

beką i Marcy Keller na czele, nic tylko zasypywali mnie informacjami o tym, że wydanie specjalne zapowiada się wspaniale.

Druga wiadomość była dużo bardziej niepokojąca. Do redakcji zadzwoniła Deirdre, żona mojego ojca, a ponieważ nie było mnie przy biurku, nagrała się na sekretarkę. Usłyszałam trzy groźne słowa:

- On znowu pije. - Po czym dodała zrezygnowanym tonem: - Zadzwoń, jak będziesz mogła.

Nie będę ukrywać, że nie oddzwoniłam od razu. Ani nie pojechałam do nich. Nie mogłam wziąć udziału w rodzinnym szaleństwie, kiedy z całych sił próbowałam ułożyć sobie normalne życie. W piątek wieczorem udało mi się wręcz wyprzeć to z głowy. Wyszuszyłam włosy, włożyłam najlepszą parę dżinsów, klapki i pomarańczową koszulkę bez rękawów, którą Jade wypatrzyła na wyprzedaży. Byłam gotowa na spotkanie z Maksem Van Gelderem.

Czekał na mnie przed kinem. Nie ukrywam, że sprawiło mi to satysfakcję. Zgodnie z radą Jade nie spieszyłam się. Chociaż przyszło mi to z trudem, spóźniłam się o całe pięć minut.

- Cześć! - Podeszłam do niego.

- Witaj. - Omiótł mnie spojrzeniem, a potem pocałował, szybko i mocno. W usta.

Zaczyna się interesująco, pomyślałam. Pocałunek był oczywisty. Zaryzykowałabym twierdzenie, że tak wita cię... twój osobisty chłopak.

Wyszczrzył do mnie zęby.

- Świetnie wyglądasz. Kolejny punkt dla Maksa.

- Dzięki. Ty też niczego sobie - odpowiedziałam.

Znowu uśmiech. Zrobiłam się trochę nerwowa, ale to było nawet ekscytujące - na swój sposób.

- Możemy już wejść? Zajmiemy sobie dobre miejsca. Mam bilety.

Wziął mnie za rękę i poprowadził do środka. Przeszył mnie dreszczyk emocji, bo czułam, że świetnie prezentujemy się razem: on w czarnych dżinsach i modnym podkoszulku w barwach ochronnych i ja, też w dżinsach i ostrym pomarańcu. Prawdziwi nowojorscy bywalcy. Ja i Derrick nigdy nie wyglądaliśmy aż tak dobrze - uświadomiłam sobie z satysfakcją.

Niestety, mój nowy, wspaniały adorator w jednym do złudzenia przypominał Derricka: miał obsesję na punkcie miejsc w kinie. Bez zatrzymywania minęliśmy barek. Maks mruknął coś o konieczności znalezienia foteli, zanim rzuci się na nie tłum. Potem otworzył drzwi do sali kinowej i poddał ją gruntownym oględzinom.

- Świetnie. Wygląda na to, że mamy szanse na miejsca w środku. - Pokręcił głową. - Trochę za blisko ekranu. Zaraz... - Stanowczym gestem położył mi dłoń na plecach i popchnął w stronę dwóch foteli w środku rzędu. - Przepraszam pana - powiedział do krępego faceta, który pierwszy wypatrzył wolne miejsca i przyglądał się im, nie wierząc własnym oczom.

Przedarliśmy się przez tłum i zajęliśmy jego wymarzone pozycje. Maks rozsiadł się na fotelu i dokładnie sprawdził pole widzenia. Zniżył się nawet, żeby sprawdzić, czy stosunkowo niska osoba przed nami nie zasłania mu widoku. Dopiero kiedy zakończył tę procedurę, odwrócił się z uśmiechem do mnie:

- Idealnie - wyszeptał. - A jak u ciebie?

- Doskonale - powiedziałam, uśmiechając się tępo.

Nagle ujawnione podobieństwo do Derricka zbiło mnie z nóg. Doświadczyłam czegoś w rodzaju déjà vu. Czy wszyscy mężczyźni są tacy?

- Chcesz coś z barku? - zapytał.

- Eee... - Spojrzałam na rząd ludzi z prawej, licząc, że tym razem przeszkodzi raczej im, zamiast przepychać się obok krępego faceta i grupki jego rozczarowanych przyjaciół. - Może coś do picia.

- Oczywiście. Wezmę też popcorn.

Po czym wstał i ruszył, dziękować Bogu, w prawo. Dzięki temu mogłam przez chwilę kontemplować jego zgrabny tyłek. Noc kryła w sobie wiele obietnic...

Wrócił piętnaście minut później, dzielnie radząc sobie z dwoma napojami i gigantycznym pojemnikiem z popcornem. Potem podał mi napój i posłał kolejny uśmiech, od którego dostaje się gęziej skórki.

- Nie mogłem się doczekać tego filmu - powiedział, po czym strategicznie ustawił popcorn między nami.

Światła przygasły, a na ekranie ukazała się pierwsza zapowiedź. Wymieniliśmy kilka kąśliwych uwag na temat wątpliwej jakości trzech reklamowanych filmów i zamilkliśmy, gdy pokazały się napisy początkowe naszego filmu. Lata przebywania w towarzystwie innego kinowego fanatyka nauczyły mnie, że każde słowo rzucone podczas seansu mogło się okazać zabójcze, dlatego też trzymałam język za zębami.

Podczas filmu opowiadającego o życiu młodego mieszcza rozdartego między miłością do wyjątkowo wrednej sąsiadki i uczuciem do kobiety, z którą związany jest od siedmiu lat, zyskałam bolesną świadomość dwóch rzeczy. Po pierwsze, Bart Freely, reżyser wyjątkowy

według Derricka i Maksa, konstruuje wszystkie swoje filmy wokół problemu całkowitej niemożności zbudowania porozumienia między dwojgiem ludzi na jakimkolwiek emocjonalnym poziomie. I po drugie, cały czas trwania filmu fizyczna odległość między mną a Maksem była rażąco wielka. Patrzył przed siebie, kolana trzymał daleko ode mnie, a ręką obejmował czule pojemnik z kukurydzą. A poza tym - wziął w całkowite posiadanie oparcie fotela, podobnie jak facet po mojej drugiej stronie, przez co musiałam trzymać ręce na kolanach. Nie dotykaliśmy się nawet ramionami. Tak jakbym była w kinie sama.

Nadszedł wielki finał. Młody bohater, wyrzucony przez dziewczynę, z którą mieszkał, i porzucony przez podłą kochankę, czyta Nietzschego w słabo oświetlonej restauracji. Wydaje się niewiarygodnie zadowolony ze swojej samotności. Przeniknęło mnie dziwnie złowrogie uczucie. Zaryzykowałam spojrzenie na całkowicie pochłoniętego filmem Maksa. Miałam wrażenie, że zupełnie zapomniał o mojej obecności.

To nie był dobry znak, chociaż nie umiałabym - i nie chciałam - powiedzieć konkretnie dlaczego. Kiedy przed naszymi oczami przelatowały napisy, wzięłam go za rękę, żeby zlikwidować dzielący nas dystans.

Posłał mi ten swój zabójczy uśmiech i moje wątpliwości zniknęły w mgnieniu oka.

- No i co myślisz? - zapytałam.

- Ekstaza. Czysta filmowa ekstaza. Freely jeszcze nigdy mnie nie rozczarował. Jak on to robi? Jakim cudem przekazuje równocześnie piękno i bolesny nihilizm ludzkich związków? To... prawdziwy geniusz!

W mojej głowie rozległ się ostrzegawczy głos, ale zepchnęłam go do głębokich pokładów podświadomości. Zrobiłam odpowiednio zamyśloną minę. Moją jedyną reakcją było tylko dwuznaczne „hmmm”.

Na szczęście konieczność wyrażenia prawdziwych odczuć została mi oszczędzona, bo Maks najwyraźniej zakochał się w dźwięku własnego głosu. Gadał i gadał o „geniuszu” Barta Freely'ego. Rozwodził się lirycznie na każdy temat - od kondycji człowieka po zasmucający stan Hollywoodu, w którym nie ma miejsca dla innych (no, miał rację) i wyjątkowych (ludzie, dla kogo?) reżyserów w rodzaju Barta Freely'ego.

W końcu dotarliśmy do miejsca, które miało być naszym następnym przystankiem tego wieczoru. Nazywał się po prostu Bar.

- Masz ochotę na coś do jedzenia? Albo do picia? - zapytał z nadzieją Maks.

Najwidoczniej Bar serwował również kolacje.

- Pewnie. - Poczulałam coś w rodzaju ulgi, że nie próbował zaciągnąć mnie prosto do domu.

Gdy usiedliśmy naprzeciwko siebie, przywołałam wspomnienia naszej pierwszej randki. Patrzyłam na Maksa uważnie studiującego menu i przypominałam sobie, dlaczego aż tak mi się spodobał. Po pierwsze, był namiętny, po drugie, był intelektualistą i po trzecie i najważniejsze, był pisarzem - i odnosił sukcesy. W dodatku na takiego wyglądał.

- Może zaczniemy od paru drinków? - zaproponował. - Potem, jeśli będziemy mieli ochotę, możemy zamówić jakieś zakąski. Chyba że masz ochotę na pełną kolację...?

Nigdy nie przyznałabym się, że zjadłabym konia z kopytami - jego wzrok sugerował, że jedzenie nie jest potrzebne nam, intelektualistom. Nagle zaczęłam się zastanawiać, dlaczego na randkach faceci nigdy nie proponują mi kolacji.

- Świetnie - odpowiedziałam.

- Zamawiam dla siebie moje ulubione bombay martini. - Potem zmrużył lekko oczy, jakby próbował wydobyć coś z zakamarków pamięci. - A ty? Co piłaś ostatnim razem? Jakiś drink z tequilą?

Nagle przypominałam sobie, jak pożegnał mnie po pierwszej randce.

- Wiesz, chyba zdecyduję się na kieliszek merlota.

Chyba go rozczarował mój wybór, ale nie dał tego po sobie poznać, kiedy pojawił się kelner.

- I jak idzie pisanie książki? - zapytał, gdy zostaliśmy sami.

- Świetnie - odpowiedziałam, ale wewnątrz aż się skuliłam, bo od niedzielnego telefonu Maksa nawet do niej nie zajrzałam. Jakbym na dźwięk jego głosu skierowała wszystkie wysiłki w inną stronę. - A u ciebie? Skończyłeś artykuł?

- Och, tak. To była tylko recenzja książki. Nic wielkiego - odparł, wzruszając ramionami.

Zignorowałam fakt, że jeszcze niedawno to proste zadanie stanowiło wymówkę, dla której nie zadzwonił do mnie przez ponad tydzień.

- Super. A książka jaka, dobra?

- Nic specjalnego. Z radością wróciłem do swojego pisania - odparł z błyskiem w oku.

Kelner przyniósł drinki, a my ciągnęliśmy rozmowę o pisaniu. Uświadomiłam sobie, że już raz odgrywałam podobne przedstawienie. Czułam się tak, jakbym mówiła nie do Maksa, a do Derricka. Wszystko, do najdrobniejszych szczegółów, wyglądało tak samo - dwoje pisarzy ujawnia swoje prawdziwe pasje i w ogóle nie słucha siebie nawzajem.

Mimo wszelkich wątpliwości zaczynałam się w nim podkochać. Co mogłam na to poradzić? Merlot rozgrzewał moje zmysły bardziej, niż się spodziewałam, pewnie dlatego, że nie zamówiliśmy nawet jednej przekąski, a sporo czasu minęło od chwili, kiedy jadłam coś konkretnego. Delikatne, post-Derrickowskie opary przepełniły moje ciepłe uczucia do Maksa. W każdym razie, kiedy kilka godzin później poprosił o rachunek i wyprowadził mnie na zewnątrz, byłam przepełniona ciepłymi uczuciami, spotęgowanymi jeszcze przez mgłę wspomnień o Derricku.

Tej przedziwnej mieszanki emocji nie ostudziło nawet chłodne, nocne powietrze, które poczułam na twarzy zaraz po wyjściu na ulicę. Zorientowałam się nagle, że kiwam z zapalem głową w odpowiedzi na propozycję Maksa, żebyśmy poszli do niego. Na chwilę, jak powiedział.

Miał podobno zabójczą kawalerkę z prawdziwym kominkiem, za półtora tysiąca dolarów miesięcznie.

Poszliśmy - ja, odprężona, z głową opartą na jego ramieniu, jakbyśmy byli parą od dwóch lat, a nie od dwóch wieczorów. Był taki konkretny. Taki męski. I nagle uświadomiłam sobie, jak bardzo brakowało mi prawdziwego, konkretnego mężczyzny.

A potem zobaczyłam jego mieszkanie.

Jeden przycisk wystarczył, aby mieszkanie zajaśniało ciepłem i kolorem. Znalazłam się w rozległym salonie, o jakim zwykły mieszkaniec miasta może tylko pomarzyć.

- Tu jest cudownie - powiedziałam bez tchu i odwróciłam się, żeby spojrzeć na Maksa.

Uśmiechnął się z zadowoleniem, jakby sam własnymi rękami ułożył każdą cegłę kominka.

- Pozwól, że cię oprowadzę.

Zaprowadził mnie do kuchni. Nie był to rząd mebli ustawionych wzdłuż ściany ani wciśniętych we wnękę, która niegdyś była szafą, lecz kompletna kuchnia połączona z jadalnią, ze stołem i krzesłami oraz - co jeszcze rzadsze - oknem. Przełknęłam ślinę. Zabrakło mi słów. Wziął mnie za rękę, żeby pokazać główny punkt programu. Czyli sypialnię.

Sklepiiony sufit, rząd okien i łóżko w błękitach i szarościach, tak wymuskane, że można by podejrzewać u niego jakieś skłonności homo, gdyby nie drapieżne spojrzenie, jakim mnie omiół.

Chciałam się z nim przespać. Chciałam tego wszystkiego - ognia w kominku, kuchni z jadalnią, sklepienia. Czułam czystą, niezmaconą żądzę.

- Masz ochotę na coś do picia? - zapytał, przełamując napięcie. - Mogę mieć nawet merlota, skoro to jest twoja trucizna na dziś.

- Wspaniale.

- Usiądź sobie w salonie - powiedział. - Koło kominka jest stojak z kompaktami. Wybierz coś.

Zrobiłam, o co prosił. To dobrze, że pozostawił mi wybór muzyki. Potrzebowałam zajęcia, które pomogłoby mi odzyskać kontrolę nad sobą. Tylko że przeglądając płyty Maksa, poczułam się jak na obcym lądzie. Żaden tytuł nic mi nie mówił. W kolekcji były płyty brytyjskich grup, o których nigdy nie słyszałam, albo zupełnie mi nieznane nagrania klasyczne.

W końcu wytropiłam płytę Billie Holiday. Wyciągnęłam ją. Czemu nie? Na swój sposób była romantyczna. I co z tego, że to blues? Upozowałam się malowniczo na kanapie, gotowa na wszystko, co mogło chodzić Maksowi po głowie. I byłam niemal pewna, że wiem, co mu chodzi po głowie.

Wyznanie: *Czytelniczko, przespalam się z nim.*

Zanim wrócił z kieliszkami w dłoniach, zdołałam zmienić się w chłodną i śmiałą laskę, która czuje się jak ryba w wodzie w mieszkaniu napalonego faceta. Zrzuciłam nawet klapki i rozparłam się wygodnie na sofie. A jednak wszystko we mnie zadrżało, kiedy stanął przede mną.

- Billie Holiday. Dobry wybór. - Podał mi wino i usiadł obok.

Ledwie zdążyłam upić łyk, a wyjął mi kieliszek z dłoni i wziął w ramiona. Pocałunek był namiętny, a mimo to łagodny. Poczułam, że serce rozdziera mi się na strzępy.

Mogłam zrobić tylko jedno - iść za ciosem. Nie miałam wyjścia. Musiałam zwalczyć czułość, która mnie przepełniała. Jedyнным sposobem był atak. Rzuciłam się na jego wargi. Oczy rozszerzyły mu się ze zdziwienia, ale zaraz odpowiedział. Wkrótce mój stanik leżał na podłodze obok koszulki, a Maks układał mnie w pozycji horyzontalnej.

- Muszę cię czuć - powiedziałam, zadzierając do góry jego podkoszulek i przytulając się do jego piersi.

Byłam jak ślepa, choć gdzieś w podświadomości zanotowałam, że jest nieco zbyt chudy, choć harmonijnie zbudowany i wysportowany.

- Chodźmy do sypialni - wydyszał mi prosto do ucha.

Pociągnął mnie za sobą do pięknej, ceglanej ściany, a potem przez obszerną kuchnię aż do wspaniałego łóżka.

Zapomniałam, kiedy ostatni raz czułam zapach mężczyzny na chłodnej, wykrochmalonej pościeli. Wiedziałam tylko jedno: wspaniale było leżeć w łóżku Maksa. Pocałował mnie krótko, po czym zajął się ściąganiem swoich dżinsów. Ogarnęła mnie chwilowa panika na widok jego szczupłych bioder i... bokserek marki Fruit of the Looms. Nagle wydał mi się taki obcy, nieznajomy. Jakby mój pogrążony w zamęcie umysł oczekiwał kogoś znajomego... kogoś takiego, jak... Derrick.

Zamknęłam oczy. Nie będę kłamać. Maks Van Gelder pociągał mnie na swój sposób, niezależnie od zadziwiająco szczupłego ciała i nieco niezdarnych dłoni. Pozwoliłam mu ściągnąć ze mnie dżinsy i majtki - sprawy muszą toczyć się swoim torem, uznałam.

A więc przyglądałam się ze stoickim spokojem, jak zsuwa te swoje bokserki i grzebie w szafce nocnej w poszukiwaniu prezerwatywy. Chciało mi się śmiać na myśl o tym, jak absurdalnie wygląda męski interes pokryty lateksem. Nagle wszedł we mnie. Ze wzrokiem skupionym na poduszce i z wyrazem ulgi na twarzy zaczął się poruszać, najpierw wolno, jakby to sprawiało mu więcej bólu niż przyjemności. Początkowo sama czułam się nieco dziwnie. Wpatrywałam się w mężczyznę, którego ledwie znałam, a on miotał się na mnie w coraz większej ekstazie, której ja nie czułam. Musiał wyczytać to z mojej miny, bo nagle zamknął oczy.

Przez chwilę obserwowałam jego twarz, która wydała mi się nagle tak bezbronna, że rozczuliła mnie do łez. Ale się nie rozplakałam. Nie. Ja po prostu uprawiałam seks - zrobiłam to, co robi każda samotna dziewczyna, znajdując się w podobnej sytuacji z mężczyzną, który nawet jeśli nie jest ideałem, jest atrakcyjny i chętny. Zamknęłam oczy. Skupiłam się na przyjemnościach.

W końcu zabiegi Maksa rozgrzały mnie na tyle, że sama poczułam się podniecona. Przyznaję - przez chwilę wyobrażałam sobie, że leży na mnie Derrick. Poczułam falę pożądania. Ale trwało to krótko. Potem przyszedł wściekły gniew, który mogłam zabić, jedynie koncentrując się na ruchach frykcyjnych. No, dalej, wrzeszczał mój mózg.

- Mocniej! - usłyszałam własny krzyk.

Tak zachowywały się kobiety w filmie porno, który przyniósł kiedyś Derrick, licząc, że dzięki temu nasze stosunki nabiorą pikanterii.

Jeszcze jeden świdrujący w uszach jęk Maksa i skończyło się. Ale nie dla mnie. Nie, nie, nie! Nie myślcie, że miałam tyle szczęścia.

Maks uniósł głowę i spojrział na mnie z głupawym uśmieszkiem na twarzy.

- Rany. To było rewelacyjne.

Odpowiedziałam uśmiechem. Postanowiłam przełknąć rozczarowanie i stawić czoło sytuacji. Znowu polubiłam tego faceta. Bardziej, niż wynikałoby z naszego seksualnego starcia.

I wtedy padło fatalne pytanie:

- Czy ty, eee...?

- Oczywiście - odpowiedziałam natychmiast, zagłuszając głosy protestu, które słyszałam w głowie.

Nie wiem, dlaczego skłamałam. Może chciałam wierzyć, że mnie zaspokoił? Przecież wydawał się idealnym mężczyzną dla mnie. Ale nagle okazało się, że... nie jestem w stanie go pokochać.

Odetchnął z widoczną ulgą.

- Trochę się martwiłem. To... nie trwało zbyt długo. - Zachichotał. - Dawno tego nie robiłem.

Uśmiechnęłam się. Bardzo mnie ucieszyło, że Maks Van Gelder nie jest ogierem z Upper East Side.

Pocałował mnie w usta, potem wierzchem dłoni dotknął mojej twarzy. Jego wzrok ześlizgnął się w dół, na nasze nadal splątane ciała.

- Nie martw się. Będzie lepiej. To znaczy, jak już poznam twoje ciało. - Przesunął dłoń z mojego policzka na pierś, a potem na brzuch. - Każda kobieta jest inna. A ja nie wiem, gdzie są twoje... czule miejsca.

Spojrział mi znowu w oczy, a ja uświadomiłam sobie, że znalazł mój najwrażliwszy punkt - serce. Składał mi obietnice. Obiecywał, że będzie następny raz, a ja desperacko chciałam mu wierzyć. Przez moją głowę przeleciały obrazy: my dwoje spacerujemy po Central Parku, pijemy kawę w modnych kawiarniach, prowadzimy intymne rozmowy, tańczymy na ślubie mojej mamy, podczas gdy babcia Zizi patrzy na mnie z dumą i radością. Nagle wszystko wydało się możliwe. Może Maks jest tym jednym jedynym? Może znowu się zakocham?

Mimo to postanowiłam nie zostawać na noc. Wydawało mi się to niewłaściwe. Kiedy ogłosiłam swoje plany, nie próbował mnie przekonywać. Wtedy w mojej głowie odezwał się złowrogi pisk. Próbowałam go zlekceważyć. A jednak, zbierając swoje rzeczy rozrzucone po całym mieszkaniu, patrzyłam na przytulną kuchnię, uroczy kominek i inne szczegóły tego mieszkania, jakbym chciała je dobrze zapamiętać.

Przestań! - słyszałam w głowie. Wrócisz tu jeszcze. Ale byłam tego coraz mniej pewna.

Kiedy ubrana wróciłam do sypialni, Maks pogrążony był w lekturze książki, którą wcześniej widziałam na stoliku nocnym.

A ponieważ był mężczyzną, który lubi zachowywać się jak należy, narzucił na siebie ubranie, odprowadził mnie na dół i w chłodzie wczesnego poranka wypatrywał taksówki dla mnie. Niewiele mówiliśmy. Uznałam, że żadne z nas nie chciało niszczyć intymnej więzi, jaka nas połączyła. Wolałam nie myśleć, że być może powiedzieliśmy już sobie wszystko, co mieliśmy do powiedzenia tego wieczoru. Albo - w ogóle.

- Zadzwoń do ciebie - powiedział na widok nadjeżdżającej taksówki.

Przeszył mnie zimny dreszcz. Może dlatego, że oczywistych rzeczy się nie mówi. A może dlatego, że uświadomiłam sobie własną pomyłkę.

Po szybkim pocałunku, a raczej niezręcznym poszturchiwaniu się nosami, wskoczyłam do samochodu i pojechałam do domu. Czułam się bardziej samotna niż kiedykolwiek.

Wyznanie: *Sytuacja może się zdecydowanie pogorszyć.*

- Przespałaś się z nim? - zapytała z niedowierzaniem Jade.

Ponieważ pogoda była piękna, jadłyśmy śniadanie przy stoliku na dworze we French Roast. Wyznałam Jade wszystko, kiedy tylko skończyłyśmy składać zamówienie.

- A tobie nigdy nie zdarzyło się pójść z facetem do łóżka na drugiej randce?

- Nigdy, jeśli byłam nim naprawdę zainteresowana. - Jade odstawiła kawę i wyjęła papierosa z paczki leżącej na stoliku.

- A kto powiedział, że ja jestem zainteresowana Maksem? - broniłam się głupio. Jade uniosła brwi. - No, dobrze. Schrzaniłam wszystko. - Nagle zrobiło mi się niedobrze. - Nie zadzwoni już do mnie, tak?

- Nie wiem. Może. Ale jeśli zadzwoni, to na pewno nie z powodu błyskotliwych rozmów, które prowadziliście. Kiedy już prześpisz się z facetem, naprawdę trudno jest wrócić do etapu powolnego poznawania.

- Nie wydaje mi się, żeby on był taki. Sam mówił, że będzie nam wspaniale w łóżku, kiedy pozna lepiej moje ciało. Z czego wynika, że musimy się spotkać jeszcze kilka razy. Albo przynajmniej iść do łóżka. Jak zwał, tak zwał.

Jade zaciągnęła się dymem.

- Powiedział to przed orgazmem?

- Po - odpowiedziałam z satysfakcją.

- Może rzeczywiście był szczery. Albo czuł, że jest ci winien jakąś obietnicę. Miałaś orgazm?

- Eee... nie.

Jade odwróciła wzrok, jakby nagle zainteresowali ją ludzie przechodzący chodnikiem.

- Co? - Rozpaczliwie pragnęłam, żeby mnie zapewniła, że nie zostanę porzucona przez Maksa Van Geldera.

Lecz Jade nie miała zamiaru mnie łudzić.

- Mogło to być... pocieszenie.

- Och, błagam cię, Jade. Nie wiedział, że nie miałam orgazmu. Okłamałam go.

Wytrzeszczyła oczy, a potem wzniosła je do góry.

- Emmo, musisz się jeszcze dużo nauczyć.

Podano nam jedzenie. Jade zgasiła papierosa i odkroiła kawałek francuskiej grzanki. Ja wpatrywałam się tępo w swoje pięknie garniowane jajka w koszulkach. Straciłam apetyt.

Maks nie zadzwoni. Czuję to w kościach. Ale wcześniej też mi się tak wydawało, a zadzwonił. Muszę wierzyć, że nie zadzwoni - może zadziała prawo Murphy'ego i się odezwie?

Ale czy ja na pewno chcę, żeby zadzwonił? Natychmiast odsunęłam od siebie tę myśl. Ważne, żeby zadzwonił - choćby po to, żebym mogła postanowić, że nie chcę się z nim widywać. Domagało się tego moje ego.

Kiedy po powrocie do domu na automatycznej sekretarce zastałam duże, tłuste zero, zrobiło mi się duszno. Przecież należał mi się zwykły, kurtuazyjny telefon! Podziękowanie w stylu „było świetnie, nie mogę się doczekać, kiedy się znowu spotkamy!” Rany!

Postanowiłam zadzwonić do Alyssy. Ale na pewno była zajęta zakochiwaniem się na nowo w Richardzie, a ja - mimo radości z tego powodu - nie zniosłabym w tej chwili kontaktu ze szczęśliwą osobą.

Zamiast tego zadzwoniłam do ojca. W końcu od wiadomości zostawionej przez Deirdre minęły trzy dni.

To ona odebrała telefon.

- Halo?

- Cześć, Dee. Tu Emma. Co słychać?

- Wszystko świetnie. Twój ojciec jest na odwyku.

Westchnęłam i starałam się zapanować nad emocjami. Już dawno nauczyłam się, że nie ma sensu marnować ich na wykroczenia mojego ojca.

- Ma zacząć program detoksykacji - ciągnęła ze stoickim spokojem. - Na szczęście mieli wolne łóżko.

Serce mi się ścisnęło. Nie pierwszy raz mój ojciec z własnej woli poszedł na odwyk. Zdarzało się to niemal co roku. To już jego czwarty pobyt w ośrodku w Rolling Pines. Powinam do niego pojechać.

- Jakie są godziny wizyt w sobotę? - zapytałam.

- Od dziesiątej do czwartej. Dzisiaj nie jedź, bo przez kilka pierwszych dni nie wolno przyjmować gości...

- Wiem, wiem - odparłam.

Aż za dobrze znałam reguły programu odwykowego w Rolling Pines.

- To co? Może odbiorę cię ze stacji w przyszłą sobotę? Koło południa? - zapytała.

Ustaliliśmy porę. Potem Deirdre puściły nerwy. Opowiadała, że nie umie utrzymać go z dala od alkoholu, bez względu na to, jak bardzo próbuje. O tym, że ma dosyć koszmaru, w który zmieniło się ich życie. Po rozmowie dopadło mnie poczucie pustki - jak zawsze kiedy ojciec miał ciąg. Zrobiłam więc to, co robiłam zawsze: ukryłam je głęboko w sobie, żeby nie czuć nic. Absolutnie nic.

Wyznanie: *Chyba jestem skazana na samotne sobotnie noce. Prawdopodobnie do końca świata.*

Plany na następną sobotę były przygnębiające. Tymczasem zaledwie kilka godzin dzieliło mnie od chłodu i pustki tego sobotniego wieczoru. Już nie czekałam na telefon od Maksa. Nie torturowałam się wspomnieniami o Derricku. Zamiast tego prześladowały mnie myśli o chorobie ojca, która kładła się cieniem na wszelkich nadziejach, jakie wiązałam z własną przyszłością. Każde marzenie zdawało się nieosiągalne.

Stłumiłam łzy. A potem zrobiłam jedyną rzecz, jaką mogłam zrobić, żeby nie zwariować. Zaczęłam sprzątać.

Ściągnęłam z półek wszystkie książki i każdą z nich oddzielnie wytarłam z kurzu. Potem zajęłam się biurkiem, posegregowałam papiery, wypolerowałam blat. Następnie umyłam pod-

łogę, a potem wyszorowałam kuchnię. Łazienka została spryskana detergentem, a potem wytarta do połysku.

Wzięłam prysznic i opadłam wycieńczona na łóżko. Była czwarta po południu. Za wcześnie, żeby iść spać. Po raz kolejny spojrzałam na telefon, który nadal groźnie milczał. Wyobraziłam sobie, jak Maks Van Gelder idzie do swojego domu po schodach. Już, już ma włożyć klucz do zamka, gdy napada na niego banda złodziei. Zostawiają go sponiewieranego i obitego w przedpokoju, plądrują całe mieszkanie i kradną wszystko z wyjątkiem płyty Billie Holiday. Westchnęłam i spojrzałam znowu na telefon. Wciąż milczał.

Mogłabym pójść na gimnastykę. Ale w tym celu musiałabym złapać Alysę, bo do klubu wchodziłam jedynie dzięki jej nieprzebrany zasobom wejściówek. A ponieważ nie zniosłabym teraz żadnych słów pociechy, wyprawa do siłowni nie wchodziła w grę. Najwyższy czas wreszcie wykupić własną kartę klubową...

Brak możliwości był porażający. W końcu ogarnęła mnie cisza i zapadłam w krótką, błogą drzemkę. Obudziłam się w ciemności. Wyślizgnęłam się z łóżka i poszłam do łazienki. Spryskałam twarz wodą, przejechałam szczotką po włosach, które poskręcały się i pogniosły, bo poszłam spać z mokrą głową. Włożyłam klapki i, po chwili zastanowienia, uszmarkowałam usta.

Zeszłam na dół, żeby poszukać czegoś na kolację.

Kiedy poczułam chłodne, nocne powietrze, od razu wiedziałam, co należy zrobić. Ruszyłam do sklepiku na rogu. Pal licha zdrowe odżywianie.

Ale gdy tam dotarłam, nagle straciłam pewność siebie. Nie mogłam tak po prostu zniszczyć wszystkiego, na co ciężko pracowałam. Minęłam chyłkiem ciastka, lodówkę pełną lodów i dla zachowania pozorów złapałam karton chudego mleka, puszkę tuńczyka oraz baton musli. Zapłaciłam i wyszłam z przygnębioną miną.

Nie mogłam tak wrócić do domu. Uznałam, że potrzebne mi coś, co podniesie mnie na duchu.

Automatycznie ruszyłam w stronę Zdrowych Delikatesów. Zaniepokoiłam się na widok tabliczki „zamknięte” na drzwiach. Syreny alarmowe rozdzwoniły mi się w głowie, kiedy zobaczyłam, kto właśnie zamykał drzwi. Próbowałam się wycofać, ale było już za późno - dostrzegł mnie. Facet od Chudej Ambrozji, bohater moich nie tak dawnych fantazji. Różnica polegała na tym, że wyglądał dużo, dużo lepiej. Dzisiaj miał na sobie czysty podkoszulek i spłowiałe dżinsy.

Zauważył mnie i otworzył drzwi.

- Dobry wieczór - powiedział. - Właśnie zamykałem, ale jeśli czegoś pani potrzebuje...

Nagle przypomniałam sobie, że mam potargane włosy i jestem nieumalowana. Dobrze, że nałożyłam chociaż szminkę.

- Eee... Nie, ja...

- Hej! - przerwał mi nagle. Jego piękna twarz rozjaśniła się, zmysłowe usta wygięły w uśmiechu. Rozpoznał mnie. - Podwójna Kawa z Chrupkami, zgadza się?

O mało nie umarłam ze wstydu. Zapamiętał mnie. Zapamiętał, jaki smak lubię. Co prawdopodobnie oznacza, że pamięta też, iż poprzednim razem, zaledwie tydzień temu, kupiłam czterolitrowy pojemnik.

- No, tak - wymamrotałam. Nie było sposobu, żeby się z tego z wdziękiem wycofać. Uśmiechnęłam się niepewnie. - Zgadł pan.

- Mam przeczucie, że musi pani odnowić zapasy - powiedział, otwierając przede mną drzwi. - Proszę wejść. To zajmie tylko chwilę.

Kiwnęłam głową i weszłam za próg. Moje zmysły były w stanie pogotowia. W końcu wchodząc do środka po godzinach otwarcia, byłam niebezpiecznie blisko swoich fantazji. Poczulałam, że robi mi się gorąco. Nagle wyobraziłam sobie nas na dużej zamrażarce.

- Półlitrowe opakowanie, poproszę - powiedziałam słabym głosem, kiedy spojrzał na mnie zza lady.

- Proszę bardzo - odparł i sięgnął do dzielącej nas, szklanej lodówki.

Ładne ramiona, pomyślałam, patrząc, jak przekopuje się przez różne pudełka w poszukiwaniu Podwójnej Kawy. Przecież to Jade, nie mnie, fascynują męskie ramiona. Facet w ogóle był bardziej w typie Jade. Kogo chcę oszukać? Przecież nic mnie nie łączy z kimś takim.

Nie odrywałam oczu od wspaniale opalonej ręki w czeluściach lodówki.

- Proszę. - Podał mi pojemnik z lodami. - Dwa siedemdziesiąt pięć.

Wyciągnęłam z kieszeni pięciodolarówkę. Gdy mu ją wręczałam, nasze palce się musnęły. I wtedy to poczułam. Słabe iskrzenie, o jakim czytałam, ale nigdy w życiu go nie doświadczyłam.

Może nie muszę mieć nic wspólnego z facetem od Chudej Ambrozji? Może potrzebuję tylko...

Nie odważyłam się dokończyć. Piękny wydał mi resztę. Nonszalanckim ruchem. Nie ma mowy, żeby taki facet zainteresował się akurat mną. To wcielenie seksu, podczas gdy ja...

Ja... nie wiedziałam już, kim jestem.

- Dzięki - bąknęłam, schowałam resztę i uśmiechnęłam się słabo.

- Nie ma sprawy - odparł i posłał mi jeden ze swoich oszalamiających uśmiechów.

O rany! Tak chciałabym iść z nim do łóżka. Ale zamiast tego odwróciłam się na pięcie i ruszyłam w stronę drzwi.

- Do zobaczenia! - zawołał za mną.

Przełknęłam głośno ślinę. Może rzeczywiście wkrótce go zobaczę.

Po powrocie w bezpieczne cztery ściany własnego domu zasiadłam nad półlitrowym pudełkiem Chudej Ambrozji. Zastanawiałam się nad wszystkim, czego dowiedziałam się o życiu w ten sobotni wieczór. Ze smutkiem myślałam o rozwiązłej, pełnej niepokoju przyszłości i zabrałam się do jedzenia lodów. Nabrałam pierwszą łyżeczkę, włożyłam ją do ust, przełknęłam. Słodycz nie przyniosła oczekiwanej ulgi mojej poranionej, znękaney duszy.

Tępo gapiłam się w ekran telewizora. I kiedy już wydawało mi się, że osiągnęłam stan kompletnego odrętwienia, serial przerwano na reklamy. Z przerażeniem patrzyłam, jak najpiękniejsza na świecie blondynka wchodzi do windy z niesamowicie przystojnym mężczyzną, jak ich usta zbliżają się niebezpiecznie, a na ekranie pojawia się jaskrawa tuba pasty do zębów.

O rany! Jest gorzej, niż się spodziewałam! Derrick ma inną. I ona jest idealna.

ROZDZIAŁ JEDENASTY

„Mężczyźni: nie można bez nich żyć i nie można ich na dobre ujarzmić”

- Deirdre Carter, wciąż jeszcze żona ojca Emmy (wierzcie lub nie)

Wyznanie: *Zaczynam wątpić we własny zdrowy rozsądek.*

Była niedziela rano, kiedy zadzwonił telefon. Spałam głęboko i, na szczęście, bez snów. Okazało się, że to Jade.

- Śpisz jeszcze?

- Nie, nie. Jestem już na chodzie - skłamałam, ucieszona dźwiękiem znajomego głosu.

- Spotkajmy się u Joe Juniora, dobrze? - Joe Junior to nazwa naszej ulubionej knajpki, położonej wygodnie o ulicę ode mnie. - Za pół godziny?

- Dobrze - odpowiedziałam, po czym odłożyłam słuchawkę i spojrzałam na zegarek.

Dziesiąta. Coś musiało się stać. Jade nie zaczynała życia w niedzielę o tej godzinie.

Dotarłam do Joe Juniora kilka minut przed nią, jak zwykle. Gdy zjawiała się Jade i zamówiliśmy kawę, zapytałam:

- Co się dzieje?

- Koniec - powiedziała, uśmiechając się z wdzięcznością do młodego kelnera, który nalewał nam kawę.

- Koniec czego?

- Enrica i mnie.

Serce dziwnie mi zatrzepotało.

- Co się stało? - drażyłam.

- Wczoraj wieczorem ten gnojek przylazł do mnie z pękatą torbą - zaczęła opowiadać, rozrywając energicznie torebki z cukrem. - Niczego nie podejrzewałam. Umówiliśmy się, że zostaje na noc, więc myślałam, że ma tam ubranie na zmianę. No i maluję sobie usta, bo mieliśmy zaraz wyjść, a ten wyciąga z torby... szlafrok!

- Nie rozumiem.

- On najwyraźniej też nie. Oświadczył, że będzie u mnie trzymać swój szlafrok, żeby mieć go pod ręką, kiedy zostaje na noc. I próbuje powiesić ten szlafrok na drzwiach do mojej łazienki!

Oho. Enrico znaczy teren.

- Co zrobiłaś?

- A co miałam zrobić? Natychmiast kazałam mu wsadzić ten koszmar z frotté z powrotem do torby.

- Biedny Enrico.

- To mnie powinnaś żałować! Kurczę, wszystko szło jak z płatka, a on przyłazi i ni z tego, ni z owego zaczyna zachowywać się jak narzeczony!

- Więc z nim zerwałaś?

- Jasne. Co innego mogłam zrobić?

- Nie wiem, Jade. Może trzeba było po prostu powiedzieć, żeby zabrał szlafrok do domu i zaakceptował dotychczasowy układ.

- Oczywiście, że próbowałam. Wierz mi. Ale on wściekł się, że nie chcę jego szlafroka w swoim mieszkaniu. Zaczął mnie oskarżać, że sypiam z innymi facetami. Kłóciliśmy się całą noc. Nie przetrwał tego nawet szlafrok. - Uśmiechnęła się z poczuciem winy. - Zerwałam go z haczyka i próbowałam wcisnąć do torby Enrica. Zaczęliśmy się szarpać i... rękaw się... oberwał. - Skuliła się. - Trochę mi głupio.

Teraz już nie miałam wątpliwości, że jej romans naprawdę dobiegł końca.

- Czy myślisz, że z nami jest coś nie tak? - spytałam Jade.

Zmrużyła oczy.

- Co?

- No, żadnej z nas jakoś nie udaje się związać na dłużej z mężczyzną.

- Emmo, ja nie marzę o trwałym związku. A koniec mojego związku nie ma z tobą nic wspólnego.

Przyglądałam się jej przez chwilę. Byłam ciekawa, ile jest prawdy w stwierdzeniu, że nie chce wiązać się na stałe. Ciekawe, czy Jade naprawdę myśli, że cały problem rzeczywiście tkwi w mężczyznach, nie w nas? W końcu, na litość boską, dopiero co wyrzuciła faceta, który przyniósł do niej swój szlafrok. Czy rzeczywiście jesteśmy tylko niewinnymi ofiarami nowojorskiego damsko-męskiego teatru? A może jednak stanowimy część problemu?

Wyznanie: *Teraz jest to publiczną tajemnicą: jestem skończoną i całkowitą nieudacznicą.*

W poniedziałek rano byłam w stanie rozsypki. Jak mogło być inaczej, skoro przez cały tydzień telefon milczał, pomijając jakiegoś nieszczęsnego idiotę, który wykręcił mój numer przez pomyłkę. Ani słowa od Maksa.

Teraz, odrętwiała, wlokłam się po peronie metra i z nienawiścią patrzyłam na przelewający się wokół tłum. Nagle zrozumiałam, dlaczego Sartre powiedział kiedyś, że „piekło to inni”. Wsiadłam do pociągu i utknęłam w masie spoconych ciał. Gapiłam się nic niewidzącym wzrokiem na reklamę środka przeciwko hemoroidom i po raz szesnasty analizowałam swoją randkę z Maksem.

Kiedy dotarłam do redakcji, byłam zbyt przygnębiona, żeby zwrócić uwagę na szum podekscytowanych rozmów dochodzący ze wszystkich boksów. Nie dotarło do mnie, że Marcy Keller kręci się po korytarzu i próbuje zwrócić moją uwagę. Nie miałam ochoty na żadne plotki. Szczerze mówiąc, w tym momencie niewiele obeszłaby mnie nawet wiadomość o tym, że „Twój Ślub” ma zaraz upaść, a my zostaniemy bez pracy. W skrzynce odbiorczej zastałam e-mail od Caroline, w którym zapraszała mnie do siebie „w dogodnym dla mnie czasie”. Zaintrygowana, poszłam więc prosto do niej.

- Emma! Świetnie, że jesteś - powiedziała, gdy zapukałam cicho do jej pokoju. - Wejdz, proszę. I zamknij za sobą drzwi.

Oho. Sądząc z jej miny, zastygłej w wyrazie szczerych kondolencji, nie miała dla mnie dobrych wiadomości. Zrobiłam więc, o co prosiła, i usiadłam przed nią, czekając, aż na mój kark spadnie topór.

Caroline pogładziła z troską swój okrągły brzuszek.

- Po pierwsze, chcę, żebyś wiedziała, że redakcja „Twojego Ślubu” bardzo ciebie ceni, zarówno jako autorkę tekstów, jak redaktorkę. - Potem się uśmiechnęła. - Spod twojego pióra wyszło kilka najlepszych artykułów, jakie opublikowaliśmy podczas ostatnich lat.

Komplement dużego kalibru, pomyślałam. Poczułam dumę. Nic nie mogłam na to poradzić. A zaraz potem opanowała mnie podejrzliwość. Boże, wyrzucają mnie z pracy?

- Po drugie, chciałabym podkreślić, że wybór starszego redaktora w dziale reportażu był bardzo trudny.

Domyślałam się już, co usłyszę za chwilę.

- Niestety musieliśmy wybrać jedną osobę - ciągnęła. - I tą osobą jest Rebeka Sanders.

Zdziwiło mnie, że poczułam w środku aż taką pustkę, kiedy wypowiedziała słowa, których się spodziewałam i obawiałam równocześnie. Byłam wyprana z uczuć. Poza uderzeniem gorąca i falą emocji, które przetoczyły się przez moją głowę i zatkały uszy, zachowałam chyba względny spokój.

Caroline wyjaśniła, że obie nasze kandydatury były silne, ale Rebeka w poprzedniej pracy zdobyła doświadczenia menedżerskie.

- Moim zdaniem, wszystko ważyło się na ostrzu noża, Emmo. Ale przecież praca starszego redaktora w dziale reportażu sprowadza się w dużej części do zarządzania - podkreśliła to słowo, przyglądając mi się z uwagą. Uśmiechnęła się, a ja zachodziłam w głowę, jaką sekretną wiadomość próbuje mi przekazać.

Smutny uśmieszek nie schodził jej z ust, a ja skinęłam głową, wstałam i ruszyłam na sztywnych nogach w stronę drzwi. Trzymałam dłoń na klamce, kiedy odezwała się cichym i pełnym współczucia głosem:

- Wiem, że to nie jest najlepszy moment, ale może właśnie teraz powinnaś rozważyć inne możliwości. Świetnie piszesz. Nie każdy ma ten dar.

Popatrzyłam na nią, niczego nie rozumiejąc. Czy zachęca mnie, żebym poszukała sobie innej pracy?

Znowu się uśmiechnęła, tym razem zachęcająco.

- Pamiętaj, że zawsze możesz przyjść do mnie i porozmawiać. O wszystkim. O pisaniu. O planach na przyszłość. Jestem do twojej dyspozycji.

- Dzięki - odpowiedziałam prawie szeptem, po czym potykając się, wyszłam na korytarz.

Rzeczywistość uderzyła we mnie jak podmuch zimnego wiatru. Stałam na korytarzu, obnażona przed całym światem „Twojego Ślubu”. Postanowiłam, że nie pokażę, jak bardzo mnie to obeszło. I w tej samej chwili, niespodziewanie dla siebie, zauważyłam, że rzeczywiście nie bardzo mnie to obeszło. Czy ja naprawdę chciałam zostać starszym redaktorem w piśmie, które nie zauważa istnienia kobiet takich jak ja - bez narzeczonego i bez perspektyw umieszczenia na liście prezentów ślubnych dzikiej ilości porcelany? Niech ich licho. Nie będą mieć tej satysfakcji.

Minęłam Nancy, skinęłam Lukrecji, która wychynęła zza drzwi, a do Marcy uśmiechnęłam się odważnie i minęłam ją bez słowa. Zdołałam nawet przetrwać kolegium redakcyjne niecałą godzinę później i wysłuchać, jak Patrycja z dumą ogłasza, kto zostanie starszym redaktorem w dziale reportażu. A gdy rozpromieniona Rebeka wstała, uśmiechałam się i klaskałam z

równym entuzjazmem, co reszta towarzystwa. Lecz nie odważyłam się popatrzeć nikomu prosto w oczy. Nie odważyłam się zdradzić, co naprawdę czuję.

Wyznanie: *Nie ma lekarstwa na pospolity ból serca.*

Tego wieczoru siedziałam na taborecie w kuchni Alyssy. W piekarniku grzała się wegetariańska lasagne, a Alyssa siedziała naprzeciwko i z miną wyrażającą pełną gamę uczuć - od oburzenia po litość, wysłuchiwała najpierw krwawej opowieści o moim dniu, a potem brzydkiej historii randki z Maksem zakończonej porzuceniem mnie. Czułam się fatalnie.

- Co jest ze mną nie tak? - zapytałam, a smutek wyostrzył jeszcze niepokojący ból.

- Nic - upierała się Alyssa, biorąc mnie za rękę.

- Dobrze. I właśnie dlatego mężczyźni uciekają przede mną na drugi koniec kraju. A ci, którzy wciąż jeszcze mieszkają w tym wspaniałym mieście, zdają się mnie unikać, jakbym miała jakąś zaraźliwą chorobę. - Westchnęłam, ale wcale mi nie ulżyło. - W końcu trzeba powiedzieć sobie prawdę. Jestem beznadziejna. Nawet w tym cholernym piśmie, które nie przyjmuje do wiadomości faktu, że życie nie zaczyna się w dniu ślubu, nie jestem dość kompetentna, żeby znaleźć się w gronie kierowniczym!

- Emmo...

- Mam dość ciągłego odrzucenia i pozostawania w tyle. Mam dość... wszystkiego.

Przez kilka chwil panowało milczenie. Alyssa ścisnęła moją dłoń, a ja zrobiłam ostatnie wyznanie.

- Mój ojciec trafił znowu na odwyk.

- Och, Em. - W oczach Alyssy znowu pojawiło się współczucie. - Kiedy?

- W sobotę. Deirdre go zawiozła. Zaczął pić chyba w zeszłym tygodniu. I tak nic nie mogłabym zrobić...

- Nie, nic nie mogłabyś zrobić - powtórzyła.

- Jadę go odwiedzić w ten weekend.

- Chcesz, żebym pojechała z tobą? - zapytała.

Uśmiechnęłam się. Kochana Alyssa. Zawsze mogłam na nią liczyć. To dodało mi odrobinę otuchy.

- Poradzę sobie. Poza tym jestem już umówiona z mamą. Po wizycie u ojca jadę do niej, na solidną dawkę psychologicznego bełkotu i pociechę w postaci dobrego jedzenia. Obiecała, że zrobi kolację.

Alyssa przyglądała mi się chwilę. A potem powiedziała:

- Wiem, że niespecjalnie wierzysz w całe to gadanie typu „pomóż sobie sam”. Ja też, szczerze mówiąc, jestem dość nieufna. Ale może warto byłoby rozważyć pójście do kogoś po radę. Żeby wszystko zrozumieć i uporządkować.

- Alyso... - westchnęłam.

- Słuchaj, kiedyś sama zdecydowałam się na terapię. Po śmierci mamy.

Ta informacja zupełnie zwała mnie z nóg.

- Wiem, co sobie myślisz, Emmo - powiedziała, uśmiechając się półgębkiem. - Ale każdy człowiek ma takie chwile, kiedy potrzebuje pomocy. Są sprawy, z którymi trudno poradzić sobie samemu. Twój tato jest na odwyku... - Westchnęła. - Ale ty musisz pozbyć się poczucia winy, które sobie narzuciłaś.

Uśmiechnęłam się do niej. Szkoda, że nie umiem spojrzeć na swoje życie jak na problem, który można rozwiązać, a nie jak na całkowitą katastrofę.

Wyznanie: *Teraz już wiem, że niektórym kobietom - po prostu pisane jest nieszczęśliwe, samotne życie, podczas gdy inne bez wysiłku osiągają szczęście.*

Cały następny tydzień nic nie mogło mnie pocieszyć. Zwłaszcza że mama, której powiedziałam, że nie dostałam awansu, nie podjęła tematu. W swojej paranoi wyobraziłam sobie, że nagle uznała swoją córkę za skończoną i całkowitą nieudacznicę - i w życiu zawodowym, i w miłości.

Starłam się nie popadać w zgorzknienie i pokonać ten tydzień z wysoko podniesioną głową. Gdy w sobotnie popołudnie wysiadłam z pociągu w Huntington, byłam zahartowana na wszelkie emocje. Wystarczył jeden rzut oka na minę Deirdre, a uświadomiłam sobie, że z nią jest podobnie. Po raz pierwszy zauważyłam, że jest podobna do mojej mamy. Miała ten sam owal twarzy i podobną karnację. Tylko jej oczy były niebieskie. Wydawała się starszą, bardziej zmęczoną wersją mamy. Nawet jej włosy, opadające na ramiona potarganymi, wyblakłymi falami, wyglądały na zmęczone.

- Jak on się ma? - zapytałam, dopiero gdy zbliżyliśmy się do Rolling Pines.

- Tak jak zawsze - odpowiedziała. - Starannie wyselekcjonował grupę narkomanów i alkoholików, którzy, według niego, są w zdecydowanie gorszym stanie niż on. Jest z siebie całkiem zadowolony.

- Czy Shaun i Tiffany u niego byli?

- Shaun przyjechał wczoraj wieczorem. I w czwartek. Tiffany ma remont kuchni.

Westchnęłam. Szkoda, że ja nie mam żadnej wymówki. Lecz jako jedyna córka nie mogłam uniknąć tej wizyty.

Idąc przez starannie utrzymany trawnik, widziałyśmy pacjentów siedzących przy stołach piknikowych albo na ogrodowych fotelach. Wyszli po swoją oficjalną dawkę świeżego powietrza. Od razu wypatrzyłam ojca. Siedział sam przy stole, wydawał się odseparowany od innych, jakby wyrzucony poza linię drzew.

- Dlaczego tutaj siedzisz?! - zawołała do niego Deirdre, gdy podeszłyśmy bliżej.

Tato podniósł głowę, jakby zdziwił go nasz widok.

- Z powodu cienia. Tam jest koszmarnie gorąco, a nie wolno nam jeszcze wejść do środka. - Spojrzał na mnie z pewnym zakłopotaniem. - Cześć, Emmo. - Cmoknął mnie w policzek.

Wyglądał strasznie. Jego twarz była śmiertelnie blada, a włosy zdawały się przyprószone siwizną mocniej niż poprzednio. Włożył sobie papierosa do ust i próbował jedną ręką zapalić zapalną.

- Możesz mi pomóc? - zapytał, gdy zauważył, że na niego patrzę.

Podsunęłam mu zapaloną zapalną.

- Dzięki - powiedział, zaciągając się głęboko i wypuszczając dym. Zapatrzył się w odległe drzewa.

Deirdre poszła do budynku, by napić się kawy. A ja nic nie mówiłam. Co miałabym powiedzieć? Żadne kazanie nie sprawi, by mój ojciec rzucił picie na dobre. Żadne ciepłe, pełne miłości przemowy nie zmienią go. I w żaden sposób nie mogłam mu pomóc.

W końcu się odezwał. Zaskoczył mnie.

- Och, Emmo, chyba robię się na to za stary.

- Ja też - odparłam.

- Ty? - Popatrzył na mnie spod uniesionych brwi. - Ty masz przed sobą całe życie. Musisz tylko zarobić pierwszy milion! - Roześmiał się ze starego, rodzinnego żartu. - Jak tam w pracy? Dostałaś już ten awans?

- Nie - odparłam z rezygnacją. - Awansowali kogoś innego.

Wpatrywał się we mnie przez chwilę. A potem zaciągnął się jeszcze raz i rzucił niedopałek między drzewa.

- No cóż. Zdarza się. Chociaż szkoda. Pewnie oznaczałoby to niezłą podwyżkę, co? I szacunek do samej siebie, pomyślałam, ale nie powiedziałam tego na głos.

- I tak dasz sobie radę - ciągnął. - To ci wcale nie jest potrzebne. Kiedy już napiszesz swoją wielką powieść, zobaczą, kto jest szefem.

Podniosłam na niego wzrok. Próbowałam dojść, czy rzeczywiście wierzy w to, co powiedział. Czy wierzy, że jego córce uda się to, o czym marzy od dziecka. Ale zobaczyłam tylko dwoje wyblakłych, nabiegłych krwią oczu, które szybko się ode mnie odwróciły.

Podążyłam za jego wzrokiem. Wracala Deirdre z dwoma kubkami kawy.

- Co tam u twojej matki? - zapytał ojciec, nie spuszczać wzroku z Deirdre. - Dowiedziałem się od twojego brata, że ona przygotowuje wesele.

Pokręcił z uśmiechem głową. Najwyraźniej trzecie zamążpójście mamy bardzo go bawiło.

- To prawda. Moim zdaniem tym razem znalazła właściwego faceta - powiedziałam.

- Mam nadzieję, że tak - stwierdził, spoglądając na mnie. - Najważniejsze to znaleźć kogoś, kto cię nie opuści bez względu na wszystko.

Deirdre postawiła kubki z kawą i popatrzyła na ojca, a potem na mnie.

- Jak leci? Wszystko w porządku?

- Doskonałym, kochanie - odpowiedział, a potem cmoknął ją w policzek. - Czyż ona nie jest wspaniała?

- Aż za dobra dla ciebie. - Deirdre spojrzała na mnie, wznosząc oczy do góry, ale widziałam, że sprawił jej przyjemność.

- Pomóż mi, skarbie, dobrze? - powiedział, podając jej zapalki i biorąc papierosa do ust.

Patrzyłam, jak zapala zapalkę i trzyma ją przy jego papierosie. Przepelniła mnie dziwna mieszanka smutku i, o dziwo, ulgi. W końcu dotarło do mnie, że nie muszę dźwigać tego ciężaru. Chyba że sama zechcę. Ale nie chciałam. Przynajmniej raz byłam czegoś pewna.

Wyznanie: *Jestem zmuszona zaakceptować siłę wyższą - moją matkę.*

Gdy Deirdre wysadziła mnie przed domem mamy, właściwie już się cieszyłam na to spotkanie. Po dniu spędzonym w ponurej atmosferze, perspektywa wiecznej radości mamy

stanowiła miły kontrast. Lecz kiedy weszłam do kuchni, zobaczyłam za stołem przyjaciółkę matki, Dorotheę.

Natychmiast zapaliła mi się w głowie czerwona lampka alarmowa.

- Emmo, pamiętasz Dorotheę?

Oczywiście, że pamiętałam. Grywała z mamą w tenisa, a po rozwodzie moich rodziców stała się najbliższą jej przyjaciółką. Dorothea była też dyplomowanym psychologiem. Mama bezwstydnie prosiła ją o radę zawsze, kiedy jej lub któremuś z jej dzieci groziło, że ulegną uczuciom innym niż te najradośniejsze.

- Co słyhać, Dorotheo? - zapytałam, wywołując na twarz swój najbardziej sztuczny uśmiech.

- Wszystko dobrze. A u ciebie? - Spojrzała na mnie ciemnymi, starannie umalowanymi oczami.

Najwyraźniej to ja byłam przedmiotem ostatnich trosk mamy. Myśl ta potwierdziła się kilka chwil później, gdy usiadłam przy stole, a mama nagle się zerwała i krzyknęła:

- Która to godzina?! Muszę natychmiast jechać na uczelnię po Clarka, bo zamkną go tam na cały weekend!

- A co się stało z samochodem Clarka? - zapytałam podejrzliwie.

- Och, pożyczył go twojemu bratu. Shaun przewozi dzisiaj nowy zlew do kuchni. To nie potrwa długo. - Ruszyła w stronę drzwi. - Może sobie pogawędzicie, gdy mnie nie będzie? - dodała zachęcająco.

Mrugnęła do Dorothei, która miała przynajmniej tyle oleju w głowie, żeby udąć zażenowanie, i już jej nie było.

- Przepraszam cię, Emmo - zaczęła, machając bezradnie ręką. - Twoja mama uważa, że dobrze by ci zrobiła rozmowa z... no, wiesz, z powodu tego wszystkiego, co się ostatnio wydarzyło. Z Derrickiem. Z ojcem - ciągnęła. Próbowwała powiedzieć, że jeśli chcę, mogę z nią porozmawiać, ale ona nie będzie naciskać.

- Mama uważa, że nie dam sobie rady w życiu bez jej wtrącania się w moje sprawy...

- Ona się o ciebie martwi, Emmo. Chce, żebyś była szczęśliwa.

- Jestem szczęśliwa - zaprotestowałam. Chyba. Dorothea uśmiechnęła się, jakby ta odpowiedź ją usatysfakcjonowała.

- Oczywiście, że jesteś. - A potem: - Nadal mieszkasz na Manhattanie? W West Village, prawda?

- Tak.

- Uwielbiam West Village. Sama tam kiedyś mieszkałam, lata temu. Gdy robiłam magisterium z opieki społecznej w New School.

Przeszliśmy na bezpieczny, nowojorski grunt i pogрузyliśmy się w swobodnej rozmowie.

- To były czasy - powiedziała i spojrzała na mnie z czymś w rodzaju zazdrości. - Nie da się do nich wrócić. Pewnie słyszałaś to z milion razy, ale to naprawdę są najlepsze lata w życiu. Wiem coś o tym. Nie spiesz się tak bardzo do następnego etapu. Żyjesz w najwspanialszym mieście na świecie. Ciesz się tym, póki możesz!

Próbując zatrzeć zakłopotanie, w jakie wprawiły mnie jej pełne entuzjazmu słowa, sypałam dowcipami mieszkaniowymi. Dorothea powiedziała mi, że jej przyjaciółka wkrótce zamierza się wyprowadzić na przedmieścia i może będę mogła wynająć jej miłe, wygodne mieszkanie.

Kiedy wróciła mama z Clarkiem, nasze rozbawienie rzucało się w oczy.

- No, no - powiedziała, przyglądając nam się podejrzliwie. Na jej wargach błędził uśmiech. - Wygląda na to, że ucięłyście sobie miłą pogawędkę...

Dorothea puściła do mnie oko, a ja nie mogłam powstrzymać się od uśmiechu.

- W rzeczy samej była to miła pogawędka - odpowiedziałam.

Czułam, że przepelnia mnie uczucie, którego nie czułam od bardzo, bardzo dawna. Nadzieja.

ROZDZIAŁ DWUNASTY

„Nawet ktoś umysłowo chory potrzebuje miłości”

- Beatrice Simms, mieszkanka domu dla nieuleczalnie chorych

Wyznanie: *Poznałam cenę szczęścia. Jest niższa od jego wartości rynkowej.*

We wtorek tato wrócił do domu. Nie wiem, czy z powodu skutecznego leczenia, czy dlatego, że ubezpieczalnia przestała pokrywać koszty rehabilitacji. Bałam się zapytać. Kiedy rozmawialiśmy przez telefon, był w zaskakująco dobrym humorze.

Tydzień w pracy zleciał niepostrzeżenie. Teraz, kiedy oczekiwano ode mnie jedynie tego, co zwykle, byłam niesłychanie wydajna. Szum związany z nominacją Rebeki ucichł w związku z rozpowszechnianymi przez Marcy Keller plotkami o tym, że małżeństwo Patrycji jest w stanie rozpadu. Osobiście uważałam, że nie warto podniecać się rozwodem kończącym tak przedziwny związek, ale z ulgą przyjąłm sytuację, w której wstydliva sprawa mojego niedoszłego awansu przestała być w centrum zainteresowania koleżanek.

Nadszedł weekend, a ja wciąż pozostawałam w optymistycznym nastroju. Dałam się nawet namówić Jade na wyjazd na Fire Island z okazji Dnia Niepodległości, zwłaszcza że po zmierzeniu kostiumu kąpielowego okazało się, że prawie całkiem zlikwidowałam niepokojące obwisłości. Odważyłam się nawet stanąć na wadze. Okazało się, że ubyło mi ponad trzy kilogramy! Ubrane w prowokacyjne ciuchy, grasowałyśmy po wszystkich barach na Fire Island, bezlitośnie flirtując z facetami, obok których jeszcze niedawno krępowałabym się stanąć w windzie. Co więcej - opuszczaliśmy ich beztrasko z powodu najmniejszej choćby skazy - nieważne czy był to niedopięty rozporek, marna fryzura czy objawy męskiego szowinizmu. Nigdy jeszcze nie czułam się tak pewna siebie. Ani tak pociągająca, mimo że ostatni pocałunek przydarzył mi się w nocy, kiedy skończył się mój nieszczęsny romans z Maksem.

Minęły nie więcej niż dwa dni od naszego powrotu do miasta, kiedy szczęka o mało nie opadła mi ze zdumienia.

- Nigdy w to nie uwierzysz... - zaczęła Jade, siadając obok mnie w barze, w którym umówiłyśmy się na drinka i omawianie naszych sobotnio-niedzielných hulaneł, powoli wypieranych z pamięci przez rutynę codziennego życia.

- W tym momencie uwierzę we wszystko. - Upiłam łyk tequili, wpatrując się w jej zagadkową minę.

- Ted wrócił.

- Żartujesz?!

- Nie. Powiem ci coś więcej... Miałaś rację co do niego.

- Mówiąc, że jest dupkiem? I mięśniakiem pozbawionym mózgu? - próbowałam przypomnieć sobie epitetę, jakimi mogłam obrzucać Teda w czasie, kiedy wydawało się, że Jade nigdy już go nie spotka.

- Nie, nie. Pamiętasz, co mówiłaś na samym początku, kiedy zastanawialiśmy się, dlaczego nie dzwoni?

Myślałam dobrą chwilę.

- Że wpadł pod autobus? - strzeliłam.

W odpowiedzi Jade uniosła brwi i pokiwała głową z głupim uśmiechem.

- Robisz sobie ze mnie jaja!

- Ani trochę. Wczoraj wieczorem wróciłam do domu i kto siedział na schodkach? Ted. Wyglądał wspaniale jak zawsze, ale na policzku miał niesamowicie seksowną szramę.

- I jak się tłumaczył?

- Ostatnie kilka miesięcy spędził w różnych szpitalach. Okazało się, że następnego dnia po naszej randce wybrał się rano na rower i miał czołowe zderzenie z autobusem. Pierwsze dwa tygodnie spędził na oddziale intensywnej terapii. I wyobraź sobie, że kiedy w końcu stamtąd wyszedł, od razu pomyślał o mnie.

Nie mogłam uwierzyć własnym oczom! - Jade patrzyła na mnie maślanym wzrokiem.

- No to dlaczego nie zadzwonił? - spytałam podejrzliwie. W końcu w tej sytuacji ktoś musiał zachować zdrowy rozsądek, prawda?

- Wiesz, to nie było łatwe. Dopiero co wyszedł ze szpitala i musiał zmierzyć się z nową sytuacją. Był cały połamany, miał pokancerowaną twarz. Wiedział, że może się pożegnać z karierą modela...

- No i co z tego? Może mu powiedziałaś, że umawiasz się tylko z modelami?

- Nie chodziło mu o to. Przecież nie miał pracy. Stracił pewność siebie i popadł w rodzaj depresji. Wydawało mu się, że żadna kobieta, a już na pewno nie ktoś, komu w życiu powiodło się tak jak mnie, nie zechce zadawać się z nieudacznikiem bez zajęcia.

- Hm... - Zaczynałam coś niecoś rozumieć. Kobieta ma kompleks na punkcie własnego wyglądu. Mężczyzna musi zabezpieczać byt. To taki atawizm. Jeśli facet nie przynosi do domu szynki, nie czuje się wystarczająco dobry. - Sama nie wiem, Jade - nie zamierzałam od razu się poddać.

Wystarczył jeden rzut oka, żeby wiedzieć, że i tak mnie nie słucha.

- On nawet myślał - ciągnęła - że odrzucę go z powodu wyglądu. Bo na plecach też ma ślady po wypadku... Ale z bliznami wydaje mi się bardzo męski. Szkoda, że nie widziałas, jak na mnie patrzył. Jakby mnie pragnął, ale bał się, że ja... już go nie zechcę.

- Skoro tak bardzo cię pragnął, to dlaczego nie zadzwonił? - upierałam się. - Miał wypadek, stracił pracę - rozumiem. Ale że nie przyszło mu do głowy, co mogłas czuć przez te kilka miesięcy...

Przerwałam gwałtownie, bo Jade patrzyła teraz na mnie zranionym wzrokiem.

- Co w ciebie wstąpiło, Emmo? Myślałam, że będziesz cieszyć się ze mną. Myślałam...

- Przepraszam. W ostatnich czasach nauczyłam się nie ufać mężczyznom. Zrozum - to, co opowiadasz, brzmi trochę absurdalnie.

- Słuchaj, czułam dokładnie to samo co ty, kiedy zobaczyłam go wczoraj na swoich schodach. Miałam zamiar rzucić jakąś złośliwość, ale on zaczął mówić. A ja zaczęłam słuchać. Wystarczyło, że spojrzałam na jego ramiona... Powiedział, że kiedy wyszedł z pierwszego szpitala, był przerażony. Nie śmiał zatelefonować. Postanowił wyrzucić mnie z pamięci. Zajął się leczeniem - ciała i duszy. Po miesiącu doszedł do wniosku, że nadszedł czas, by zrobić coś ze swoim życiem. Znalazł pracę w firmie budowlanej swojego kumpla. Popracował fizycznie i to nagle sprawiło mu satysfakcję. Odzyskał poczucie własnej wartości. Wtedy znowu zaczął myśleć o mnie i żałować, że nie zadzwonił wcześniej. Był pewien, że jest już za późno. Wiesz - Jade spojrzała mi prosto w oczy - on powiedział, że tamtego wieczoru też poczuł, że między nami jest jakaś... więź. To się po prostu nie mieści w głowie!

Jade zrobiła rozmarzoną minę. Dopiero po dłuższej chwili pozbierała się, żeby skończyć opowieść.

- Ted wiedział, że rzucę słuchawką, jeśli zadzwoni. Dlatego przyszedł pod mój dom. Czekał, zastanawiał się przez cały czas, co zrobić, żeby zechciała go wysłuchać. Nawet nie marzył, że zechcę z nim chodzić. Wyobrażasz sobie, jak byłam zaskoczona jego widokiem? I wściekła. Dopóki nie zobaczyłam jego spojrzenia - westchnęła.

- Spojrzenia?

- No, tak. W jego oczach było coś takiego... Rozumiesz - była w nich prawda.

I wtedy w mojej głowie zapaliła się stuwatowa żarówka. Zrozumiałam coś i o mało nie padłam. Boże! Czy to możliwe? Jeszcze raz przyjrzałam się Jade. Zobaczyłam błysk emocji w jej oczach i byłam absolutnie pewna, że się nie mylę. Moja najlepsza przyjaciółka Jade, kobieta niezależna, od której uczyłam się, jak świadomie żyć w pojedynkę, była o krok od tego, żeby zakochać się szaleńczo i bez pamięci.

Wyznanie: *Nie tylko Ted ma blizny...*

Przyznaję, że wcale nie byłam szczęśliwa. Zostałam sama u progu nowego życia - życia Kobiety Niezależnej. Przyznaję też, że minęło trochę czasu, zanim zaczęłam cieszyć się szczęściem Jade. Prawdę mówiąc - stało się to dopiero w następny piątek. Spotkaliśmy się wszyscy na kolacji. Wszyscy - to znaczy Alyssa i Richard, Jade i Ted oraz ja, w charakterze piątego koła u wozu. Musiałam na własne oczy zobaczyć blizny Teda i cieleco zachwycone spojrzenie, jakim wpatrywał się niemal przez cały czas w Jade. Wtedy właśnie dotarło do mnie, że Jade odnalazła miłość. Prawdziwą! Taką, która wymazuje wspomnienia wszystkich innych mężczyzn, jacy zagrzali kiedyś miejsce w jej sercu. Taką, która leczy.

Tak więc następny sobotni wieczór spędzałam znowu samotnie. Ale tym razem było inaczej. To znaczy - ja czułam się inaczej. Dorothea zadzwoniła bowiem z wiadomością, że jej przyjaciółka się zaręczyła i planuje powrót w podmiejskie okolice. Znaczyło to, że jesienią mogę przeprowadzić się do mieszkania o normalnej powierzchni, wyposażonego dodatkowo w najprawdziwszy kominek - co stwierdziłam z zachwytem, kiedy wstąpiłam, żeby je obejrzeć.

Schodząc po obskurnych schodach z zamiarem kupienia czegoś na kolację, byłam w stanie wyobrazić sobie płonący kominek oraz siebie z książką w ręku i sznaucerem u stóp.

Byłam już na najniższym podeście, kiedy zobaczyłam coś, co dosłownie wbiło mnie w podłogę. Beatrice kręciła się wesoło wokół swoich drzwi wejściowych. Miała na sobie - ni mniej, ni więcej - sukienkę! Wprawdzie sukienka w jaskrawe kwiatowe wzory miała rozmiar namiotu zdolnego pomieścić małą rodzinę, ale jednak nadawała Beatrice bardziej... kobiecy wygląd. Próbowałam przemknąć obok niezauważona, ale bez powodzenia.

- Witaj, sąsiadko! - zagrzmiała na mój widok.

- Cześć, Beatrice. Jak się masz? - Przystanęłam zrezygnowana, aby odbyć z nią nieuniknioną pogawędkę.

- Świetnie, świetnie - zawołała w pośpiechu, kierując się do wyjścia. - Jestem już spóźniona. Mam spotkanie z przyjacielem - szepnęła konfidencjonalnie. - W parku. Niosę dla nas kanapki z pieczonym indykiem i ciasto! - Dziewczęcy uśmiech rozjaśnił jej zniekształconą twarz, kiedy pomachała do mnie reklamówką ze sklepu spożywczego.

Po czym zniknęła, a ja stałam oniemiała, trzymając otwarte drzwi.

Nawet Beatrice kogoś ma. Tymczasem ja...

Wtedy się zdecydowałam. Jeśli w tym mieście kobieta czegoś chce, powiedziałam sobie, to musi sama po to sięgnąć. Z mocnym postanowieniem, że nic mi nie przeszkodzi, skierowałam się w stronę Zdrowych Delikatesów. Za wszelką cenę muszę mieć mężczyznę, który uparcie pojawiał się w moich fantazjach od chwili, kiedy nasze spojrzenia skrzyżowały się nad wiaderkiem dietetycznych lodów. Mężczyznę od Chudej Ambrozji. Cóż mnie obchodzi, że jego zarobki zapewne nie przekraczają minimum socjalnego! Był wspaniały i męski. Powinien się cieszyć, że chcę mu coś zaproponować.

Sprawdziwszy swoje odbicie w szybie wystawowej, podeszłam do drzwi Zdrowych Delikatesów. Czułam, że moc jest ze mną. Wyglądałam jak Jade w czasach sprzed Teda. Czyli całkiem nieźle, prawda? Na pewno lepiej niż płaczliwa, żalonna eks-dziewczyna Derricka, którą byłam przez kilka tygodni.

Jeszcze tylko przeczesałam palcami włosy i pociągnęłam drzwi, które zapiszczały w oczekiwaniu tego, co ma się zdarzyć. Dzielnie wkroczyłam do środka, żeby usłyszeć miłe powitanie z ust starszej pani, właścicielki sklepu. Zauważyłam jej wypoczętą i opaloną twarz.

- Jak się pani miewa? - zapytałam, bezradnie kręcąc się w kółko.

- Dziękuję, świetnie. Właśnie wróciliśmy z mężem z Barcelony. Mały prezent od naszego syna - uśmiechnęła się z rozczeniem.

- Piękny prezent. Macie państwo wspaniałomyślnego syna - wymamrotałam, przełykając rozczarowanie. Powinnam przyjść tu trochę wcześniej i wtedy uwieść ich praktykanta.

- Syn jest naprawdę wspaniałym chłopcem - rozpromieniła się starsza pani. - Wcale nie myśli o sobie, chociaż tak ciężko pracuje. Założę się, że odpoczywa tylko w piątki wieczorem, kiedy wpada do nas pograć w karty. Bo u nas zbiera się kółko brydżowe - wyjaśniła.

Uśmiechnęłam się w odpowiedzi. Jakoś trudno było mi wyobrazić sobie ich idealnego syna, który w piątkowe wieczory tasuje karty dla gromady staruszków. A ja śmiem twierdzić, że mam nudne życie!

- Wie pani, uważam, że powinien sobie *znaleźć* odpowiednią dziewczynę - tu spojrzała na mnie z nagłym zainteresowaniem.

O Boże! Tego mi tylko brakowało. Zostałam uznana za odpowiednią osobę dla idealnego syna! Za Małą Trusią w dzikim, zachodnim świecie! Tak skończyły się moje wielkie plany uwiedzenia pięknego młodziana.

- To bardzo miło z pani strony - wymamrotałam szybko - ale ja, wie pani, ja... mam już chłopaka.

- Naprawdę? - Spojrzała na mnie ze zdumieniem. Tak jakby próbowała zrozumieć, dlaczego osoba, której obraz usiłuję jej przedstawić, pojawia się w jej sklepie w sobotni, piękny wieczór. Potrząsnęła głową przepraszająco. - Wybacz, kochanie. Tak sobie gadam. Czym mogę służyć? Podwójną Kawą z Chrupkami, jak zwykle?

Obrzuciłam spojrzeniem zamrażarkę wypełnioną kawową ambrozją i ogarnęła mnie nowa fala smutku. Nie byłam skłonna tak łatwo zrezygnować z widoku ich pociągającego asystenta. W mojej głowie zrodził się przemyślny plan. Nie spuszczać wzroku z pojemników wypełnionych lodami, czekających na klientów, szukałam smaku, którego tam nie było. Korzystny zbieg okoliczności mógłby sprawić, że telefon do magazynu w suterenie okaże się niezbędny.

- Czy jest Banan z Kawalkami Orzechów? - wymieniłam ulubiony smak Derricka.

Wybór lodów był kwestią sporną przez cały czas trwania naszego związku, bo ja nie znosiłam smaku banana z orzechami, a w mojej zamrażarce nie mieściły się dwa pojemniki. Teraz jednak z rosnącą radością zauważyłam, że na półkach nie ma ani jednego pojemnika z bananową ambrozją, co dawało mi cień szansy.

- Nie widzę ich tutaj - powiedziała starsza pani po dokładnym przeszukaniu lodówki. - Zaraz zadzwonię na dół.

Wyciągnęła rękę do słuchawki, a ja zaczęłam panikować. Co zrobię, kiedy on pojawi się tutaj z Chudą Ambrozją w dłoni? Jak powiadomić go o moich zamiarach, nie gorsząc uroczej starszej pani, która sądzi, że nadaje się dla jej porządnego synka?

Na dźwięk otwieranych drzwi do magazynu serce zaczęło mi walić. Może niepostrzeżenie wsunę mu do ręki swój numer telefonu? Albo mimochodem wymienię nazwę baru, w którym będę na niego czekać?

Ale mój mózg dosłownie zamarł na widok stojącego w drzwiach mężczyzny - zwłaszcza że był to miły starszy pan, równie uroczy jak jego żona, z którą prowadziłam grę.

- Czy chodziło ci o te, Glorio? - zapytał, wręczając jej z uśmiechem pojemnik.

- Tak, oczywiście.

Odbierając od niego lody, wolną ręką pogłaskała go delikatnie po pomarszczonym policzku.

- Dziękuję, kochany.

Patrzyli na siebie przez chwilę, a w ich oczach było tyle miłości, że gardło ścisnęło mi się ze wzruszenia. A potem poczułam wstyd z powodu moich niecnych zamiarów wobec ich młodego pomocnika. Kiedy więc starszy pan zniknął za drzwiami, a ja dostałam swojego Banana z Kawalkami Orzechów, zapłaciłam jak najszybciej i uciekłam. Dotarłam do pustego domu z sercem pełnym smutku i pojemnikiem pełnym lodów, których nie znosiłam.

Wpychając nietknięte lody do zamrażarki, uświadomiłam sobie, że sromotnie oblałam test na śmiałą i niezależną kobietę, za jaką miałam się od niedawna. Jade nigdy nie musiałaby jeść Banana z Kawalkami Orzechów, mając ochotę na Podwójną Kawę z Chrupkami.

Ale Jade nigdy nie była na tyle zdesperowana, żeby zrobić coś wbrew sobie tylko dlatego, żeby zadowolić jakiegoś faceta.

Nagle chyba zdałam sobie sprawę, co jest nie tak w moim życiu. Przez cały czas tak bardzo próbowałam sprostać wizerunkowi, jaki stworzył sobie Derrick, że zapomniałam, kim naprawdę jestem i czego naprawdę chcę. Przez cały czas starałam się nie dostrzegać, że on nie chce, żeby nasz związek się pogłębiał. Wmawiałam sobie, że tak jak on jestem artystą, a prawdziwy artysta potrzebuje samotności. Tylko że to było kłamstwo.

Doznałam olśnienia. Nagle zobaczyłam wszystko we właściwym świetle. Przestałam winić Maksa Van Geldera, że do mnie nie zadzwonił. Po co miałby dzwonić do kobiety, która ma o sobie tak marne zdanie, że praktycznie rzuca się na niego już na pierwszej randce? To, że w ogóle doszło do randki numer dwa, zawdzięczam prawdopodobnie temu, że Maks dostrzegł szansę rozładowania napięcia seksualnego z pierwszą chętną dziewczyną, która na dodatek nieco go pociągała. W końcu w Nowym Jorku trudno zbliżyć się do kogoś, kto jeszcze oddycha, że o aktywnych seksualnie wcale nie wspomnę. Więc siedziałam, wpatrując się w telefon, gotowa spełnić wszystkie jego erotyczne zachcianki. Marzyłam, żeby podniósł wreszcie słuchawkę i przywrócił sens mojemu życiu. Byłam straszną idiotką.

Ale teraz - koniec z tym. Koniec z czekaniem. Koniec z przekonaniem, że przyjdzie ktoś, dzięki któremu łatwiej mi będzie znieść życie. Albo ktoś, kto uczyni mnie szczęśliwą. Dostyc tego. Emma Carter nie będzie już czekać na nikogo.

Wyznanie: *Padłam ofiarą boga zakupów - i egzorcyzmowałam kilka demonów.*

Później, w pracy, przyszły następne olśnienia. Najpierw przyłapałam się na tym, że kręcę się po boksie redaktora wydania, czekając, aż skończy czytać mój tekst o stroikach na głowę - wszystko po to, żeby usłyszeć jakiś komplement i upewnić się, że zgrabnie formułuję zdania. I nagle zdałam sobie sprawę, że robię dokładnie to, czego przyrzekłam sobie nie robić: czekam, żeby ktoś inny ocenił za mnie moje życie.

Wracając do swojego boksu, w biurze Patrycji zauważyłam Rebeke, zatopioną w tak ożywionej rozmowie z szefową, że nie można było mieć wątpliwości, kto wylądował w kierowniczym pokoju obok.

Ale zamiast się zamartwiać, zamiast zarzucać wszystkim zbłąkanym duszyczkom z magazynu „Twój Ślub”, że nie poznały się na moim geniuszu i nie błagały, żeby im przewodzić, poczułam nagle, że ich opinie nie są już dla mnie takie ważne. W końcu kim jest Patrycja, żeby decydować, do jakiej pracy się nadaje? Dla niej jestem jedynie anonimową redaktorką. Nie zna mnie. Nie zna nawet własnego męża. Przecież to ja jestem panią swojego losu. Nie ona, nie Rebeka, a nawet nie Derrick, do cholery! Tylko ja mogę odkryć, co życie ma do zaoferowania Emmie Carter!

I w stanie silnego wzburzenia powędrowałam do domu z niezłomnym zamiarem odkrycia, co życie ma mi do zaoferowania.

Niestety, okazało się, że nie mam pojęcia. Prawdopodobnie dlatego tak łatwo padłam ofiarą machinacji mojej mamy, która zadzwoniła w sobotę skoro świt.

- Jak to dobrze, że złapałam cię w domu - oznajmiła, kiedy w półśnie odebrałam telefon.

Zmusiłam się do otwarcia oczu, żeby spojrzeć na zegarek.

- A gdzie miałabym być w sobotę o ósmej rano?

- Czy masz jakieś plany na dzisiaj? - zapytała, ignorując moją złość.

- Nie mam - wymamrotałam bezmyślnie, nie zdając sobie sprawy, że daję się podejść.

- Cudownie! - zawołała. - Pomyślałam sobie, że wpadnę do miasta na małe zakupy. W Macy's są właśnie przeceny, a w ich starym domu towarowym na Trzydziestej Czwartej Ulicy jest aż pięć wielkich stoisk z obuwem. Ślub za dwa miesiące, a ja wciąż nie mam butów. Kupiłabym też sandały. I szpilki, w których można wyjść wieczorem...

Jeśli miałyśmy z mamą jakąś wspólną cechę, była nią słabość do butów. Z tym że mama miała większą siłę nabywczą. I przez tę właśnie słabość dałam namówić się na całodzienne za-

kupy oraz rozważania o wyższości pantofli z odkrytym czubkiem nad pantoflami z zakrytym czubkiem (lub odwrotnie), co zakończyło się sztywnymi od bólu ramionami i jękiem sturutowanej duszy. Czynnikiem dodatkowym był strach przed samotnością, wypełnioną myślami o tym, dokąd zmierzam w życiu - o ile jeszcze żyję.

Mama przymierzała właśnie piątą parę płaskich sandałów w neutralnym kolorze, których być może będzie potrzebować, kiedy nie wystarczą jej płaskie sandały w kolorze czarnym lub srebrne sandały na wysokich obcasach, lub czarne klapki czy czerwone mokasyny, nie mówiąc o pantofelkach w kolorze złamanej bieli, które włoży na ślub z Clarkiem. Ja siedziałam na krzeselku naprzeciw niej, zastanawiając się, dlaczego dałam się w to zrobić.

Ale jeden rzut oka na podłogę wystarczył, żeby poznać odpowiedź. Dwie z leżących tam toreb należały do mnie i zawierały - po pierwsze: parę najseksowniejszych czerwonych sandałków na wysokim obcasie oraz - po drugie: najpiękniejsze sportowe półbuty, jakie w życiu widziałam. Zgubiła mnie własna zachłanność.

Nagle mama uniosła głowę znad ostatnich sandałów, które jej zdaniem za bardzo odsłaniały palce. W jej oczach błysnęło coś jak odzyskany nagle rozsądek.

- Wiesz co? - powiedziała. - Przecież ja wcale nie potrzebuję tych butów. Dajmy już sobie spokój i chodźmy gdzieś na lunch. Co ty na to?

Ochoczo przytaknęłam, bo zawsze uważałam, że jedzenie jest najlepszym rozwiązaniem. Przepychając się przez tłumy, wyszliśmy z domu towarowego na ulicę. Atmosfera handlowego centrum nie była szczególnie zachęcająca, więc wskoczyliśmy do taksówki, by pojechać w dół Manhattanu. Ponieważ mama skończyła właśnie czytać książkę o zaletach soi i zastanawiała się, czy w kolejnej fazie życia nie przejść na wegetarianizm, wylądowaliśmy w restauracji Smak Zen.

Jednak godzinę później odsunęła od siebie niedokończoną porcję makaronu z tofu i warzywami w sosie curry i odłożyła widelec.

- Wiesz, to jest nawet niezłe - wytarła usta serwetką - ale ja przy wegetariańskiej diecie padnę po zrobieniu dziesięciu kroków. Wychowałam się na mięsie i niejedzenie mięsa wydaje mi się nienaturalne - uśmiechnęła się do mnie.

Ja też się uśmiechnęłam. Odzyskałam dobry humor, co nie było trudne z dala od domów towarowych i po zjedzeniu porcji duszonych bakłażanów serwowanych z pastą ze smażonej fasoli.

- Nie przeszłam na wegetarianizm, chociaż Alyssa uważa, że soja jest lekarstwem na wszystko.

- A co u niej?

- Świetnie. Wiesz, podejrzewam, że ona i Richard wkrótce się zaręczą. - Przypomniałam sobie, jacy oboje byli szczęśliwi, kiedy widziałam ich ostatnim razem.

- To wspaniała wiadomość! - Mamie błysnęły oczy. - A Jade? Czy ma jakiegoś chłopaka?

- Wszystko wskazuje na to - odparłam - że Jade jest zakochana.

- Nie! - Mama była zachwycona. - W kim?

- Facet ma na imię Ted. Miły. Wcale niepodobny do Michaela.

- Bogu dzięki.

Mama widziała Michaela raz albo dwa razy w życiu i mimo tak krótkiej znajomości od razu uznała go za egoistę skupionego tylko na sobie. Takie są pożytki z umawiania się z facetami do późnych lat. Kobieta wykształca w sobie szósty zmysł i wyczuwa palantów z odległości pięciuset metrów.

- Najwyższy czas, żeby Jade trafiła na kogoś właściwego.

Zapadła cisza. Byłam pewna, że w tej chwili myśli mamy skierowały się na moją osobę, bardzo spóźnioną, jeśli chodzi o wybór mężczyzny na całe życie.

- O co ci chodzi? - zaatakowałam ją. Nie mogłam znieść wyrazu oczekiwania na jej twarzy. Chyba nie spodziewa się, że spotkałam kogoś i ukrywam przed nią ten istotny fakt?

- O nic - odpowiedziała. - Zastanawiałam się tylko, co się dzieje u ciebie.

Natychmiast okopałam się na pozycjach obronnych. Miły nastrój zniknął w jednej chwili. Miałam później tego żałować, ale teraz obudziłam śpiącego we mnie diabła i ani myślałam mu przeszkadzać.

- Czy interesuje cię, co się dzieje u mnie, czy raczej to, co się dzieje w moim życiu uczuciowym? Bo jeśli chodzi o to drugie, to nie mam ci absolutnie nic do powiedzenia. Ale gdyby naprawdę interesowało cię pierwsze...

- Emmo! Dlaczego na mnie napadasz? Myślałam, że miło spędzimy czas. Myślałam...

- I na tym chyba polega twój problem, mamo! - Poniosło mnie. Nie miałam pojęcia, że jest we mnie tyle złości. - Chcesz tylko wierzyć, że miło spędzamy czas! Spróbuj odstawić na kilka dni lekarstwa, a zobaczysz, że życie nie jest takie różowe. I że nie zawsze udaje się spędzać miło czas. Bo życie na ogół jest wredne.

Twarz mamy skurczyła się częściowo z bólu, jaki jej zadałam, częściowo ze zmartwienia. Zaczęłam żałować tego, co powiedziałam. I zastanawiać się, po co to zrobiłam. Moja złość na nią zmieniła się w nienawiść do siebie.

- Przepraszam. Nie chciałam...

Przerwała mi zdecydowanym ruchem dłoni.

- Po pierwsze, chcę ci powiedzieć, że nie dotykam leków antydepresyjnych, odkąd... spotkałam Clarka. Rzeczywiście, w ciężkich chwilach wydawało mi się, że udaje mi się żyć tylko dzięki nim. Przez długi czas. Ale to już przeszłość. Odkąd jestem z Clarkiem, wszystko się zmieniło. Ja się zmieniłam.

Nie muszę mówić, że byłam zaszokowana. I wciąż podejrzliwa.

- Czy nie boisz się, że twoje szczęście za bardzo wiąże się z osobą Clarka? Czy to nie jest tak, że zamieniłaś leki antydepresyjne na miłość?

Mama z przekonaniem potrząsnęła głową.

- Nie. Kiedy poznałam Clarka, byłam inną osobą. Emocjonalnie inną. Przeszłam terapię. Już wtedy łykałam tylko pięćset miligramów dziennie. Wydaje mi się, że lepiej zrozumiałam siebie. Zaczynałam zdawać sobie sprawę, czego chcę od życia. I kiedy pojawił się Clark, nie miałam wątpliwości, że to właściwy człowiek.

Teraz naprawdę doznałam szoku. Wszystko wskazywało na to, że moja matka, która wciąż wybierała fatalnych mężów i nieustannie pakowała się w kłopoty, odnalazła w końcu szczęście. Przyjęłam to z mieszaniną bólu i nadziei.

Bo wtedy właśnie uświadomiłam sobie, że ja też mogę kiedyś być szczęśliwa. Ale wiedziałam również, że szczęścia nie da się znaleźć tak łatwo jak butów na przecenie w Macy's. Ani że nie ma go na dnie pojemnika z Chudą Ambrozją. Podejrzywałam, że czeka mnie jeszcze niejedno rozczarowanie, zanim zbliżę się do niego o krok, ale po raz pierwszy w życiu miałam nadzieję, że na nie trafię. Obserwując zadowoloną twarz mamy, wierzyłam w to coraz bardziej.

Wyznanie: Jestem zmuszona porzucić swoje role - biurowego pariasa oraz porzuconej dziewczyny.

Zaczął się kolejny tydzień. Czułam się tak, jakby ktoś zdjął mi z ramion ogromny ciężar. Odważyłam się nawet zatelefonować do taty, żeby sprawdzić, co u niego. Okazało się, że nie tylko unika alkoholu, ale zaczął chodzić na spotkania Anonimowych Alkoholików, co było

bardzo dobrym znakiem, gdyż przez całe życie nawet nie dopuszczał do siebie podobnej myśli. Według niego na spotkaniach AA bywali ludzie, którzy „naprawdę mieli problemy”. Przez całe lata tato uważał, że nie należy do tej kategorii - prawdopodobnie dlatego, że zawsze, nawet w okresach ostrego picia, udawało mu się prowadzić czynne życie. Pracował. Odnowił swój pierwszy dom, a po ślubie z Deirdre sam zrobił remont kapitalny drugiego domu, mimo że był już znacznie starszy. Wszystko przy pomocy swojego starego druha Johnniego Walkera. Sądzę, że dopiero emerytura i upadek z dachu zmusiły go do spojrzenia prawdzie w oczy.

Zaczęłam myśleć o jego przyszłości z nieśmiałym optymizmem. Moje nadzieje byłyby jeszcze większe, gdybym nie usłyszała od Deirdre, że dalej uparcie poszukuje prawnika, który poprowadziłby jego sprawę przeciwko producentowi szelek wspinaczkowych. Widocznie ojciec wciąż potrzebował kozła ofiarnego, żeby żyć.

Powinnam to zrozumieć. Nie tak dawno odkryłam, że sama mam kilka własnych kozłów ofiarnych. Pierwszym z nich była Rebeka, którą obarczyłam winą za wszelkie niepowodzenia w moim życiu.

Okazało się, że po tym, jak Rebeka doszła do władzy, ja stałam się cichym bohaterem wszystkich rozczarowanych i sfrustrowanych członków naszej redakcji. Ludzie w rodzaju Lucrecji Wenner, ze swoją posadą bez perspektyw, czy Marcy Keller, której życie wewnętrzne przypominało pustynię, korzystali z każdej okazji, żeby powiedzieć mi, że awans należał się mnie, że padłam ofiarą błędów kierownictwa, które to błędy doprowadzą kiedyś pismo do upadku. Przyznaję, że po tym, jak Rebeka przeniosła się do nowego, świeżo wyremontowanego gabinetu z zamykanymi drzwiami i oknem wychodzącym na rzekę, moja egzystencja w „Twoim Ślubie” była możliwa tylko dzięki takim uwagom. Nie zrobiłabym nawet kroku, gdybym nie przekonała siebie, że to tylko kostiumy Rebeki i jej porządna fryzura zaślepiły Patrycję, która uznała ją za lepszą ode mnie.

Ale jak na rozczarowanego i zepchniętego na boczny tor młodszego redaktora, szło mi bardzo dobrze. Dziwny spokój, który mnie ogarnął, pozwolił mi pisać artykuły, tworzyć dowcipne podpisy i wymyślać zręczne tytuły szybciej i lepiej niż kiedykolwiek dotąd. Było mi obojętne, co inni sądzą o mojej pracy i to - paradoksalnie - ułatwiało mi zadanie. Czułam się jak człowiek, który we śnie próbuje wejść na Mount Everest. Udawało mi się, dopóki miałam zamknięte oczy i nie widziałam przepaści pod nogami.

I wtedy pojawiła się Caroline i wszystko zniszczyła. Porządkowałam właśnie materiały i skrupulatnie zmieniałam podpisy na wszystkich teczkach w ramach własnego programu „Do-

łącz do nielicznego grona świetnie zorganizowanych pracowników", kiedy zobaczyłam ją w progu, zasłoniętą już bardzo wydatnym brzuchem. Przywitałam ją wesoło, ale ona obrzuciła mnie pełnym troski spojrzeniem. Zaprosiła mnie „na pogawędkę”, kiedy będę miała „wolną chwilę”.

Oczywiście, że się zaniepokoiłam. Czyżby ktoś podsłuchał, jak przedrzeźniam łagodne przemowy Patrycji o naszym wspianiałym piśmie? A może Marcy doniosła, kto jest odpowiedzialny za okładkę przedstawiającą pannę młodą z odciętą głową, która wisiała przez kilka dni na ścianie w pokoju śniadaniowym?

Natychmiast pognałam do gabinetu Caroline. Wprawdzie nie byłam naprawdę gotowa na spotkanie z przeznaczeniem, ale nie mogłam żyć w niepewności.

Kiedy tam dotarłam, Caroline zdążyła już zasiąść wśród stosów papierów zapelniających jej pokój. Mimo że już za chwilę miała odejść na trzymiesięczny urlop macierzyński, presja terminów i ogólne szaleństwo panujące w redakcji zdawało się wcale jej nie dotyczyć. Sprawdziła makietę nowego numeru i emanował z niej wielki spokój. Zamierzałam uciec, żeby jej nie przeszkadzać.

- Emma! - Zdziwiona, uniosła głowę. - Już jesteś? Dobrze, wejdz. To nie potrwa długo.

Usiadłam posłusznie i z niepokojem czekałam, aż skończy. Kiedy w końcu na mnie spojrzała, zmarszczyła czoło z tym samym co wcześniej wyrazem troski.

- Jak twoje sprawy, Emmo?

Bardzo nie chciałam, żeby dłużej tak patrzyła. Zaczęłam szczebiotać, że jest cudownie. Że ostatnio bardzo skupiałam się na pracy. Że stałam się dobrze zorganizowaną osobą.

- Na moim biurku można teraz przeprowadzać operacje - zakończyłam żartobliwie, ale Caroline nie wydawała się rozbawiona.

- Wszystko ładnie, ale mnie interesujesz ty i to, co u ciebie słychać.

Wiedziałam, co teraz będzie. Caroline była szefem wrażliwym. Regularnie sprawdzała, czy pracownicy, którzy jej podlegali, są zadowoleni. Opiekowała się nimi i ich dopieszczała. A ponieważ ostatnio obnosiłam się ze swoją rozpaczą, postanowiła dogłębnie omówić ze mną cały problem.

- Wszystko w porządku - stłumiłam westchnienie. - Jest świetnie.

- A jak z twoim pisaniem?

- Dobrze.

W końcu dwa ostatnie artykuły napisałam bez cienia wysiłku i oddałam na czas. A może to wszystko przez ten brak wysiłku? Widać, że się nie przyłożyłam? Musiałam to wiedzieć.

- Czy... czy były jakieś... negatywne reakcje na moje teksty?

- Nie, skądże! - Caroline energicznie potrząsnęła głową.

- Trochę się o ciebie martwiłam, to wszystko. Myślałam, że możesz czuć się trochę... rozczarowana ostatnimi decyzjami.

Wiedziałam, że mówi o awansie Rebeki. I o mojej klęsce. Ponieważ wszystko wskazywało na to, że nie da się uniknąć tego tematu, wołałam podjąć go sama.

- Szczerze mówiąc, Caroline, jest mi... łatwiej, odkąd decyzja o awansie Rebeki została oficjalnie podjęta. Skupiłam się bardziej na pisaniu. Wszystko... idzie mi... łatwiej.

- Cieszę się, że to słyszę - uśmiechnęła się wreszcie.

Ulżyło mi. Odzyskałam reputację usatysfakcjonowanego pracownika.

- Prawdę mówiąc - ciągnęła Caroline - byłam bardzo zdziwiona, że w ogóle chciałaś ubiegać się o tamto stanowisko.

Teraz ja poczułam się zaskoczona. Cóż ona sobie myśli? Chce, żebym do końca życia była niewolnikiem produkującym niezliczone teksty o tym, że „żyli-długo-i-szczęśliwie”? A wcześniej trawiła czas na ich wymyślanie?

- Nie chcę, żebyś mnie źle zrozumiała - powiedziała Caroline, czytając chyba w moich myślach. - Od początku wiem, że najlepiej sprawdzasz się, pisząc. Dlatego chciałam, żebyś weszła do naszego zespołu. A starszy redaktor w dziale reportażu ma niewiele szans na pisanie. Jego praca polega przede wszystkim na zarządzaniu. - Przewróciła oczami i parsknęła cichym śmiechem. - Sama wiem to najlepiej. Czy ci kiedyś mówiłam, że ja też chciałam pisać? Tuż po studiach prowadziłam rubrykę „Z życia wzięte” w dzienniku w moim rodzinnym mieście, w Ohio. Potem spotkałam swojego przyszłego męża. Przeprowadziliśmy się na Wschodnie Wybrzeże ze względu na jego pracę. Ja wylądowałam w „Twoim Ślubie”. Na początku byłam tu główną autorką tekstów. Potem zaproponowano mi miejsce w kierownictwie pisma. Odtąd coraz więcej czasu spędzałam, zamawiając artykuły, niż je pisząc. Wiesz - uśmiechnęła się do mnie - kiedy pojawiłaś się tutaj, wydałaś mi się bardzo podobna do mnie z tamtych czasów.

Niesamowite! Caroline - idealna żona, matka i biznesmenka - zobaczyła we mnie swój obraz z czasów młodości!

- Oczywiście, początkowo wydawało mi się, że wciąż mogę pisać, ale co chwila zdarzało się coś, co przeszkadzało realizacji moich planów. Właściwie były to same dobre rzeczy -

kupiliśmy z Milesem dom i wielkim wysiłkiem przekształciliśmy go w „prawdziwy dom”. Potem, co za niespodzianka! - Parsknęła śmiechem. - Przyszła na świat Sara.

Rzeczywiście niespodzianka. Do tej pory byłam przekonana, że od dzieciństwa życie Caroline toczy się ściśle według ustalonego przez nią planu: pierwszy chłopak, pierwszy mąż, pierwszy dom przerobiony z zabytkowej farmy w Connecticut, a potem trójka doskonałych i pięknych dzieci.

- Kiedy przyszło na świat moje drugie dziecko, zaproponowano mi miejsce w zarządzie. Czy mogłam odrzucić pieniądze, których bardzo potrzebowaliśmy dla naszych dzieci?

Na jej twarzy pojawił się wyraz smutnej tęsknoty. Współczułam Caroline z całego serca. Do tej pory wydawało mi się, że całe jej życie było nieustająco spełniającym się marzeniem, a nie czymś, co marzenia tłumi. Ale Caroline znowu czytała w moich myślach.

- Nie musisz mnie żałować. Ja nie żałuję swoich decyzji. Lubię życie rodzinne. Budujemy je z Milesem i to sprawia mi wiele satysfakcji. A pisanie? Kiedyś przyjdzie na to czas. Dlaczego by nie? - Wbiła we mnie uważne spojrzenie i dodała:

- Ale nie wszyscy muszą tak długo czekać. Ważne, żeby nie schodzić z drogi i nie dawać zwieść się fałszywym ambicjom.

Przełknęłam ślinę. Chciałam zaprzeczyć. Powiedzieć jej, że moją jedyną ambicją jest zostać najlepszą redaktorką w „Twoim Ślubie”. Ale wiedziałam, że Caroline nie potrzebuje świadectwa lojalności wobec pisma. Że oczekuje ode mnie czegoś więcej. Na przykład - nadziei i marzeń. Tylko że z powodów, w które bałam się wnikać, znacznie trudniej było mi o tym mówić.

Zanim zdołałam wziąć się w garść, rozmowa zesłała już na inne, bezpieczniejsze tematy w rodzaju opinii na temat makiety, którą przeglądała Caroline. Zanim jednak opuściłam jej gabinet, zanotowała dla mnie nazwisko znajomej redaktorki z magazynu „Kobieta Dzisiaj”, gorąco zachęcając, żebym skontaktowała się z nią, gdybym miała pomysł na artykuł niezbyt zgodny z profilem „Twojego Ślubu”. Była to aluzja do mojego kompletnie chybionego pomysłu na numer o kobietach, które powiedziały małżeństwu „nie”. Słyszałam w jej głosie lekkie rozbawienie, ale nie byłam obrażona. Nagle zrozumiałam, że Caroline jest po mojej stronie. I że trzyma za mnie kciuki.

Miłe uczucie. Poszłam za ciosem i już dwa dni później wysłałam list do znajomej Caroline z propozycją, między innymi, tekstu o końcu wielkich miłości. Najwyraźniej poruszyłam jakąś czułą strunę w duszy ważnej pani redaktor, która zatelefonowała tydzień później, propo-

nując mi tysiąc dolarów zaliczki za artykuł do jesiennego numeru „Kobiety Dzisiaj”. Byłam tak zaskoczona i podekscytowana, że natychmiast zadzwoniłam do Jade i Alyssy.

Jade nie mogła powstrzymać się od uwag w rodzaju „a nie mówiłam?”, Alyssa z kolei uznała, że musimy to uczcić toastem i kolacją w sobotę wieczorem. Tylko my trzy.

- W końcu - powiedziała - od bardzo dawna należy się nam właśnie takie spotkanie.

Niespodziewanie mała uroczystość przekształciła się w megaimprezę. Wszystko dlatego, że Alyssa pojawiła się w restauracji z najpiękniejszym zaręczynowym pierścieniem, jaki widziałam w życiu, i błyskiem czystej miłości w oku. Nie chciała nic mówić, żeby jej sprawy nie przesłoniły - jak stwierdziła - prawdziwego powodu, dla którego się tu zebrałyśmy, ale po pierwszym toaście za mój sukces zażądałyśmy z Jade szczegółowego opisu sceny oświadczyn.

Okazało się, że Richard zaaranżował wszystko jak w powieści. Najpierw zaprosił Alyssę na koncert do Central Parku w piątek po południu. Kiedy czekała na niego przy wejściu, nie wiadomo skąd pojawiła się przy niej Lulu. Alyssa nie miała pojęcia, co się dzieje, dopóki nie zobaczyła Richarda z koszykiem piknikowym w ręce. Jego wyjaśnienie, że „Lulu czuła się bardzo samotna”, wydało się jej trochę naciągane, ale prawdziwych podejrzeń nabrała, kiedy Richard ominął wielki trawnik, na którym zbierali się uczestnicy koncertu, i poprowadził ją na małą polankę. Natychmiast rozpoznała miejsce, gdzie zaraz po tym, jak zamieszkali razem w Nowym Jorku, wycięli w pniu drzewa swoje inicjały. Wprawdzie Richard utrzymywał, że przed koncertem muszą coś zjeść w spokoju, ale Alyssa czuła, że serce wali jej jak młotem. I kiedy koc został rozścielony, a Lulu jak na zawołanie ułożyła się malowniczo u ich stóp, Richard ukląkł na jedno kolano, żeby powiedzieć Alyssie, że bardzo ją kocha i pragnie, by została jego żoną.

Pod koniec opowieści Alyssy nawet Jade miała łzy w oczach.

- Poproszę jeszcze raz to samo! - zawołała do przystojnego kelnera o ciemnej cerze, którego nie zaszczyciła nawet jednym spojrzeniem.

- Co z Tedem? - zapytałam, kiedy już wypiliśmy za Alyssę i zbiorowo uznałyśmy, że życie jest piękne.

- Coraz lepiej - powiedziała Jade. - Ale on robi wszystko, żeby wreszcie rzuciła palenie.

- Rewelacja! - zawołała Alyssa.

- Pewnie - wtórowałam. - Już najwyższy czas, żebyś przestała. Palenie wyszło z mody.

- Proszę, proszę. Oto co mówi nowoczesna autorka „Kobiety Dzisiaj”! - kpiła Jade.

- Opowiedz, o czym ma być twój artykuł - dopytywała się Alyssa.

Uśmiechnęłam się, unosząc kieliszek.

- O tym, jak przeżyć koniec romansu.

Trąciłyśmy się kieliszkami raz jeszcze. Ale nawet radosny nastrój nie powstrzymał Alyssy przed szybką kontrolą stanu moich emocji.

- No więc, jak sobie z tym teraz radzisz? Nie dopytywałam się, bo nie chciałam wymieniać słowa na literę D, ale skoro ostatnio wszystko tak dobrze ci się układa...

- Radzę sobie. Chociaż muszę powiedzieć, że po tym, jak dostałam propozycję z „Kobiety”, bardzo chciałam do niego zadzwonić.

- A on? Nie odzywał się do ciebie?

- Nie. Od czasu, kiedy o mało nie przegryzłam mu gardła za to, że ułożył sobie życie bez mnie.

Zapadła cisza, a mnie zrobiło się nagle smutno. I nie był to smutek osoby, która wie, że rozstała się z mężczyzną swojego życia; raczej przykrość, że nie mogę porozmawiać z kimś, z kim przez dwa lata dzieliłam wszystkie niepokoje i radości.

- Widocznie jestem skazana na to, żeby wiecznie być porzuconą dziewczyną - zdobyłam się na coś w rodzaju żartu.

- Emmo! Nie jesteś już dziewczyną porzuconą. - Jade z hukiem odstawiała kieliszek. Spojrzałam na nią zmieszana. - Oficjalnie uznaję cię za Kobieta, Która Wybrała Życie w Pojedynkę. Uwierz mi, że to nie taki zły stan.

Więc uniosłyśmy kieliszki, żeby wypić za moje nowe wcielenie.

ROZDZIAŁ TRZYNASTY

„Dobry blond nie jest lekarstwem na wszystko. Ale pomaga”

- Sebastian Yeager, były król salonów piękności

Wyznanie: *Jestem najlepszą przyjaciółką dziewczyny porzuconej.*

Teraz, kiedy rozpoczęłam nowy etap życia, udało mi się pozbyć kilku rzeczy. Na przykład złości. Opuściłam nawet Rebecę. Co więcej - machnęłam cholernie dobry artykuł o nadchodzącym trzecim ślubie mojej mamy do numeru specjalnego „Twojego Ślubu”, pilotowanego przez Rebece. Ona zaś przyjęła tekst z takim entuzjazmem, że poczułam się dumna. A mimo to, kiedy patrzyłam, jak wkłada maszynopis do swojej nowiutkiej, skórzanej teczki, nie mogłam pozbyć się uczucia rezygnacji. Widocznie istnieją kobiety, które dostają od życia wszystko - świetną pracę, świetnego faceta - oraz takie, które nie dostają nic. Jak ja.

Rebeka obiecała, że przeczyta mój artykuł najszybciej, jak się da. Wyobraziłam sobie, jak czyta go u siebie w domu, siedząc przy kominku, a Nash patrzy na nią z uwielbieniem, czekając, aż skończy, a on będzie mógł zanieść ją do łóżka, zrobić jej masaż i wysłuchać wszystkich informacji o zaręczynowych pierścionkach, które ona może zaakceptować. Bo przecież w końcu jej się oświadczy. Nie dalej jak w zeszłym tygodniu Rebeka powiedziała mi, że Nash zaglądał na stronę Tiffany.com. Nie szpiegowała go, ale zupełnie przypadkiem zauważyła ten adres, surfując po Internecie.

Nocą z niewiadomych powodów ogarnęły mnie wątpliwości związane z artykułem. Następnego dnia od rana kręciłam się po korytarzu w okolicy nowego gabinetu Rebeki, zastanawiając się, gdzie też, na Boga, ona może być, skoro o dziewiątej trzydzieści nie ma jej jeszcze w redakcji. Udało mi się nawet stworzyć teorię, że udaje chorą po to, żeby uniknąć rozmowy o tym, że mój kawałek jest do niczego. I wtedy ją zobaczyłam. Biegła przez hol ze wzrokiem wbitym w podłogę, przyciskając do piersi nową teczkę. Ustawiłam się przy dystrybutorze. Nalewając wodę do papierowego kubka, miałam nadzieję, że nie mam zbyt zaniepokojonej miny. Popijałam od niechcienia, kiedy Rebeka przystanąła obok. Spojrzała na mnie, a ja zobaczyłam w jej niebieskich oczach wyraz czystego bólu.

- Czy mogę z tobą porozmawiać? - poprosiła, wykrzywając wargi, jakby za chwilę miała się rozplakać.

- Jasne. - Wrzuciłam pusty już kubeczek do kosza.

Kiedy weszliśmy do jej gabinetu, Rebeka natychmiast skorzystała z uprawnień szefa i z łomotem zamknęła swoje nowiutkie drzwi. Rzuciła teczkę na podłogę, opadła ciężko na krzesło i gestem poprosiła, żebym usiadła. Potem westchnęła i patrząc mi prosto w oczy, oznajmiła:

- Ten skurwiel mnie rzucił.

Wulgarny epitet, który padł z jej pięknych, różowych usteczek, tak mnie zaskoczył, że zapytałam z tępą miną:

- Kto?

- Nash! - wrzasnęła z szeroko otwartymi oczami. - A któż by inny? - I nagle, jakby na sam dźwięk jego imienia, zaczął drgać jej podbródek.

- Rebeko, tak mi przykro...

Naprawdę było mi strasznie przykro. Nie mogłam znieść myśli, że ktoś, niechby to była nawet Rebeka, będzie cierpieć z powodu faceta. Tym bardziej że po swoim niedawnym doświadczeniu dobrze wiedziałam, z jakim bólem to się łączy.

- Co się stało?

Wilgotne od łez spojrzenie Rebeki nabrało ostrości. W jej oczach pojawił się nowy, bardziej satysfakcjonujący wyraz - złości.

- Wczoraj zabrał mnie do Lutèce, tej nowej francuskiej restauracji. Wiedział, że umierałam z ciekawości, jak tam jest - zaczęła, wycierając wierzchem dłoni łzę. - Już w zeszłym tygodniu zarezerwował stolik, a ja - tak się składa - myślałam, że chce mi się tam oświadczyć. - Uśmiechnęła się drżącymi wargami. - Nawet miałam ci powiedzieć, ale bałam się, że zapeszę, wyobrażasz to sobie? Ale byłam pewna. Po co wchodziłby na stronę Tiffany'ego? Na pewno po to, żeby potwierdzić zamówienie. Tak sądziłam. Okazało się, że sprawdzał tylko cenę wiecznego pióra, które zamierzają kupić swojemu szefowi z okazji przejścia na emeryturę! - Z trudem powściągnęła złość, którą takie oświadczenie niechybnie wywołało. - A ja praktycznie wytapetowałam cały dom reklamami najnowszych pierścionków z brylantem lansowanych przez Tiffany'ego. Wiesz, o jakich mówię? Nowoczesny szlif, kwadratowy kamień?

Kiwnęłam głową, bo przeglądając naszą ostatnią makietę, rzeczywiście zauważyłam niesamowity pierścionek z kwadratowym brylantem.

- Nieprawdopodobny kamień, prawda? - Rebeka uniosła brwi w zachwycie.

- Piękny - przyznałam, zastanawiając się, czy to ten typ żądzy doprowadzał kobiety do ślubu z parweniuszami o wielkich majątkach?

- A więc, Nash zabrał mnie do Lutèce. Usiedliśmy naprzeciwko siebie przy prześlicznym, małym stoliku. - W tym momencie jej oczy napelniły się łzami. Mimo że z chęcią dowiedziałabym się, czy to zastawa, czy może nienagannie złożone serwetki wywołały u Rebeki taką falę emocji, powściągnęłam złośliwość i szybko wyjęłam chusteczki higieniczne.

- Dzięki - powiedziała i wydmuchała swój subtelny nosek z mało subtelnym hałasem. - Siedzimy więc sobie, przed nami kieliszki z bordeaux, patrzymy sobie w oczy. Pomyślałam, że to musi nastąpić teraz. Nash wydawał się nawet lekko zdenerwowany, a ja, idiotka, rozczuliłam się tym niemal do łez. Nash się denerwował. Może bał się, że mu odmówię? - Zmięła chusteczkę i z wściekłością rzuciła ją na biurko. - Ścisnęłam mu dłoń, dodając odwagi. „Rozluźnij się, kochanie. Wyglądasz na zdenerwowanego” - powiedziałam. A on oznajmił, że musi mi powiedzieć coś ważnego. Serce mi waliło. Bałam się, że umrę na atak serca, zanim wyciągnie ten pierścionek. „Kochanie, wiesz, że możemy rozmawiać o wszystkim. Możesz mnie prosić, o co chcesz. Przecież się kochamy”.

Ostatnie słowo przerodziło się w żalospny pisk, a z jej oczu popłynęły strumienie łez. Szlochała tak gorzko, że w odruchu żalu złapałam ją za rękę i mocno ścisnęłam.

- A potem - ciągnęła, kiedy udało się jej opanować łkanie - ten gnojek ze mną zerwał. Wierzysz mi? - zapytała z niedowierzaniem.

Prawdę mówiąc, nie wierzyłam, żeby jakikolwiek mężczyzna rzucił z własnej woli ten wzorzec dobrego wychowania i ideał przyszłej żony. Nie mogłam w to uwierzyć, nawet patrząc na gorszą wersję Rebeki - z czerwonymi oczami i opuchniętą twarzą.

- Dlaczego to zrobił? Podał jakieś powody?

- O, miał mnóstwo powodów. Wszystkie sprowadzają się do jednego - jest niedojrzałym gówniarzem, który nie widzi, co jest dla niego dobre, nawet jeśli ma to na wyciągnięcie ręki. - Rebeka wyjęła następną papierową chusteczkę. - Stwierdził, że są rzeczy, które jeszcze chce zrobić. I że nie czuje się gotowy do małżeństwa. A jego matka - naprawdę zaczął wymigiwać się matką! - wciąż liczy na jego opiekę. - Prychnęła ze złością. - Tak jakby sklepy przy Piątej Alei nie spełniały wszystkich jej zachcianek!

Wpatrywałam się w nią przez chwilę, zastanawiając się nad tym, co powiedziała. A potem zrobiłam rzecz nie do pomyślenia. Wybuchnęłam śmiechem. Nie mogłam się powstrzymać. Nie dlatego, że nie obchodziło mnie zerwanie Rebeki. Obchodziło mnie, i to bardzo. Było mi naprawdę przykro.

Śmiałam się, wyobrażając sobie Nasha i jego matkę, z głową zawsze prosto od fryzjera. Ale nie tylko. Rozśmieszył mnie absurd całej sytuacji. Niepokój, który wywołują w nas te wszystkie męsko-damskie sprawy, wydał mi się głupi i śmieszny.

Bezskutecznie próbując opanować wesołość, z zakłopotaniem zerkałam na Rebekę. Patrzyła na mnie oniemiała. Bałam się, że uzna mnie za bezduszną i obojętną wobec jej rozpacz. I wtedy zobaczyłam, że jej mokrą od łez twarz rozjaśnił nikły uśmiech. Nagle Rebeka też zaczęła śmiać się na cały głos. Czegoś takiego nie widziałam od czasów, kiedy wymienialiśmy złościwości na temat Patrycji i całego jej dworu.

Przestałyśmy, kiedy brzuchy rozbolały nas ze śmiechu. Obie wytarłyśmy łzy, które z radości płynęły nam po twarzach. Rebeka westchnęła i nagle posmutniała, i jakby przybyło jej lat.

- Nie będzie mi łatwo - powiedziała. - Myślę, że to najgorsza rzecz, która przytrafiła mi się w życiu.

Nie tobie jednej, pomyślałam, przypominając sobie, jak sama cierpiałam po odejściu Derricka. Ale rozumiałam Rebekę. Dobrze pamiętałam, co dzieje się w duszy, kiedy mężczyzna, którego kochasz, niespodziewanie przekreśla wszystko, co było między wami. Całe życie rozpada się wtedy na miliony bolesnych kawałków.

- W takiej chwili myślisz, że nic gorszego nie może cię spotkać - odezwałam się ostrożnie. - Ale nie zawsze tak będzie.

Rebeka podniosła na mnie spojrzenie pełne nadziei, więc brnęłam dalej.

- Będiesz czuła się porzucona i samotna. Wszystko straci sens. Uznasz, że gorzej już być nie może. Ale kiedyś to się zmieni, uwierz mi. W pewnej chwili przypomnisz sobie osobę, którą kiedyś byłaś.

Uderzyło mnie, że wcześniej sama nie zdawałam sobie z tego sprawy.

- Przypomnisz sobie, czego chcesz od życia. I po to sięgniesz. - Uśmiechnęłam się do niej.

Rebeka z zadumą pokiwała głową.

- Skąd wiesz takie rzeczy? Czy przeżyłaś coś takiego, zanim spotkałaś Derricka?

- Nie. - Chrząknęłam. - Przeżywam to dokładnie teraz.

I wtedy się przełamalam. Opowiedziałam jej o wszystkim - zaczynając od chwili, w której Derrick oznajmił, że znika z mojego życia, poprzez bolesne odkrycie istnienia Bogini Jamy Ustnej, na ostatniej telefonicznej awanturze kończąc. Rebeka naprawdę była w szoku.

- Nie mogę uwierzyć, że przez to przeszłaś. I nie powiedziałaś ani słowa! Jakim cudem udało ci się to przeżyć?

Nie powiedziałam jej, że jakaś część mojej osoby wciąż się nad tym zastanawia.

Wyznanie: *Jak już mówiłam, są rzeczy, na które pomaga tylko dobra fryzura.*

I w ten sposób znowu zostałyśmy z Rebeką przyjaciółkami. Wzięłam ją nawet ze sobą na gimnastykę, bo od kiedy wykorzystałam wszystkie wejściówki Alyssy i Jade, wykupiłam własną kartę członkowską w klubie i też należały mi się wejściówki dla własnych gości. Nie żeby Rebeka nie miała swojej siłowni - jak inaczej utrzymałaby nieskazitelną figurę? Bardziej chodziło nam o podtrzymanie więzi, czemu szczególnie sprzyjały sesje ze stairmasterem, który najlepiej egzorcyzmował demony budzące się w człowieku w stanie „po rozstaniu”.

Pewnego wieczoru poszliśmy nawet razem do baru. Udało mi się doprowadzić Rebeke do stanu lekkiego upojenia alkoholowego, w którym - jak dawniej - wymieniała ze mną żarciki na temat chorego świata naszego pisma, w którym wszystko podporządkowane jest dobrej organizacji ślubu. Oczywiście Rebeka nie rozpędziała się za bardzo. Ostatecznie należała teraz do kierownictwa.

Tak więc życie szło swoim torem. Byłam kobietą samotną, z kartą członkowską klubu sportowego. Byłam też znacznie chudsza, gdyż karta dawała mi prawo do indywidualnych zajęć z trenerem - opalonym i pięknym Tomem. Rozważałam możliwość poderwania go, ale trudno umawiać się z kimś, kto wciąż każe stawać ci na wadze. Nawet jeśli w pewnej chwili okazuje się, że straciłaś całe pięć kilogramów! Pięć kilogramów. Piszczalam z radości. Byłam w formie. Jak na swoje możliwości, oczywiście.

Byłam też szczęśliwsza. Przestałam okłamywać siebie. Przestałam grać rolę porzuconej dziewczyny. A jednak coś było ze mną nie tak. To coś sprawiało, że ciągle tęskniłam za rozmową z Derrickiem. Że gryzłam się błędami, które popełniłam wobec Maksa. To coś powstrzymywało mnie przed randką z pięknym trenerem. I być może wszystko skończyłoby się znacznie gorzej, gdyby na ratunek nie pospieszył mi sam święty Sebastian.

- Emma! - W pewien piątkowy wieczór usłyszałam radosny okrzyk w słuchawce.

Był to nie kto inny, a mój fryzjer marnotrawny.

- Sebastian! Cześć. Jak się masz?

- Cudownie. A ty?

- Może być.

- Zakochana?

- Uhm...

- Bo ja jestem zakochany - ciągnął, zupełnie niezainteresowany tym, co chciałam wyjąkać. - Kocham życie.

No, no! Czyżby i on przeszedł na stronę Samotnych?

- Wiesz, Emmo, wszystko to zasługa mojej guru. Powinnaś kiedyś wybrać się ze mną na spotkanie. Medytuję teraz codziennie. Nie masz pojęcia, jak pogłębiła się moja wrażliwość na otaczający świat. W przyszłym tygodniu zaczynam nową sesję zajęć. Ty też powinnaś spróbować. Naprawdę!

Zachodziła obawa, że Sebastian zajął się handlem wartościami duchowymi i mnie usiłuje wcisnąć. „Wystarczą trzy spotkania, a odnowimy twoją świadomość życia...”.

- Wiesz, ja chyba... - zaczęłam.

Ale znowu wpadł mi w słowo.

- Opowiadaj, co u ciebie. Jakie masz włosy?

Wszystko jasne. Odkryłam prawdziwy powód jego telefonu.

- Wciąż nie jestem blondynką.

- Może da się temu jakoś zaradzić. Co robisz jutro po południu?

Kochany Sebastian. Na szczęście kiedy zaczyna brakować mu kasy, doznaje olśnienia. Jak rozumiem, samo osiągnięcie spokoju wewnętrznego nie wystarcza, żeby płacić rachunki. Nie mogłam stracić takiej okazji. Natychmiast zgodziłam się przyjść do jego mieszkania na Upper East Side. Wprawdzie ukradkiem wrzucę mu jutro do szuflady całkiem spory zwitek banknotów, ale w zamian za to wyjdę ze świetlistymi pasemkami, których od dawna nie mogę się doczekać.

Jak się okazało, Sebastian dał mi dokładnie to, czego było mi trzeba. Kiedy następnego dnia siedziałam w jego kuchni, która zadowolilaby najbardziej topowych dekoratorów wnętrz ze względu na dobór śmiałych i - dziwnym trafem - kojących kolorów, poczułam pełnię szczęścia. Na głowie miałam mnóstwo papilotów ze srebrnej folii, kryjących różne odcienie świetlistego blondu, a Sebastian, nucąc pod nosem jakieś spokojne melodie, kończył pierwszy etap swojego dzieła.

Po nastawieniu czasomierza zajął się przygotowywaniem herbaty. Delikatnie wsypał garść listków do żeliwnego czajniczka i zalał je wrzątkiem. Obserwowałam jego oszczędne,

pełne wdzięku ruchy. Wydawało się, że wykonując nawet najdrobniejsze czynności, robi to z prawdziwą przyjemnością. Najwyraźniej coś go odmieniło. Albo ktoś go odmienił.

Kiedy więc postawił przed nami kubki z herbatą, usiadł naprzeciwko i wreszcie uniósł pochyloną w modlitewnym geście głowę, zadałam pytanie, które męczyło mnie, odkąd weszłam do jego mieszkania i na własne oczy zobaczyłam blask jego nowej osobowości.

- Czy w twoim życiu pojawił się ktoś nowy?

Potrząsnął głową i z wyraźnym zadowoleniem upił łyk herbaty. Ja sięgnęłam po swoją. Okazała się cienka i pachnąca wilgotną piwnicą. Zastanawiałam się, czy przypadkiem nie pijemy czegoś innego.

- Ja też z nikim się nie spotykam - powiedziałam niepytana. - To zaczyna mi działać na nerwy.

Sebastian uśmiechnął się i lekceważąco machnął ręką.

- Emmo! Po prostu brakuje ci seksu.

Otworzyłam szeroko oczy. Nie spodziewałam się usłyszeć takich słów z ust Sebastiana, który siedział przede mną w orientalnej, haftowanej szacie, z wyrazem spokoju i powagi na twarzy. Liczyłam na jakąś złotą myśl niosącą spokój umysłu.

- O co ci chodzi? - zapytał lekko urażony moją zaskoczoną miną. - Chyba nie sądziłaś, że zostałem mnichem? Emmo! Proszę! - Spojrzał na mnie z politowaniem, a jego okolona złotymi lokami twarz cherubina przybrała figlarny wyraz. - Odkryłem, że warunkiem powodzenia wszelkich związków jest nie wiązać się wcale. W ten sposób nie musisz się martwić, kiedy tej drugiej osobie odwała. John dał mi nieźle popalić. Wystarczy na dwa życia. - Wzruszył ramionami. - Od facetów nie potrzebuję już niczego. Z wyjątkiem seksu, oczywiście. Ale to da się załatwić bez kłopotów.

Nic tylko być gejem w Nowym Jorku, pomyślałam. Czyżby to była recepta na bezproblemowy seks bez ryzyka, że zostaniesz wykorzystany? No, nie wiem.

- I w tym tkwi sekret?

- Sekret? - Sebastian nie zrozumiał.

- Klucz do szczęścia - wyjaśniłam. - Wydajesz się taki spokojny. I szczęśliwy.

Uśmiechnął się błogo.

- Nauczyłem się, jak być szczęśliwym, od mojej guru. Żaden zwykły człowiek nie może cię tego nauczyć. - Wskazał palcem zdjęcie hinduskiej kobiety o mądrej twarzy, które już kie-

dyś widziałam. Nie przekonał mnie. Mimo łagodnego uśmiechu jej oczy wydały mi się... raczej smutne.

- I uważasz, że ludzie powinni żyć samotnie? - Bałam się odpowiedzi, ale musiałam zażytkować.

- Tylko wtedy, kiedy sami tego chcą. Wszystko w życiu jest kwestią wyboru, chociaż niewiele osób o tym wie.

Niestety, rozległ się dzwonek i Sebastian rzucił się do pracy. Po sprawdzeniu kilku papilotów rozpoczął żmudny proces rozwijania aluminiowej folii. Kiedy skończył, poprowadził mnie do zlewu, żeby zmyć farbę, która miała odmienić moje życie. Jak zwykle nie pozwolił podchodzić mi do żadnych luster, aż do ostatniego tchnienia suszarki - najbardziej lubił obserwować zmianę wyrazu mojej twarzy w chwili, gdy mogłam już sprawdzić efekt swojej transformacji.

Tym razem też go nie zawiodłam. Czułam pod dłonią miękkie, gładkie fale, ale musiałam stanąć przed lustrem, żeby zobaczyć złote pasma rozświetlające mi twarz. Doznałam uczucia czystej radości.

- Jestem piękna! - zawołałam i uścisnęłam go z całych sił.

- Emmo! - Sebastian trzymał mnie w objęciach. - Zawsze jesteś piękna. - Potem odchylił się i przez chwilę podziwiał swoje dzieło. - Teraz jesteś po prostu... piękniejsza.

Kiedy jeszcze raz spojrzałam w lustro, szczęście ogarnęło mnie ciepłą falą. Wiedziałam, że Sebastian ma rację.

Wyznanie: Słuchajcie wszyscy! Jestem blondynką!

Wracałam do domu z miłym uczuciem nasycenia po kolacji, na którą Sebastian przygotował makaron sojowy z jarzynami, oraz z numerem telefonu do najbliższego Centrum Jogi. Chociaż wykazałam odporność na guru, Sebastianowi udało się przekonać mnie do medytacji. Nie wiedziałam, czy skorzystam z jego rad, ale na wszelki wypadek schowałam wizytówkę do portfela.

Dochodząc do domu, postanowiłam zajrzeć do Zdrowych Delikatesów i kupić trochę Podwójnej Kawy z Chrupkami. Postanowiłam zrobić sobie małą ucztę - nie dlatego, żeby w lodach topić swoje smutki. Odwrotnie - taki dzień należało skończyć jakimś pysznym, nisko-

kalorycznym przysmakiem. Poza tym nie chciałam, żeby starsi państwo, którzy prowadzą sklep, martwili się zbyt długą nieobecnością stałej klientki.

Kładłam już rękę na klamce, kiedy zobaczyłam - jego. Spanikowałam natychmiast. Byłam pewna, że już tu nie pracuje. Myślałam, że dał się uwieść innej napalonej klientce, w wyniku czego został słusznie wyrzucony ze sklepu. Tymczasem on stał sobie za ladą w koszulce, pod którą rysowały się mięśnie wspaniałej klatki piersiowej, i w perfekcyjnie spranych dżinsach opinających szczupłe biodra. Nie mogłam wyjąkać nawet jednego słowa.

- O! - rzucił mi uśmiech, którym przeszył mnie do samiućkich stóp. - Jest nasza Kawowa Chrupka. Gdzie się pani podziewała?

Zepchnął mnie do defensywy, co od razu rozwiązało mi język. Niestety, zdobyłam się na odpowiedź, która nie powinna wyjść z ust kobiety o wybujałych fantazjach erotycznych.

- Przepraszam, ale jak każdy dorosły człowiek mam swoje życie. A na imię mi Emma...

- Nie denerwuj się tak, Emmo. Po prostu byłem ciekaw, co się z tobą działo.

Cała moja złość ulotniła się w jednej chwili. Chciał wiedzieć, co się ze mną działo?

- Ja nazywam się Griffin Rivers. Dla znajomych Griff. Prawdopodobnie będziemy się widywać i dobrze byłoby mówić sobie po imieniu. - Uśmiechnął się. - Co mam podać? To, co zwykle?

- Tak - zająknęłam się zakłopotana. - To, co zwykle.

Drżąc lekko, obserwowałam, jak przeciska się w stronę lodówki i wyjmuję znajomy pojemnik.

- Czy życzysz sobie mały pojemnik czy czterolitrowe wiaderko?

- Mały pojemnik - odpowiedziałam pośpiesznie.

- Lokatorzy się wyprowadzili?

- Jacy lokatorzy? - Zmarszczyłam brwi. - Nie mam... - Wtedy przypomniałam sobie, jak tłumaczyłam się z własnego obżarstwa. Z uśmiechem rozłożyłam ręce. - Wyprowadzili się.

- Rozumiem - odwzajemnił uśmiech, wrzucił pojemnik do torby i podszedł do kasy.

Kiedy oddawał mi resztę, nasze palce spotkały się na chwilę. I wtedy to poczułam. Poczuałam przyciąganie, o którym czytałam setki razy w książkach, a którego sama doświadczyłam dwa razy. Oba razy z Griffinem Riversem, człowiekiem od Chudej Ambrozji. W uszach dzwoniła mi uwaga Sebastiana o potrzebie seksu. Żadna kobieta o zdrowych zmysłach nie wyszłaby stąd bez ustalonego terminu randki z tak obiecującym partnerem, bez względu na to, o ile jego zarobki przekraczają minimum socjalne. Tylko że... Tylko że on był zbyt wspaniały.

Zbyt piękny, żebym mu się spodobała. Widziałabym go raczej w drużynie Jade. Ja byłam raczej w typie dziwaków w okularach.

A jednak zebrałam się na odwagę - w końcu przypomniałam sobie, że opuszczając mieszkanie Sebastiana, wyglądałam absolutnie wspaniale.

- Dzięki. - Odebrałam swoje lody.

I co teraz? - myślałam w panice. Chuda Ambrozja wydała mi się jedynym ratunkiem.

- Teraz, kiedy nie mam już lokatorów, będę bywać tu trochę rzadziej...

- Sam nie wiem. Od Podwójnej Kawy z Chrupkami można się uzależnić.

Tak właśnie powiedział. Nie żartuję. - A więc może powinniśmy się umówić na przyszłą sobotę? Tak na wszelki wypadek, gdybym miała nie pojawić się w Zdrowych Delikatesach. Na przykład na drinka w... - rozejrzałam się po półkach wypełnionych jarzynami i owocami z ekologicznych hodowli - ...w jakimś mniej zdrowym miejscu? Na przykład w barze?

- Albo w restauracji - zaproponował. - Przyjdę po ciebie, kiedy zamknę sklep. Powiedzmy, około dziewiątej, dobrze? Musisz mieszkać gdzieś w pobliżu...

- Możemy spotkać się tutaj. - W mojej wyobraźni pojawił się obraz mnie i Griffina całujących się gdzieś pomiędzy półkami z pochodnymi soi.

Poza tym nie chciałam, żeby za wcześnie zobaczył norę, w której mieszkam. Albo - co jeszcze gorsze - spotkał Beatrice i musiał wysłuchać sprawozdania o stanie jej układu trawienia. Na to jeszcze przyjdzie czas. Wcześniej muszę omotać go swoim czarem i wdziękiem.

- W porządku - powiedział. - W takim razie spotykamy się w sobotę o dziewiątej przed sklepem.

- No to do zobaczenia. - Odwróciłam się i spokojnie wyszłam, chociaż w środku trzęsłam się tak, jakbym zaraz miała rozsypać się na tysiąc kawałków.

O, Boże! Mam randkę. Z najprzystojniejszym facetem, jakiego w życiu widziałam. Jeszcze nigdy nie zamierzałam uwieść kogoś tak pięknego.

Na szczęście spojrzałam na swoje odbicie w najbliższym oknie wystawowym. Przypomniałam sobie, że jestem inną kobietą. Wiem, czego chcę, i nie boję się po to sięgnąć. Może to była zasługa nowej fryzury? A może po prostu nadszedł już na to czas?

Wyznanie: *Odkrywam, że jest coś lepszego niż seks.*

Przez cały tydzień przygotowywałam się do uwiedzenia Griffina.

- Jesteś pewna, że wyłącznie chcesz się z nim przespać?

Wyobraźcie sobie, że usłyszałam to od Jade! Jade zaczęła torpedować mój plan od chwili, kiedy zadzwoniłam, żeby poinformować ją o randce z pięknym subiektem.

- A co innego mogłabym z nim robić? Jak rany, Jade! Ten facet handluje dietetycznym substytutem lodów.

- Ależ z ciebie snobka!

- Żeby zacytować ciebie z czasów, zanim zaczęłaś piec ciasta dla Teda...

- Upiekłam jedno jedyne ciasto! To był eksperyment - broniła się. - Owszem, Ted lubi domowe ciasto, ale ja chciałam wypróbować, czy mój piekarnik w ogóle działa.

- No więc, chcę powiedzieć, że używam tych samych argumentów co ty, kiedy zamieniłaś biednego Enrica w swoją zabawkę seksualną. Griffin nie jest w moim typie. Owszem, jest pociągający. I ma stałą pracę - jeśli można to nazwać pracą. Ale przecież nie mam z nim nic wspólnego.

- Może to artysta, który musi jakoś zarabiać, żeby płacić rachunki.

- Nawet Derrick nie upadłby tak nisko, żeby sprzedawać jarzyny - nawet z naturalnej hodowli. Z takim zajęciem nie masz szans na utrzymanie - bez względu na to, czy jesteś artystą, czy nie. To raczej jakiś szalony, proekologiczny typ opętany misją ratowania Matki Ziemi.

- Co masz przeciw takim facetom?

- Jade!

- Dobrze, już dobrze. Tylko uważaj, proszę cię. Pamiętaj, co czułaś, gdy Maks nie odezwał się do ciebie po tym, jak się z nim przespałaś.

Na wspomnienie tamtego wydarzenia skurczył mi się żołądek, ale wytrzymałam.

- To co innego. Kiedy umawiałam się z Maksem, bardzo chciałam z kimś być na stałe. Teraz chcę tylko seksu. I mam zamiar go mieć.

- No, no, no! Nawet mi się nie śniło, że usłyszę podobne słowa od ciebie - Jade była raczej rozbawiona.

- Oto moje nowe wcielenie.

- W porządku. Tylko przypomnij tej nowej o prezerwatywach.

- Dobra, dobra - wzruszyłam ramionami, jakby to było dla mnie coś oczywistego.

Kupowanie prezerwatywy w drogerii u ekspedientki, która obdarzyła mnie pełnym wyższości spojrzeniem, było dość traumatycznym wydarzeniem, ale nie mogło się równać z chwilą, która nadeszła w sobotę wieczorem, kiedy (po uprzednim wciśnięciu małych paczuszek głęboko do torebki) musiałam już wyjść z domu. Czułam się jak na rozbiegu przed skokiem o tycze.

Żeby dodać sobie odwagi, zerknęłam w lustro. Musiałam przyznać, że wyglądałam cholernie dobrze. Zdecydowałam się na zestaw: czarna spódnica i mały gorset w kolorze khaki - nie tylko ze względu na sierpniowe upały. Nie miałam zamiaru ryzykować - chciałam, żeby Griffin mnie chciał. To było najważniejsze. Czerwony, jedwabny stanik i takie same majtki dodawały mi odwagi. Jeszcze tylko szminka i nowe klapki. Byłam przygotowana do walki. Złapałam torebkę i ruszyłam w kierunku Zdrowych Delikatesów, obiecując sobie przyjemności większe niż cała zamrażarka kawowych lodów. Nawet z chrupkami.

Griffin siedział na ławeczce przed sklepem i czytał. Wyglądał, jakby dopiero co wyszedł spod prysznic. Miał na sobie koszulkę z czesanej bawełny i letnie spodnie z jednego z tych nowych, kosmicznych materiałów. Jade twierdziła, że to ostatni szczyt mody. Ja natomiast wiedziałam, że były kosmicznie drogie. Jakby tego było mało, pismo, które czytał, zatytułowane było ni mniej, ni więcej tylko „Wiek Reklamy”. Dziwny wybór jak na wegetarianina, weganina czy sobotniego sprzedawcę dietetycznych lodów.

Jednak te zadziwiające sprzeczności zajmowały mnie tylko przez chwilę. Kiedy na mój widok na twarzy Griffina pojawił się wyraz niekłamanego zachwyty, wszystkie myśli wyleciały mi z głowy.

- Cześć, Emmo! - W jednej chwili stanął przede mną i, trzymając moje ręce w swoich dłoniach, patrzył na mnie, jakby chciał zjeść mnie żywcem. Ale nie zjadł. Nawet mnie nie pocałował, chociaż wiedziałam, że ma na to ochotę.

W końcu byliśmy dwojgiem obcych sobie ludzi. Ale nagle poczułam coś dziwnego. W jego oczach ocienionych gęstymi rzęsami zobaczyłam coś - kogoś - kogo znałam tak dobrze jak siebie. I nagle, nie wiadomo skąd i dlaczego, przez głowę przemknęła mi myśl, że nasze dzieci będą mieć takie oczy.

Przełknęłam ślinę. Boże, muszę wziąć się w garść, pomyślałam. Odwróciłam wzrok i ostrożnie uwolniłam dłonie z jego uścisku. Udało mi się nawet zaśmiać. Kiedy znów na niego spojrzałam, stał przy ławce ze swoją gazetą w rękach. Jakby nic między nami nie zaszło. Musiałam chyba zwariować.

- Poczekaj, proszę. Schowam to tylko i zamknę sklep - powiedział, po czym podniósł ławkę i bez najmniejszego wysiłku zaniósł ją do ciemnego sklepu. Razem z pismem, którym tak mnie zadziwił. Swoją drogą ciekawe, jakim cudem wyglądał tak, jak wyglądał, po całym dniu mieszania i pakowania lodów?

- Chyba musicie mieć w sklepie prysznic - zaśmiałam się. - Patrząc na ciebie, nikt by nie powiedział, że jesteś po całym dniu ciężkiej pracy.

Jeszcze raz przyjrzałam się jego ciuchom: nie było wątpliwości, że ta niedbała elegancja kosztowała całkiem sporo.

- Rodzice mają mieszkanie niedaleko stąd. Brałem prysznic u nich - wyjaśnił rzeczowo, a potem wziął mnie za rękę i poszliśmy.

Próbowałam zachować resztki zdrowego rozsądku, chociaż uścisk jego silnej dłoni wprowadzał stały zamęt w moje myśli.

- Masz rodziców w Nowym Jorku? Mieszkają tu, w centrum? - Modliłam się w duchu, żeby przypadkiem nie mieszkał u rodziców. Chociaż to wiele by wyjaśniało. Na przykład kwestię markowych ubrań przy zarobkach na poziomie minimum socjalnego.

- Przez całe życie. Ja też się tu urodziłem. Jakiś czas temu zastanawiali się nad przeprowadzką na Florydę, ale chyba nie są jeszcze gotowi na pozbycie się sklepu i spokojne życie emerytów.

- Jakiego sklepu? - Nie za bardzo rozumiałam, o czym mówi.

- Zdrowych Delikatesów. Przepraszam, myślałem, że wiesz. Ci starsi państwo, którzy je prowadzą, są moimi rodzicami. - I jakby nigdy nic prowadził mnie w stronę University Place.

Nagle zaczęłam kojarzyć. Skoro uroczą starszą parą ze sklepu to jego rodzice, on...

- Mam szczęście, że się wyrwałem - zaśmiał się dźwięcznym śmiechem. - Robili wszystko, żebym został u nich na brydżu. Nie żebym miał coś przeciw temu. Wróciłem do Nowego Jorku dopiero pół roku temu. Jakiś czas mieszkałem w Chicago - rzucił wyjaśniająco. - A oni są coraz starsi. Prawdę mówiąc, uważam, że powinni dać sobie spokój ze sklepem i odpocząć. Pomagam im co sobotę, ale to nie zawsze jest łatwe. Rozumiesz, mam swoją firmę i...

Przestałam słuchać. O, rany. I to ma być robotnik pracujący za grosze? Moja zabawka seksualna? Ludzie, mam randkę z prawdziwym mężczyzną! Z facetem, który nie dość, że jest piekielnie przystojny i ma najpiękniejsze ręce na świecie, to jeszcze jest na tyle miły, że poświęca swoje sobotnie wieczory na spotkania ze starymi rodzicami. I gra z nimi w brydża!

Tego wieczoru zrobiłam znacznie więcej odkryć na jego temat. Podczas kolacji w Nobu, gdzie próbowałam najbardziej wymyślnego i najsmaczniejszego jedzenia od wielu lat, dowiedziałam się, że Griffin jest grafikiem z własną firmą projektową. Pracuje dla wielu firm reklamowych (tym samym wyjaśniła się zagadka jego lektury). Po studiach w Princeton był projektantem dużej firmy w Chicago, a teraz wrócił do Nowego Jorku i rozpoczął pracę na własny rachunek. Sobotnie wieczory w Zdrowych Delikatesach na pewno nie były najlepszym sposobem spędzania wolnego czasu. Ale chciał pomóc rodzicom, którzy zgadzali się na chwile odpoczynku tylko wtedy, kiedy sklep był w dobrych rękach.

Ja też wiedziałam coś o tych rękach. Trzęsłam się w środku za każdym razem, kiedy Griffin sięgał przez stół, żeby złapać moje dłonie.

To nie wszystko. Miał mieszkanie w najlepszej części Manhattanu. Nie, nie wynajmował go za jakieś astronomiczne pieniądze. Nie mój Griffin. Kiedy po powrocie z Chicago postanowił zapaść korzenie w Nowym Jorku, zaczął od kupna wielkiego strychu z oknami od podłogi do sufitu i masą różnych przedwojennych detali.

Nie, czytelniczko. Nie widziałam tego niezwykłego wnętrza. I nie spałam z Griffinem. Wydawało mi się to... niestosowne. Skoro zupełnie serio uznałam, że nie powinnam go odwiedzać, łóżko w ogóle nie wchodziło w grę. Poczułam się strasznie staromodna.

Może dlatego umierałam ze strachu, kiedy Griffin, wsadziwszy mnie do taksówki po kolacji, pocałował mnie na do widzenia jeden jedyny raz - było to cudowne i zdecydowanie za krótkie.

- Zadzwoń do ciebie - powiedział.

To się okaże, pomyślałam, chociaż fakt, że poprosił mnie o numer telefonu niemal zaraz po wejściu do restauracji, był bardzo pokrzepiający. Ale zanim taksówka przystanąła pod moim odrapanym blokiem, zdążyłam stracić całą nadzieję. Przyjęłam to z rezygnacją, ale i z pewną ulgą. Chyba nie byłam gotowa na kogoś tak wspaniałego jak Griffin.

Jedno wiedziałam na pewno. Nawet jeśli nigdy nie zadzwoni, przeżyję. Przeżyję i nie załamie się. Ostatecznie - miałam siebie. A to całkiem niezła perspektywa.

Wyznanie: *Nie mam pojęcia, jak to się stało.*

Kiedy telefon zadzwonił następnego dnia o jedenastej rano, nie miałam żadnych oczekiwań. Dlatego byłam kompletnie nieprzygotowana, słysząc Griffina, który swoim ciepłym głó-

sem życzył mi miłego dnia. Telefonował, żeby powiedzieć, że spędził ze mną świetny wieczór i że nie może doczekać się następnego spotkania. Nie przejmował się wcale tym, że nie dzwoni się do dziewczyny zaraz następnego dnia, chyba że człowiek chce wyjść na napalonego palanta. W ogóle nie przejmował się, że ktoś może uznać go za napalonego palanta. Polubił mnie. Naprawdę. Tak jak ja polubiłam jego.

I tak spotkaliśmy się w następną sobotę. I jeszcze w następną. Oraz spędziliśmy razem długi weekend z okazji Święta Pracy, co nawet Jade uznała za znaczący sygnał - biorąc pod uwagę, jak krótko się znamy. Wkrótce okazało się, że spędzamy razem wszystkie weekendy. Co więcej - spędzanie czasu osobno wydaje się nam czymś wyjątkowo nienormalnym. I tak nawet nie zauważyłam, kiedy zostaliśmy parą.

- Przepadłaś! - oznajmiła Jade, kiedy we trzy z Alyssą siedziałyśmy w kawiarni nad kubeczkami z dymiącą kawą cappuccino, regenerując siły po wizycie w salonie Very Wang, gdzie pomogłyśmy Alyssie wybrać zupełnie olśniewającą suknię ślubną. Teraz ja bezlitośnie raczyłam je opowieściami o tym, jak absolutnie piękny jest Griffin, kiedy śpi. - Przepadłaś z krete-sem.

Ale czy można było mieć mi to za złe, skoro wczoraj kochaliśmy się z Griffinem pierwszy raz? Było to moje najbardziej niezwykle, najbardziej osobiste doświadczenie w życiu.

- Tak się cieszę, Emmo! - Alyssa popatrzyła na mnie zamglonymi ze wzruszenia oczami. Zawsze tak wyglądała, kiedy - według jej własnego określenia - była świadkiem narodzin prawdziwej miłości.

- Jak tu się nie cieszyć? - Jade podniosła do ust kubek. - Wygląda dokładnie jak ja po naszej pierwszej nocy z Tedem. - Westchnęła. - Nie wiem, jak to możliwe, ale jest nam coraz lepiej w łóżku.

- Myślę, że zawsze tak jest - oznajmiła Alyssa z miną prawdziwego mędrca. Ponieważ Jade spojrzała na nią spod uniesionych znacząco brwi, dodała: - Oczywiście, trafiają się okresy ciszy. Ale kiedy wszystko idzie dobrze... - Westchnęła z miną wskazującą, że między nią a Richardem wszystko idzie dobrze. A nawet bardzo dobrze.

- A więc za te rzeczy - wzniosłam toast kawą.

Uśmiechnęłyśmy się leniwie jak trzy zadowolone z życia koty, stuknęłyśmy się kubkami i wypily do dna, delektując się słodyczą, którą podarowało nam życie.

Wyznanie: *Dobra. Mam swoje gorsze chwile...*

Nie mam zamiaru was oszukiwać. Mój związek z Griffinem wyglądał coraz poważniej, ale pewne rzeczy coraz bardziej mnie niepokoiły. Po pierwsze - ślub mamy. Za krótko się znałiśmy i nie zamierzałam zabierać go w rejs z całą moją rodziną, której jeszcze nie poznał. Ich spotkanie odkładałam na później. Chyba bałam się, że Griffin mógłby uznać ich za nieco... oryginalnych, żeby użyć najłagodniejszego określenia.

Mama wydawała mnie za niego od pierwszej rozmowy, podczas której nieopatrznie wspomniałam jego imię. Tato z kolei uważał, że mimo wszystko powinnam związać się z prawnikiem. Babcia Zizi, z którą rozmawiałam z okazji jej dziewięćdziesiątych drugich urodzin, chciała jedynie wiedzieć, czy jest wysoki.

- Metr dziewięćdziesiąt, babciu. - Bałam się, że dostanie zawału z radości.

Były też inne strachy, którym musiałam stawić czoło. Tuż przed wyjazdem na ślub pierwszy raz pokłóciłam się z Griffinem. Przeżyłam atak ciężkiej niepewności, dowiadując się, że kiedy ja odpływam w siną dal, żeby być świadkiem przysięgi składanej przez mamę do wtóru fal rozbijających się o brzeg, Griffin wybiera się na Fire Island z grupą kumpli ze studiów. Nie miałam nic przeciw ostatniemu w tym sezonie weekendowemu szaleństwu na plaży, dopóki nie wspomniał, że będzie tam jego była dziewczyna. „W pewnym sensie” była dziewczyna - tak dokładnie się wyraził.

- Dobrze wiem, jak łatwo jest... paść ofiarą swoich dawnych partnerów. Kilka drinków, chwila śmiesznych wspomnień z dawnych lat. Mija parę minut, a już odświeżacie stare wspomnienia w swoich ramionach.

- Chyba oszalałaś! - Popatrzył na mnie wzrokiem osoby, która nigdy nie miewa ataków niepewności. W tym na szczęście się różniliśmy i może dlatego było nam tak dobrze razem.

A więc na własne uszy słyszałam trzecią przysięgę małżeńską mojej mamy. W oddali grał zespół mariachich, ja stałam na drewnianej platformie, żeby na zakończenie ceremonii odczytać wiersz Johna Donne'a pt. „Ekstaza”, gdy nagle drewniana konstrukcja pod moimi stopami zaczęła chwiać się i trzeszczeć. Nie wiem, jakim cudem zachowałam zimną krew i opanowałam się, ale zdołałam przeczytać wszystko.

Już później okazało się, że w szale poszukiwań namiotu, który miał stanąć na plaży, oraz najodpowiedniejszej restauracji, podczas pakowania ptasiego ziarna, którym mieliśmy rzucać w parę młodą, wszyscy zapomnieli, że we wrześniu na Karaibach zaczyna się pora huraganów.

Na szczęście ceremonię udało się bez przeszkód doprowadzić do końca - wtedy to, dokładnie w chwili, kiedy pan młody całował pannę młodą, sfrunęło na nich stado tresowanych śnieżnobiałych gołębi. Pomysł z ostatniej chwili, o którym mama ani Clark nie powiedzieli ani słowa. Jestem pewna, że pianistki z „Twojego Ślubu” nigdy nie zaakceptowałyby takiego zakończenia ze względu na straszny bałagan, który zaczął się chwilę później, kiedy treser usiłował zapędzić ptaki do ich bambusowej klatki. Dość powiedzieć, że wszyscy zapomnieli, że trzymają w garści ziarno, żeby obrzucić młodą parę... I to byłoby wszystko. Obserwując przez cały weekend mamę i Clarka, zrozumiałam, że nie warto trzymać kciuków za pomyślność ich małżeństwa. Ono się uda. Było jasne, że ci dwoje mają więcej niż zwykle szczęście. Mają swoją miłość.

Chociaż podczas ślubu zachowałam względną trzeźwość umysłu, potem było trochę gorzej. Wiedziałam, że jest rzeczą całkowicie niedorzeczną myśleć o małżeństwie z Griffinem - przecież znaliśmy się dopiero od miesiąca, ale po powrocie do domu nie mogłam uwolnić się od wizji „najszcześniejszego dnia mojego życia”, jak zwykle się nazywać go w magazynie „Twój Ślub”. Z jednej strony gardziłam sobą, z drugiej - denerwowałam się, czy ten dzień w ogóle nadejdzie.

- Wyluzuj! - radziła Jade.

- To trochę trwa - uspokajała mnie Alyssa.

Wszystko na nic. Denerwowałam się. Wciąż pamiętałam, że los daje mi dwa lata. A kiedy za dwa lata Griffin mnie rzuci, będę trzydziestotrzyletnią, samotną kobietą całkowicie pozbawioną nadziei i przyszłości. Na szczęście udawało mi się ukryć swoje niepokoje przed Griffinem, chociaż żyłam w ciągłym przekonaniu, że nad moją głową wisi miecz.

I właśnie wtedy niczym znak od Boga dostałam list od Sebastiana, a w nim pięknie wydrukowane oficjalne zawiadomienie, że mój były fryzjer prowadzi sesje uzdrawiające po 99,95 \$ za jedno zajęcia. Mogłam więc prosić go, żeby oczyścił moją duszę ze wszystkiego, co ją gryzie. Nie byłam jednak gotowa i - prawdę mówiąc - nie mogłam zdobyć się na zaufanie komuś, kto obiecuje mi duchowe zdrowie kosztem mojej finansowej przyszłości.

Ale przypomniałam sobie o wizytówce wepchniętej do portfela i zapisałam się na jogę. Nie mogę powiedzieć, że bym robiła specjalne postępy na polu medytacji. Przeciwnie. Na trzech zajęciach najpierw o mało nie zasnęłam podczas ćwiczeń, potem byłam o krok od zwykłego ataku niepewności wywołanego myślą o życiu pozbawionym niepewności. Ale podczas piątej sesji coś się zdarzyło. O ile można było wątpić w duchowy charakter tego wydarzenia, to mimo wszystko dzięki niemu lepiej zrozumiałam siebie.

Wszystkie zajęcia zaczynały się od pozdrowienia słońca - serii ruchów, które najpierw wydawały mi się dziwaczne, a teraz wyraźnie mnie wyciszały - kątem oka zauważyłam twarz osoby, której nie widziałam od czasu seminarium magisterskiego na Uniwersytecie Nowojorskim. Twarz należała do profesor Diany Young, jedynej osoby prowadzącej zajęcia z kreatywnego pisania, którą naprawdę szanowałam. Cykl opowiadań, dzięki którym dostałam dyplom uniwersytecki, pisałam właśnie pod jej troskliwą opieką.

Zanim przeszłam do drugiej pozycji, byłam pewna, że ona też mnie zauważyła.

Przez resztę zajęć nie mogłam skoncentrować się na niczym. Podczas końcowej, rozprężającej serii ćwiczeń byłam kłębkim nerwów. Leżałam na plecach i zamiast słuchać łagodnego głosu naszej instruktorki, namawiającej nas do wejścia w stan wyższej świadomości, planowałam, jak szybko pożegnać się i uciec bez wdawania się w rozmowę z osobą, która przez cały semestr była świadkiem moich zmagania z własną słabością. Przez kilka miesięcy pojawiałam się w gabinecie profesor Young z wymęczonymi fragmentami opowiadań lub - co zdarzało się znacznie częściej - z pustymi rękami i następną prośbą o przesunięcie terminu. Do końca roku udało mi się napisać sześć opowiadań, ale nie uwierzyłam w żadną pochwałę profesor Young, która zawsze dokładnie czytała moje prace i poddawała je dogłębnej, choć życzliwej krytyce.

Kiedy więc instruktorka pozwoliła już uczestnikom zajęć powrócić do rzeczywistości (której ja nie opuściłam ani na chwilę), wstałam, szybko złapałam swój ręcznik i nonszalanckim krokiem podbiegłam do drzwi. Być może profesor Young mnie nie zauważyła... Albo nie wie, że ja zauważyłam ją.

- Emma Carter? - usłyszałam nagle za plecami. - Czy to ty, Emmo?

- Dobry wieczór, pani profesor - odpowiedziałam, zanim jeszcze zdążyłam się do niej odwrócić.

- Dobry wieczór, moja miła. Co u ciebie słychać? - Patrzyła na mnie swoimi szarymi oczami, którymi umiała przeświecić człowieka na wskroś.

Miała łagodną, poraną zmarszczkami twarz i długie siwe włosy, niedbale ściągnięte w potargany koński ogon. Tak jak dawniej pomyślałam, że przydałby się jej dobry fryzjer. Jej szczupłe ciało okrywał kostium w najstraszniejszym odcieniu zieleni, jaki widziałam. Ale taka była profesor Young. Całkowicie nieświadoma wymogów mody i smaku. A przy tym - wspaniała pisarka, panująca nad słowami jak mało kto. Podziwiałam ją od zawsze. I zawsze się jej bałam.

- Wszystko dobrze. Naprawdę bardzo dobrze - odpowiedziałam. Jak zwykle.

Ale to nie była prawda. Przynajmniej do chwili, gdy ją spotkałam.

- Czy wciąż piszesz?

Spodziewałam się tego pytania. W rzeczy samej, to było źródło mojego niepokoju.

- Oczywiście - przyjęłam ton obronny. - „Kobieta Dzisiaj” publikuje mój tekst w następnym numerze.

- Bardzo się cieszę! - W jej oczach błysnęła nieklamana radość. - O czym napisałaś?

Nagle poczułam się jak idiotka. Jak mam jej powiedzieć, że to jeden z tych przepelnionych goryczą kawałków dla porzuconych kobiet?

- Międzyludzkie relacje. Tego typu sprawy - mruknęłam w końcu.

- Interesujące. - Przyjrzała mi się uważnie. - A co z twoją powieścią? Udało ci się ją skończyć?

I tu mnie miała. Czułam, jak moje wnętrze kurczy się, a pozory spokoju i powodzenia rozpadają się w drobne kawałki. Profesor Young chyba tego nie zauważyła - a przynajmniej nie dała tego po sobie poznać. A ja poczułam się nagle jak kompletna nieudacznica. Nie liczyła się ani otwierająca się przede mną dziennikarska przyszłość, ani nowy, wspaniały partner.

- Neeee - wyjąkałam i, widząc jej zakłopotanie, zaczęłam pleść trzy po trzy o tym, jak po studiach zahaczyłam się w piśmie o ogólnokrajowym zasięgu (nie wspomniałam nazwy) i o swoim natychmiastowym, zadziwiającym mnie samą sukcesie, który dał mi etat (nie mówiłam jaki), w wyniku czego stało się - piszę do gazet.

Moja opowieść chyba ją zadowoliła. A jednak zanim się rozstałyśmy, jeszcze raz skierowała na mnie swój przenikliwy wzrok.

- Trochę szkoda. Zawsze uważałam, że powinnaś pisać prozę. Ale nigdy nic nie wiadomo, prawda? - Uściskała mnie na pożegnanie, życzyła sukcesów, a nawet zaproponowała, że- bym kiedyś wpadła do niej na uniwersytet.

Wracając do domu, czułam się wyjątkowo podle. Wieczorem w łóżku Griffin zdziwiony moim milczeniem pogłaskał mnie po policzku i zapytał:

- Co się dzieje, Emmo?

I wtedy coś we mnie pękło. Opowiedziałam mu o wszystkim. O spotkaniu z profesorem Young. O moim życiu po ukończeniu uniwersytetu. Do tej pory Griffin uważał, że osiągam sukcesy jako dziennikarka i piszę o tym, co mnie interesuje i o czym mam ochotę. Nie wiedział, że w moim komputerze znajduje się plik zawierający szkic powieści i wszystkie moje prawdziwe marzenia. Teraz już się dowiedział, a ja umierałam ze strachu, co sobie o mnie pomyśli.

Przecież był człowiekiem, który zmierzył się ze swoimi marzeniami. Porzucił Chicago i pracę z sześciocyfrową pensją i założył własną firmę projektową, mając zaledwie kilku inwestorów i duże nadzieje.

Ale Griffin nie miał zamiaru wystawiać mi ocen ani udzielać rad. Kiedy spojrzałam mu w oczy - te same oczy, w których zakochałam się od pierwszego wejrzenia - zobaczyłam, że patrzą na mnie z wiarą. I - ośmieliłam się pomyśleć - z miłością.

- Po prostu spróbuj, Emmo - powiedział.

Takich słów potrzebowałam wtedy najbardziej. Uwierzyłam, że ma rację.

ROZDZIAŁ CZTERNASTY

„Byli narzeczeni są jak zmarszczki. Kilku naprawdę dobrych dodaje kobiecie charakteru”

- Emma Carter, nadzwyczajna dziewczyna porzucona

Wyznanie: *Nareszcie uznałam się za TĘ dziewczynę.*

Pięć miesięcy później, w sobotni wieczór, znowu siedziałam w domu. Sama. Całkowicie zadowolona.

Oczywiście, mogło być jeszcze lepiej. W ten mroźny, zimowy wieczór moglibyśmy leżeć sobie z Griffinem pod kocem i tulić się do siebie. Ale Griffin wyjechał w interesach, więc nie było o czym mówić.

Siedziałam więc sama na kanapie, oglądając stare filmy na wideo, z półlitrowym pojemnikiem lodów Super Toffi z Ciągutką - mojej nowej pasji, dla której zdradziłam Podwójną Kawę z Chrupkami (nie miałam serca powiedzieć o tym Griffnowi) i cieszyłam się samotnością. Zaprosiłabym dziewczyny, ale Jade wyjechała na narty razem z Tedem, a Alyssa i Richard najprawdopodobniej słuchali kolejnej wersji „Always and Forever” w wykonaniu kolejnej grupy podstarzałych muzyków w tanich smokingach, którzy nie tracili nadziei, że zagrają na ich ślubie.

Nie mogłam również zaprosić Sebastiana, który wyjechał do Indii, żeby osobiście poznać swoją guru. Cieszyłam się ze względu na niego, ale uważałam, że powinien już wrócić, bo brakowało mi go, a na dodatek moje pasemka wymagały zdecydowanej odnowy.

Z Rebeką prawie się nie widywałyśmy, odkąd porzuciłam „Twój Ślub” i zostałam wolnym strzelcem. Z wieści, które do mnie dochodziły, rozumiałam, że wyspecjalizowała się w pochlebstwach i jest teraz najlepszą przyjaciółką Patrycji. Moja nieustraszona była szefowa potrzebowała teraz oparcia, gdyż - jak dowiedziałam się od Marcy Keller, na którą wpadłam niedawno w sklepie - była w trakcie rozwodu oraz na granicy załamania nerwowego. Byłam pewna, że podczas tych ciężkich dni Rebeka trzyma Patrycję za rękę, zdobywając tym samym zachowawczo sprawność Siostry Miłosierdzia. A może byłam niesprawiedliwa? Może Rebeka czuła więź z Patrycją? Nie minęło tak wiele czasu, odkąd porzucił ją Nash.

Ostatnimi czasy nie przeszkadzało mi samotne siedzenie w czterech ścianach. Miałam ich zresztą teraz nie cztery, a dwanaście, a nawet szesnaście, jeśli wliczyć łazienkę. Porzuciłam swoją szafę ze stałym czynszem, kiedy tylko przyjaciółka Dorothei, Stacy, zamieszkała z nowym mężem w domu na przedmieściach. Od Dorothei wiedziałam, że jest szczęśliwa i spodziewa się pierwszego dziecka. Jeśli chodzi o mnie - spodziewałam się oryginalnego tureckiego dywanu, który bardzo pasował do świeżo odmalowanego salonu i pięknego, marmurowego kominka. Sklep obiecał dostarczyć go za tydzień.

Wkładałam właśnie do ust porcję lodów z wielką ilością pysznych ciągutek, kiedy zadzwonił telefon.

- Jak to dobrze, że jesteś w domu.

- Cześć, mammo.

- Martwiłam się. Jest straszna śnieżycy. Trzeba bardzo uważać...

- Wiem, mammo. Chodzę po świecie już trzydzieści jeden lat i widziałam niejedną śnieżycę.

- A gdzie Griffin?

- W Kalifornii.

- Co? - Nie ukrywała przerażenia.

- Wyjechał służbowo. Wraca we wtorek. - Spojrzałam za okno i dodałam: - O ile pogoda pozwoli.

- Służbowo. To dobrze - w jej głosie była wyraźna ulga.

Mama chyba obawiała się, że ten wspaniały mężczyzna, który niespodziewanie pojawił się w moim życiu, równie niespodziewanie zniknie, rozwieje się jak dym, jeśli tylko ona spuści go z oczu. Nie mogłam jej za to winić. W końcu sama czułam, że wszystkie kobiety, widząc

mnie w towarzystwie Griffina, rzucają mi mordercze spojrzenia. Szczypałam się raz po raz, ale nic się nie zmieniało. Byliśmy parą.

Jego rodzice nieustająco przypominali nam, że to oni wpadli na pomysł zeswatań nas, i równie często jak moja mama snuli fantazje na temat naszego ślubu.

- Skoro nie ma Griffina, możemy nareszcie porozmawiać - usłyszałam.

Zaczynało się.

- Mamo! - jęknęłam.

- Chcę tylko wiedzieć, gdzie jesteś. To już prawie sześć miesięcy. Pochwaliłam się już wszystkim moim przyjaciółkom. Dorothea żąda ode mnie szczegółów.

- To musi potrwać. Rzymu też nie dało się zbudować w jeden dzień. Ale dobrze. Na stronie sto siedemdziesiątej piątej. Ale to nie jest gotowa wersja...

Moje słowa zagłuszył pisk radości. Prawdę mówiąc, ja też wydałam cichy okrzyk triumfu. Od kiedy mama dowiedziała się, że zaczęłam pisać powieść, stała się moim najbardziej zagorzałym kibicem - mimo że nie przeczytała jeszcze ani linijki. Nie pokazałam tekstu nikomu - z wyjątkiem profesor Diany Young, której zaniiosłam pierwsze sto stron, a ona uznała je za „całkiem obiecujące”.

- Emmo! To wspaniale. Nie spodziewałam się... - Mama wstrzymała dech.

Ja też nie. Naprawdę. Ale wciąż posuwałam się do przodu.

- Pamiętaj, że znajomy Clarka pracuje w wydawnictwie Random House. Obiecał, że przejrzy...

- Już mi to mówiłaś, mamo. - Nie mogłam się nie uśmiechnąć. Słyszałam to co najmniej pięćdziesiąt razy.

- Clark i ja nie możemy się już doczekać. Wiesz, on jest też z ciebie bardzo dumny.

I tu mama gładko przeszła na temat Clarka i zaczęła rozwodzić się, jakim miłym i dobrym człowiekiem jest jej mąż. Nie mogła się powstrzymać, nawet pół roku po ślubie. Kiedy się rozłączyliśmy, zaniiosłam nadjedzone lody do zamrażarki. Jeśli do wtorku ich nie skończę, będę zmuszona przyznać się Griffinowi, że porzuciłam Chudą Ambrozię. Ale byłam pewna, że zniesie to ze spokojem. Jak wszystko, czym go dotąd raczyłam.

Co najdziwniejsze, nawet tato, który nie żywił sympatii do żadnego z moich facetów, polubił Griffina. Nie narzekał, że nie jest prawnikiem, bo sam, chociaż trudno w to uwierzyć, zapisał się zeszłej jesieni na studia prawnicze. Początkowo wydawało mi się to absurdalne, ale z tego, co mówiła Deirdre, wynikało, że marzył o tym od dawna. Według jej koncepcji, coraz

bardziej niedorzeczne procesy taty były niczym innym jak formą realizacji tego pragnienia. Trochę wiedzy prawniczej mu nie zaszkodzi, twierdziła, szczególnie teraz, kiedy otworzył małe biuro doradztwa finansowego. Jako że niewielu biegłych księgowych w Nowym Jorku miało podwójne wykształcenie, można było się spodziewać, że w krótkim czasie jego i tak spore dochody wzrosną trzykrotnie. Perspektywa zarobienia pieniędzy zawsze napępiała serce mojego ojca spokojem i radością.

Trzymałam za niego kciuki. Nie pił od lata i chociaż miewał już w życiu dłuższe okresy trzeźwości, to już było coś. Bardziej trzeźwy był również jego stosunek do rzeczywistości, sądząc po tym, że zrezygnował ze sprawy przeciw producentom szelek do górskiej wspinaczki.

Jego nowym konikiem była reforma prawa podatkowego, nad którą zaczął pracować, i dlatego z dużą ostrożnością należało podejmować z nim jakiegokolwiek rozmowy telefoniczne. Mama twierdziła, że najlepszym lekarstwem dla niego byłby wnuk, co nie wydawało się niemożliwe w sytuacji, w której Tiffany ostatecznie zakończyła remont kuchni i nie miała w planie żadnych nowych przeróbek ich nowego domu.

Sytuacja w rodzinie była więc unormowana i nic nie przeszkadzało mi w pracy nad powieścią. Dlatego następnego dnia, zaopatrzona w dzbanek świeżej kawy, usiadłam do komputera. I wtedy przyszedł mi do głowy Derrick.

Rozmawialiśmy niecałe dwa miesiące temu. Zadzwoił, żeby „trochę pogadać”, ale nie miałam wątpliwości, że jest samotny. Najdziwniejsze było to, że nie czułam potrzeby pochwalenia się swoim związkiem, ale, owszem, wspomniałam o tym, że piszę powieść. Wyraźnie się ucieszył, chociaż kiedy mi gratulował, w jego głosie usłyszałam coś jakby smutek. Udało mi się z niego wyciągnąć, że scenariusz, który stał się jego przepustką do Hollywood i przyniósł mu sporo forsy, został jednak odłożony na półkę. Co gorsza, Derrick spędzał większość czasu nie na pisaniu własnych rzeczy, ale na poprawianiu cudzych projektów. Na tym nie koniec. Okazało się, że „doskonała” Carrie znalazła sobie chłopaka, który nie tylko wprowadził się do jej pokoju, ale ma skłonności do raczej głośnych seksualnych wyskoków w środku nocy.

Przyznaję, że ta część naszej rozmowy raczej mnie... uradowała. Ale kiedy już (bardzo brzydko) nacieszyłam się myślą, że Carrie i jakiś napalony prymityw się ją spustoszenie w życiu mojego byłego ukochanego, wydarzyło się coś dziwnego. Derrick i ja zaczęliśmy rozmawiać. Rozmawiać naprawdę. Nie robiliśmy tego od pierwszych miesięcy naszego bycia razem.

Mówiliśmy o pisaniu. I o życiu. Okazało się, że na oba tematy mam mu wiele do powiedzenia. Wydaje mi się, że był pod wrażeniem. Chyba nawet trochę żałował, że rzucił taką inte-

resującą dziewczynę. Nie żeby mnie to obchodziło. No, dobra. Obchodziło mnie. Poczułam dreszcz satysfakcji, jaki czuje każda kobieta, kiedy zdaje sobie sprawę, że facet musi się z nią liczyć.

Jak widać, nawet teraz po włączeniu komputera zdarzało mi się grać na zwłokę. Myślałam o Derricku. Aplikowałam sobie krem do skórek, który na wszelki wypadek przechowywałam w szufladzie biurka, i robiłam manikiur. Przeglądałam stare listy, które również miałam pod ręką. Cóż! Nikt nie jest doskonały. Moje życie także było dalekie od doskonałości. Żyłam od czeku do czeku. Powieść nie była skończona i nie miałam żadnej pewności, że uda mi się ją sprzedać. Powinniśmy porozmawiać z Griffinem o naszej przyszłości. Na razie byliśmy oboje tak zajęci własną pracą, że nie przychodziło nam to do głowy. To znaczy - mnie przychodziło i czasami ogarnął mnie straszny niepokój. Ale przecież niepokój o przyszłość jest typowo kobiecą przypadłością, prawda?

Siedząc wygodnie przed ekranem komputera, myślałam o tym, co mam. Nie było tego mało.

Miałam przyjaciół. Pracowałam na zasadach, które sama sobie ułożyłam. Prowadziłam regularne życie seksualne - a to nie byle co w mieście, w którym zwykle ma się partnerów na jedną noc. A przede wszystkim odnalazłam osobę, o której całkiem zapomniałam w tych ponurych dniach po odejściu Derricka.

Odnalazłam siebie.

Czy to nie wszystko, czego potrzebuje kobieta? Każda - porzucona lub nie.

